

Proces



FRANZ KAFKA

Proces

TŁUM. KATARZYNA ŁAKOMIK

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Aresztowanie — Rozmowa z panią Grubach — Potem panna Bürstner

Ktoś musiał oszkalować¹ Josefa K., bo choć nie zrobił nic złego, pewnego ranka został aresztowany. Kucharka pani Grubach, od której wynajmował pokój, przynosząca mu codziennie koło ósmej śniadanie, tym razem nie przyszła. To się dotąd nigdy nie zdarzyło. K. zaczął jeszcze jakiś czas w łóżku, skąd z głową na poduszce zobaczył starą kobietę mieszkającą w domu naprzeciwko, która obserwowała go przez okno z niezwykłym dla siebie zaciekawieniem, po chwili jednak, zdumiony i głodny, zadzwonił. Natychmiast rozległo się pukanie, po czym do środka wszedł mężczyzna, którego K. nigdy wcześniej w tym mieszkaniu nie widział. Był szczupły, a jednak silnie zbudowany; miał na sobie obcisły czarny strój, który — na wzór ubrań podróżnych — był wyposażony w rozmaite zakładki, kieszenie, sprzączki, guziki oraz pasek, przez co wyglądał niezwykle praktycznie, choć nie do końca było wiadomo, do czego służy.

— Kim pan jest? — zapytał K., podnosząc się w łóżku.

Mężczyzna jednak zignorował to pytanie, jakby należało zaakceptować jego obecność, i zapytał tylko:

— Pan dzwonił?

— Niechaj Anna przyniesie mi śniadanie — powiedział K. i zaczął w milczeniu wyłączać uwagę i myśli, próbując dociec, kim właściwie jest ów mężczyzna. Lecz ten nie pozwolił mu się zbyt długo mierzyć wzrokiem, gdyż odwrócił się w stronę drzwi, a następnie lekko je uchylił, by odezwać się do kogoś, kto najwyraźniej stał tuż za nimi:

— Chce, żeby Anna przyniosła mu śniadanie.

W sąsiednim pokoju rozległ się krótki śmiech; z jego brzmienia nie można było wywnioskować, czy należał do jednej, czy wielu osób. Mimo iż nieznajomy nie dowiedział się tam niczego, czego już by nie wiedział, odezwał się do K. tonem meldunku:

— To niemożliwe.

— To coś nowego — rzekł K., wyskoczył z łóżka i pospiesznie włożył spodnie. — Chcę zobaczyć, kim są ci ludzie w pokoju obok i jak pani Grubach uzasadni mi to naruszenie spokoju.

Co prawda natychmiast do niego dotarło, że nie musiał wypowiadać tego na głos i że tym samym w pewnym sensie przyznał nieznajomemu prawo do nadzoru, choć nie to wydawało mu się teraz najważniejsze. Niemniej jednak nieznajomy właśnie tak to odebrał, gdyż chwilę potem zapytał:

— Nie woli pan tu zostać?

— Nie chcę tu ani zostać, ani w ogóle z panem dyskutować, póki mi się pan nie przedstawi.

— Miałem dobre intencje — powiedział nieznajomy i z własnej woli otworzył drzwi. Sąsiedni pokój, do którego K. wszedł wolniej, niżby chciał, na pierwszy rzut oka wyglądał niemal tak samo jak poprzedniego wieczoru. Był to zagracony meblami, obrusami,

¹oszkalować — niem. *verleumden* oznacza szkalować, oczerniać, a więc wygłaszać lub rozpowszechniać wbrew faktom nieprawdę lub niepotwierdzone osady na czyjś temat, szkodzące czyjejs reputacji. [przypis tłumacza]

porcelaną i fotografiami salon pani Grubach; być może wydawał się dziś nieco przestronniejszy niż zazwyczaj, jednak nie rzucało się to od razu w oczy, zwłaszcza że główna zmiana polegała na obecności mężczyzny siedzącego przy otwartym oknie z książką, znad której podniósł teraz wzrok.

— Powinien był pan zostać w swoim pokoju! Franz panu tego nie powiedział?

— No ale czego panowie ode mnie chcą? — zapytał K. i przeniósł spojrzenie na rzeczonoego Franza, który wciąż tkwił w drzwiach, a potem z powrotem na nowego znajomego. Przez otwarte okno znów dostrzegł starą kobietę, która z typowo starczą wścibskością przemieściła się do kolejnego okna w budynku naprzeciwko, aby kontynuować swoją obserwację.

— Chcę porozmawiać z panią Grubach... — zaczął K., wykonując ruch, jakby wyrywał się tym dwóm mężczyznom, chcąc ich wyminąć, choć obaj znajdowali się od niego daleko.

— Nie — powiedział ten przy oknie, rzucił książkę na stolik i wstał. — Nie może pan stąd wyjść, został pan przecież zatrzymany.

— Na to wygląda — odparł K. i po krótkiej chwili zapytał: — Ale dlaczego?

— Nie jesteśmy upoważnieni do udzielania panu takich informacji. Proszę się udać do swojego pokoju i tam poczekać. Postępowanie zostało już wszczęte, we właściwym czasie dowie się pan wszystkiego. I tak już wykraczam poza swoje obowiązki, rozmawiając z panem w tak życzliwy sposób. Ale mam nadzieję, że poza Franzem, który wbrew wszelkim przepisom też jest dla pana miły, nikt tego nie usłyszy. Jeśli nadal będzie pan miał tyle szczęścia, co przy wyznaczaniu strażników, może pan być spokojny.

K. chciał usiąść, zauważył jednak, że poza fotelem przy oknie w całym pokoju nie było na czym.

— Jeszcze pan zobaczy, ile w tym wszystkim prawdy — odparł Franz, podchodząc do niego razem z drugim mężczyzną.

Szczególnie on przewyższał K. wzrostem i ciągle poklepywał go po ramieniu. Obaj przyjrzeni się dokładnie koszuli nocnej K. i stwierdzili, że odtąd będzie musiał nosić znacznie gorsze, ale tę koszulę dla niego przechowają, tak samo jak resztę jego bielizny, i zwrócą, gdy tylko sprawa rozstrzygnie się pomyślnie.

— Lepiej, żeby pan oddał swoje rzeczy nam niż do depozytu, bo tam często dochodzi do przywłaszczeń, a poza tym po jakimś czasie wszystkie przedmioty są sprzedawane, bez względu na to, czy dane postępowanie zostało zakończone. A jak długo mogą trwać takie procesy, zwłaszcza w ostatnim czasie... Rzecz jasna w końcu trafiłby do pana utarg z depozytu, ale po pierwsze byłaby to niewielka kwota, ponieważ przy sprzedaży decydująca jest nie wysokość oferty, lecz łapówki, a po drugie wiemy z doświadczenia, że takie utargi topnieją, gdy z roku na rok przechodzą z rąk do rąk.

K. nie słuchał zbyt uważnie; nie zależało mu za bardzo na prawie do dysponowania przedmiotami, które być może wciąż mu przysługiwało; o wiele ważniejsze było dla niego uzyskanie jasności co do swojego położenia; nie potrafił jednak w obecności tych mężczyzn zebrać myśli, gdyż drugi strażnik — bo mogli to być przecież tylko strażnicy — wciąż trącał go niemal po przyjacielsku brzuchem, ale kiedy K. podnosił na niego wzrok, widział jego suchą, kościstą twarz z mocno zarysowanym, krzywym nosem, która zupełnie nie pasowała do jego grubego ciała i porozumiewała się nad głową K. z drugim strażnikiem. Kim są ci ludzie? O czym oni mówią? Z ramienia jakiej władzy występują? K. żył przecież w praworządnym państwie, wszędzie panował pokój, przestrzegano wszelkich praw, kto śmiał napadać na niego we własnym mieszkaniu? Miał skłonność traktować wszystko z lekkością, wierzył w najgorsze dopiero wtedy, gdy już nadchodziło, nie podejmował żadnych środków ostrożności na przyszłość, choćby zewsząd czyhały na niego zagrożenia.

Teraz jednak takie podejście nie wydawało mu się właściwe, co prawda mógł to wszystko potraktować jako żart, niewybredny psikus spleatany z nieznanymi mu powodów przez kolegów z banku, choćby dlatego, że miał dziś trzydzieste urodziny, oczywiście było to możliwe, niewykluczone, że wystarczyłoby jedynie roześmiać się strażnikom w twarz, by mężczyźni przyłączyli się do jego śmiechu; być może to jedynie bagażowi z rogu ulicy, wcale nie byli do nich niepodobni — jednak odkąd ujrzał strażnika Franza, K. był zdecydowany nie wypuszczać z rąk najmniejszej choćby przewagi, jaką mógłby mieć nad tymi

ludźmi. W tym, że później ktoś mógłby go posądzić, iż nie zna się na żartach, dostrzegł niewielkie zagrożenie, pamiętał przecież dobrze — choć nie zwykł był wyciągać wniosków ze swoich doświadczeń — kilka przypadków, samych w sobie niewiele znaczących, kiedy w przeciwieństwie do swoich zapobiegliwych przyjaciół zachował się nieostrożnie, nie mając najmniejszej świadomości ewentualnych konsekwencji, i w rezultacie spotkała go za to kara. Coś takiego nie powinno się powtórzyć, przynajmniej nie tym razem; jeśli to jakaś komedia, chciał też w niej zagrać. Jeszcze był wolny.

— Panowie pozwolą — rzekł i pospiesznie przeszedł między strażnikami do swojego pokoju.

— Wydaje się rozsądny — usłyszał za sobą.

W pokoju zaczął od razu gwałtownie otwierać szuflady w swoim biurku. Wszystko leżało tam w wielkim porządku, lecz dokumentów, którymi mógłby się wylegitymować i których właśnie szukał, nie mógł w tym wzburzeniu znaleźć. W końcu doszukał się swojej legitymacji rowerowej i już miał z nią wrócić do strażników, gdy wydała mu się zbyt mało znacząca, więc szukał dalej, aż wreszcie znalazł swoją metrykę urodzenia.

Gdy powrócił do sąsiedniego pokoju, drzwi po przeciwnej stronie otworzyły się i stanęła w nich pani Grubach. Widział ją tylko przez chwilę, bo ledwie zauważyła K., wyraźnie się zmieszała, poprosiła o wybaczenie, wyszła i z największą ostrożnością zamknęła za sobą drzwi.

— Ależ niech pani wejdzie — zdążył jeszcze zawołać K.

Teraz stał pośrodku pokoju ze swoimi papierami, wciąż patrząc na drzwi, które już się nie otworzyły, ocknął się dopiero zawołany przez strażników siedzących przy stoliku obok otwartego okna i — jak K. teraz dostrzegł — spożywających jego śniadanie.

— Dlaczego nie weszła? — spytał.

— Nie wolno jej — rzekł wysoki strażnik. — Jest pan przecież aresztowany.

— Jakże mogą być aresztowany? I to w taki sposób?

— No i znów pan zaczyna — powiedział strażnik, zanurzając kromkę posmarowanego masłem chleba w pojemniczku z miodem. — Na takie pytania nie odpowiadamy.

— Będą panowie musieli na nie odpowiedzieć — odparł K. — Oto moje dokumenty. Teraz proszę mi pokazać wasze, a przede wszystkim chcę zobaczyć nakaz aresztowania.

— Na niebiosa! — rzekł strażnik. — Że też nie może się pan pogodzić ze swoim położeniem. Widać uwziął się pan, żeby nas, którzy w tej chwili najpewniej jesteśmy dla pana najbliżsi spośród wszystkich bliźnich, niepotrzebnie drażnić.

— Tak właśnie jest, proszę mi wierzyć — odezwał się Franz. Filiżanki kawy trzymanej w ręku nie podniósł do ust, lecz spojrzął na K. długim, zapewne niezwykle znaczącym, zupełnie jednak dla niego niezrozumiałym wzrokiem.

K. wdał się mimo woli w ten dialog spojrzeń z Franzem, wreszcie jednak uderzył dłonią w papiery i rzekł:

— Oto moje dokumenty.

— A cóż one nas obchodzą? — zawołał z kolei wyższy strażnik. — Zachowuje się pan gorzej niż dziecko. Czego pan chce? Chce pan doprowadzić swój wielki, przeklęty proces do rychłego końca przez to, że z nami, strażnikami, będzie pan rozprawiał o dowodzie tożsamości i nakazie aresztowania? My jesteśmy urzędnikami niskiej rangi, ledwie się znamy na dokumentach, a z pana sprawą nie mamy nic wspólnego poza tym, że dziesięć godzin dziennie będziemy pana pilnować i za to otrzymamy zapłatę. Nikim więcej nie jesteśmy. A jednak potrafimy zrozumieć, że władze wysokiego szczebla, w których służbie pozostajemy, gruntownie badają powody aresztowania, jak i osobę, której ono dotyczy, zanim wydadzą rozporządzenie o takim aresztowaniu. Tu nie ma żadnej pomyłki. Nasz urząd, o ile go znam — a znam tylko najniższe stopnie — nie szuka przecież winy wśród ludzi, lecz, jak głosi prawo, to wina go przyciąga i musi wówczas wysłać strażników. Tak stanowi prawo. Gdzież więc mogłaby się tu znaleźć pomyłka?

— Nie znam tego prawa — rzekł K.

— Tym gorzej dla pana — odparł strażnik.

— Istnieje ono chyba tylko w waszych głowach — stwierdził K. Chciał jakoś wniknąć w ich sposób myślenia, obrócić go na swoją korzyść albo sam go przyjąć. Lecz strażnik odparł tylko z niechęcią:

— Jeszcze pan to na sobie odczuje.

— Widzisz, Willemie² — wtrącił się Franz. — Przyznaje, że nie zna prawa, a jednocześnie twierdzi, że jest niewinny.

— Masz całkowitą rację, ale jemu niczego wytłumaczyć się nie da — rzekł ten drugi.

K. nic już nie odpowiedział. „Czy muszę — pomyślał sobie — pozwolić na to, by paplanina tych przedstawicieli najniższych organów — sami przyznają, że nimi są — tylko bardziej mieszała mi w głowie? Przecież mówią o sprawach, których wcale nie pojmują. Ich pewność siebie może wynikać tylko z głupoty. Kilka słów, które zamienię z kimś równym sobie, uczyni wszystko nieporównanie klarowniejszym niż najdłuższe dysputy z tymi ludźmi”.

Przeszedł się kilka razy po wolnej przestrzeni pokoju w tę i z powrotem, po przeciwnej stronie ujrzał znów tę samą starą kobietę, która przyciągnęła do okna jeszcze bardziej od niej wiekowego starca i trzymała go w objęciu. K. musiał położyć kres temu widowisku.

— Zaprowadźcie mnie do waszego przełożonego — rzekł.

— Dopiero gdy on sobie tego zażyczy, nie wcześniej — odparł strażnik, którego nazwano Willemem. — A teraz radzę panu — dodał — wrócić do swego pokoju, zachować spokój i czekać na to, co zostanie zarządzane w pańskiej sprawie. Radzimy panu, żeby pan porzucił te zbędne deliberacje, tylko się skupił, bo będą wobec pana stawiane wysokie wymagania. Nie potraktował nas pan tak, jak na to zasługiwała nasza życzliwość. Zapomniał pan, że my, kimkolwiek byśmy byli, jesteśmy przynajmniej w przeciwieństwie do pana ludźmi wolnymi, a to niemała przewaga. Mimo to jesteśmy skłonni, jeśli ma pan pieniądze, dostarczyć panu małe śniadanie z kawiarni naprzeciwko.

Nie odpowiadając na tę propozycję, K. stał przez chwilę nieruchomo. Może gdyby otworzył drzwi do drugiego pokoju, a nawet kolejne do przedpokoju, nie odważyliby się mu w tym przeszkodzić; może właśnie najłatwiej byłoby rozwiązać całą sprawę, posuwając się do ostateczności. Ale wtedy mogliby go też złapać, a gdyby raz został powalony, utraciłby całą tę przewagę, którą dotąd w pewnej mierze jednak nad nimi zachowywał. Dlatego wybrał pewność rozwiązania, jakie musiał przynieść naturalny bieg rzeczy, i wrócił do swego pokoju, przy czym nie padło już nawet jedno słowo — ani z jego strony, ani ze strony strażników.

Rzucił się na łóżko i wziął z umywalki dorodne jabłko, które poprzedniego wieczora przygotował dla siebie na śniadanie. Teraz stanowiło jego jedyny posiłek i w każdym razie było — co do tego zyskał pewność przy pierwszym dużym kęsie — bez porównania lepsze od śniadania z brudnej kawiarni całodobowej, jakie mógłby dostać dzięki łasce strażników. Poczul się dobrze i bezpiecznie. Nie zjawi się wprawdzie dziś rano na swoim stanowisku w banku, lecz to, zważywszy na dość wysoką pozycję, którą tam zajmował, będzie łatwe do usprawiedliwienia. Czy powinien jednak podać prawdziwe wyjaśnienie? Miał taki zamiar. Jeśli mu nie uwierzą — co w tym wypadku byłoby zrozumiałe — może powołać na świadka panią Grubach albo i tych dwoje starszuchów, którzy zapewne znowu podążyli do okna naprzeciwko jego pokoju.

Dziwiło K., a raczej dziwiło go z perspektywy sposobu myślenia strażników, że kazali mu iść do swojego pokoju i pozostawili go tam samego, gdzie przecież miał niemało możliwości, by się zabić. Jednocześnie zapytał sam siebie, jakież mógłby mieć ku temu powód. Może taki, że tamci dwaj siedzieli w sąsiednim pokoju i zawłaszczyli jego śniadanie. Byłoby to tak niedorzeczne, że choćby nawet chciał to zrobić, nie byłby w stanie z powodu tejże niedorzeczności. Gdyby ograniczenie umysłowe strażników nie było tak rażące, można by przypuścić, że i oni z tej samej przyczyny nie widzieliby żadnego zagrożenia w tym, że zostawili go samego. Mogli teraz, jeśli chcieli, patrzeć, jak podchodzi do szafki, w której trzyma dobrego sznapsa, jak wypija kieliszek, pierwszy zamiast śniadania, następny dla kurażu; a ten ostatni tylko z ostrożności, na wszelki, choć nieprawdopodobny, wypadek.

Nagle tak go przestraszył donośny okrzyk z pokoju obok, że uderzył zębami o szkło.

²Franz, Willem — część badaczy odczytuje imiona obu strażników jako aluzję do cesarskich imion Franza Josepha (Franciszka Józefa I) i Wilhelma II; w takim ujęciu scena zatrzymania zostaje lekko naznaczona skójarzeniem z władzą państwową. Interpretacja ta ma jednak charakter tropu, nie ustalonego znaczenia. [przypis tłumacza]

— Nadzorca pana wzywa — usłyszał. Przeraził go sam krzyk, to krótkie, urywane, wojskowe wrznięcie, którego nigdy by się nie spodziewał po strażniku Franzu. Sam rozkaz był mu bardzo na rękę.

— Wreszcie! — zawołał w odpowiedzi, zamknął szafkę i natychmiast pospieszył do sąsiedniego pokoju.

Stali tam obaj strażnicy i jakby to było rzeczą najoczywistszą, wypędzili go z powrotem do jego pokoju.

— Co też panu przyszło do głowy? — wołali. — Żeby stawać przed nadzorcą w samej koszuli? Każe pana wychłostać, a i nam się dostanie!

— Zostawcież mnie, do diabła, w spokoju! — krzyknął K., którego już zapędzili z powrotem aż do samej szafy z ubraniami. — Jeśli ktoś napada na mnie w łóżku, nie może się spodziewać, że zastanie mnie w odświętnym garniturze.

— Nic pan tym nie wskóra — odparli strażnicy, którzy za każdym razem, gdy K. podnosił głos, stawali się zupełnie spokojni, niemal smutni, przez co wytrącali go z równowagi czy też w pewnym sensie przywoływali do rozsądku.

— Śmieszne ceremonie! — burknął, po czym jednak podniósł z krzesła marynarkę i przez chwilę trzymał ją oburącz, jakby poddawał ją pod osąd strażników. Ci potrzęsli głowami.

— To musi być czarna marynarka — stwierdzili.

K. cisnął więc ubranie na podłogę i rzekł — sam nie wiedząc, co właściwie przez to rozumie:

— To przecież nie jest jeszcze rozprawa główna.

Strażnicy uśmiechnęli się, ale trwali przy swoim:

— To musi być czarna marynarka.

— Jeśli przez to przyspieszę sprawę, niech i tak będzie — powiedział K., sam otworzył szafę, długo szukał wśród wielu ubrań, wybrał swój najlepszy czarny garnitur z marynarką, który swoim taliowaniem wzbudzał wśród znajomych swojego rodzaju poruszenie, wyciągnął też inną koszulę i zaczął się starannie ubierać. W głębi ducha sądził, że przyspieszył bieg całej sprawy przez to, że strażnicy zapomnieli zmusić go do kąpieli. Obserwował ich, czy aby sobie jednak o tym nie przypomnieli, ale oczywiście wcale im to nie przyszło do głowy; natomiast Willem nie zapomniał posłać Franza do nadzorcy, aby ten mu zameldował, że K. się przebiera.

Gdy był już w pełni ubrany, musiał przejść tuż obok Willema przez pusty pokój sąsiedni do następnego pomieszczenia, którego dwuskrzydłowe drzwi były już otwarte. Pokój ten, o czym K. dokładnie wiedział, zamieszkiwała od niedawna panna Bürstner³, maszynistka, która zwykła bardzo wcześnie wychodzić do pracy i wracać późno, a z którą K. zamienił dotąd ledwie parę słów powitania. Teraz jej stolik nocny został przesunięty z miejsca obok jej łóżka na sam środek pokoju i pełnił rolę stołu rozpraw, za którym siedział nadzorca. Założył nogę na nogę, a jedną rękę trzymał na oparciu krzesła.

W rogu pokoju stało trzech młodzieńców, którzy oglądali fotografie panny Bürstner przyćwiecone do maty wiszącej na ścianie. Na kłamce otwartego okna wisiła biała bluzka. Z okna naprzeciwko znów wyglądali ci sami starszycy, ale ich liczba się zwiększyła, gdyż za nimi, wyraźnie ich przewyższając wzrostem, stał mężczyzna z koszulą rozpiętą na piersi, który w palcach ugniatał i skręcał swoją rudawą spiczbródkę.

— Josef K.? — spytał nadzorca, być może tylko po to, by skierować rozkojarzone spojrzenie K. ku sobie. K. skinął głową.

— Jest pan zapewne bardzo zaskoczony wydarzeniami dzisiejszego poranka — zagadnął nadzorca, przedstawiając oburącz przedmioty na nocnym stoliku: świecę z zapalkami, książkę i poduszkę na igły, jakby to były rekwizyty potrzebne mu do rozprawy.

³*Bürstner* — nazwisko to bywa łączone przede wszystkim z inicjałami F.B. (Fräulein Bürstner: panna Bürstner), przywodzącymi na myśl Felice Bauer, narzeczoną Kafki. Niektórzy dostrzegają w nim także pobrzmiewającą aluzję erotyczną; nazwisko nasuwa brzmieniowe skojarzenie z niem. *Bürste* i czasownikiem *bürsten*, oznaczającym dosłownie „szczotkować”, a w rejestrze wulgarnym także odbywać stosunek seksualny. Za tym tropem przemawia również to, że postać ta od początku zostaje w powieści wpisana w sferę napięcia erotycznego i podejrzeń obyczajowych. [przypis tłumacza]

— W rzeczy samej — odrzekł K. i ogarnęło go poczucie przyjemnego zadowolenia, że wreszcie ma przed sobą człowieka rozsądnego, z którym będzie mógł porozmawiać o swojej sprawie. — W rzeczy samej, ale bynajmniej nie jestem bardzo zaskoczony.

— Nie bardzo zaskoczony? — powtórzył nadzorca i ustawił świecę pośrodku stolika, a pozostałe rzeczy rozmieścił wokół niej.

— Być może źle mnie pan zrozumiał — pospieszenie zauważył K. — Chodzi mi o to... — Tu urwał i rozejrzał się za krzesłem. — Chyba mogę usiąść? — zapytał.

— Nie jest to w zwyczaju — odparł nadzorca.

— Chodzi mi o to — podjął K. bez dalszej zwłoki — że istotnie jestem bardzo zaskoczony, lecz jeśli człowiek spędza trzydzieści lat na świecie i musi sobie sam torować drogę, jak to było pisane mnie, nabiera odporności na niespodzianki i nie przywiązuje do nich wielkiej wagi. Zwłaszcza do tej dzisiejszej.

— Dlaczegoż to zwłaszcza do tej dzisiejszej?

— Nie chcę twierdzić, że uważam całą tę sprawę za dowcip, bo poczynione przygotowania wydają mi się zbyt daleko idące. Musieliby w nich uczestniczyć wszyscy mieszkańcy pensjonatu, a także każdy z panów, a to już przekraczałoby granice dowcipu. Nie chcę więc twierdzić, że to żart.

— Całkiem słusznie — powiedział nadzorca i sprawdził, ile zapalek zostało w pudełku.

— Z drugiej jednak strony... — kontynuował K., zwracając się teraz do wszystkich obecnych, a chętnie włączyły w to nawet te trzy osoby przy fotografiach. — Z drugiej jednak strony sprawa nie może być też zbyt doniosła. Wnioskuje to stąd, że jestem wprawdzie oskarżony, lecz nie potrafię znaleźć najdrobniejszej winy, z powodu której można by mnie oskarżyć. Ale i to jest mało istotne, najważniejsze pytanie brzmi: przez kogo zostałem oskarżony? Jaka władza prowadzi postępowanie? Czy panowie są urzędnikami? Żaden z was nie nosi munduru, chyba że nazwać mundurem to ubranie — tu zwrócił się do Franza — ale to raczej strój podróżny. W odniesieniu do tych pytań domagam się jasności i jestem przekonany, że po tym wyjaśnieniu nastąpi między nami najserdeczniejsze pożegnanie.

Nadzorca uderzył pudełkiem zapalek o stół.

— Jest pan w wielkim błędzie — rzekł. — Zarówno panowie, jak i ja jesteśmy dla pańskiej sprawy całkowicie nieistotni, właściwie prawie nic nam o niej nie wiadomo. Moglibyśmy mieć na sobie najodpowiedniejsze mundury, a pańska sprawa nie znajdowałaby się przez to ani trochę w gorszym położeniu. Nie mogę też panu wcale powiedzieć, że jest pan oskarżony, a raczej nie wiem, czy jest pan oskarżony. Jest pan aresztowany, to się zgadza, więcej nie wiem. Może strażnicy pletli coś innego, ale byłoby to wówczas częścią paplaniną. Skoro zaś nie odpowiem na pańskie pytania, mogę panu coś doradzić: proszę mniej myśleć o nas i o tym, co się z panem stanie, a więcej o sobie. I niech pan się tak nie chełpi tą swoją niewinnością. Psuje pan tym nienajgorsze wrażenie, które pan sprawia poza tym. Powinien pan w ogóle być powściągliwszy w mowie, bo prawie wszystko, co pan wcześniej powiedział, dałoby się równie dobrze wywnioskować z pańskiego zachowania, a nadto nie było to dla pana szczególnie korzystne.

K. wpatrywał się w nadzorcę. Czy miał tu otrzymywać nauki jak w szkole od człowieka być może od siebie młodszego? Czy za swoją otwartość miał być karany naganą? A o przyczynie swego aresztowania i o zleceniodawcy niczego się nie dowie?

Ogarnęło go pewne wzburzenie; zaczął chodzić tam i z powrotem, przed czym nikt go nie powstrzymywał; podwinął mankiety, dotknął klatki piersiowej, poprawił włosy, minął trzech mężczyzn i rzucił:

— Przecież to niedorzeczność.

Pozostali odwrócili się ku niemu i spojrzeli na niego z życzliwością, ale i z powagą, wreszcie K. zatrzymał się przed stołem nadzorcy.

— Prokurator Hasterer to mój dobry przyjaciel — odezwał się. — Mogę do niego zadzwonić?

— Oczywiście — odparł nadzorca — choć nie wiem, jaki miałoby to sens, chyba że ma pan z nim do omówienia jakąś sprawę prywatną.

— Jaki sens? — zawołał K., bardziej skonsternowany niż rozgniewany. — Kim pan w ogóle jest? Pan chce sensu, a sam czyni coś najbardziej bezsensownego na świecie. Czy to nie powód do rozpaczki? Najpierw ci mężczyźni napadają na mnie, a teraz tu siedzą albo

stoją i każą mi odstawić przed panem jakieś szopki. Jaki miałoby sens telefonowanie do prokuratora, skoro rzekomo jestem aresztowany? Dobrze, nie będę dzwonił.

— Ależ proszę bardzo — rzekł nadzorca, wyciągnął rękę ku przedpokojowi, gdzie stał telefon. — Proszę dzwonić.

— Nie, już nie chcę — powiedział K. i podszedł do okna.

Po drugiej stronie towarzystwo wciąż stało i zdawało się teraz, gdy K. sam stanął w oknie, nieco zdezorientowane tym zakłóceniem ich spokojnej obserwacji. Staruszkowie chcieli się podnieść, ale mężczyzna stojący za nimi ich uspokoił.

— Tam też są tacy widzowie — krzyknął głośno do nadzorcy K. i wskazał palcem na zewnątrz. — Precz stamtąd! — zawołał w ich stronę.

I rzeczywiście, cała trójka natychmiast cofnęła się parę kroków, dwoje staruszków nawet jeszcze dalej, żeby schować się za plecami mężczyzny, który swoim szerokim ciałem ich zasłonił i — sądząc po ruchach jego ust — coś powiedział, jednak z tej odległości nie było to zrozumiałe. Całkiem jednak nie zniknęli, lecz zdawali się tylko czekać na chwilę, w której mogliby się niepostrzeżenie z powrotem zbliżyć do okna.

— Natrętni, podli ludzie! — powiedział K., odwróciwszy się ponownie w stronę pokoju.

Nadzorca — jak ocenił K., zerkając na niego kątem oka — być może się z nim zgadzał. Lecz było równie możliwe, że wcale go nie słuchał, bo jedną rękę trzymał przyciśniętą do stołu i zdawał się porównywać długość swoich palców. Dwaj strażnicy siedzieli na kufrze przykrytym ozdobną narzutą, pocierając kolana. Trzej młodzi ludzie położyli ręce na biodrach i rozglądali się bez celu. Panowała cisza niczym w zapomnianym przez wszystkich biurze.

— A więc, moi panowie — zawołał K., i przez chwilę zdawało mu się, że niesie ich wszystkich na ramionach — sądząc po waszych minach, moja sprawa wygląda na zakończoną. Jestem zdania, że najlepiej będzie nie zastanawiać się dłużej nad zasadnością czy bezzasadnością waszego postępowania, lecz całą sprawę zakończyć ugodowo uściskiem dłoni. Jeśli i wy jesteście tego zdania, proszę bardzo. — I podszedł do stołu nadzorcy, podając mu rękę.

Ten podniósł wzrok, zagryzł wargi i spojrzał na wyciągniętą dłoń K., który wciąż wierzył, że ten lada chwila ją uściśnie. Ale nadzorca wstał, chwycił sztywny, okrągły kapelusz, który leżał na łóżku panny Bürstner, i ostrożnie wsadził go sobie oburącz na głowę, jak zazwyczaj czyni się przy przymierzaniu nowych kapeluszy.

— Jak łatwe się to wszystko panu wydaje! — powiedział przy tym do K. — Myśli pan, że chcielibyśmy sprawę zakończyć ugodowo? Nie, nie, to naprawdę niemożliwe. Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, że ma pan wpadać w rozpacz. Nie, dlaczegożby? Jest pan tylko aresztowany, nic ponadto. To miałem panu do zakomunikowania, uczyniłem to i widziałem też, jak pan to przyjął. Tyle na dziś wystarczy i możemy się pożegnać, choć tylko chwilowo. Pewnie będzie pan się teraz chciał udać do banku?

— Do banku? — spytał K. — Myślałem, że jestem aresztowany.

K. zadał to pytanie z pewną przekorą, bo choć jego dłoń nie została przyjęta, czuł się, zwłaszcza od momentu, w którym nadzorca wstał, coraz bardziej niezależny od tych ludzi. Bawił się nimi. Miał nawet zamiar, gdyby mieli odejść, pobiec za nimi aż do bramy i zaproponować, żeby go aresztowali. Dlatego też powtórzył:

— Jakże mogę pójść do banku, skoro jestem aresztowany?

— Ach tak — rzekł nadzorca, który był już przy drzwiach — źle mnie pan zrozumiał. Jest pan aresztowany, z pewnością, ale nie powinno to panu przeszkadzać w wypełnianiu obowiązków zawodowych. Nie powinno to także zakłócać zwykłego trybu pańskiego życia.

— A więc to aresztowanie wcale nie jest takie straszne — powiedział K. i podszedł do nadzorcy, który odparł:

— Nigdy nie twierdziłem inaczej.

— Wydaje się zatem, że nawet samo zawiadomienie o aresztowaniu nie było specjalnie konieczne — rzekł K. i podszedł do niego jeszcze bliżej.

Pozostali też się zbliżyli. Teraz wszyscy stali ściśnięci tuż przy drzwiach.

— To był mój obowiązek — powiedział nadzorca.

— Głupi obowiązek — stwierdził K. nieustępliwie.

— Być może — odparł nadzorca — ale nie traćmy czasu na takie gadanie. Założyłem, że chce pan iść do banku. Skoro tak uważnie słucha pan każdego słowa, dodam: nie zmuszam pana do tego, sądziłem jedynie, że będzie pan chciał to zrobić. Aby to panu ułatwić i uczynić pańskie przyjście do banku jak najmniej rzucającym się w oczy, zatrzymałem tu tych trzech panów, pańskich kolegów, do pańskiej dyspozycji.

— Co takiego? — zawołał K. i popatrzył na nich ze zdumieniem.

Owi, tak niepozorni, bladolicy młodzieńcy, których miał z tyłu głowy jako towarzystwo stojące przy fotografiach, byli w rzeczywistości urzędnikami jego banku, nie kolegami, to byłoby za wiele powiedziane i dowodziło jakiejś luki we wszechwiedzy nadzorcy, ale jednak niższymi pracownikami banku. Jak K. mógł to przeoczyć? Do jakiego stopnia musiał być zaabsorbowany nadzorcą i strażnikami, skoro nie rozpoznał tych trzech? Sztynnego Rabensteina⁴, który wciąż wymachiwał rękami, jasnowłosego Kullicha o zapadłych oczach i Kaminera z tym odpychającym uśmiechem wywołanym przez przewlekły przykurcz mięśni.

— Dzień dobry! — powiedział po chwili K. i wyciągnął rękę do mężczyzn, którzy skłonili się z kurtuazją. — Nie poznałem panów. A więc pójdziemy do pracy, prawda?

Panowie radośnie i ochoczo pokiwali głowami, jakby tylko na to czekali. Lecz gdy K. zauważył nagle brak swojego kapelusza, który został w jego pokoju, wszyscy trzej pospieszyli po niego, jeden za drugim, co zdradzało jednak pewne zakłopotanie. K. stał nieruchomo i patrzył za nimi przez dwa otwarte pokoje; rzecz jasna na samym końcu biegł zaledwie, eleganckim truchtem, zobojętniały Rabensteiner. Kaminer wręczył kapelusz K., który musiał sam sobie powtórzyć — co zresztą robił już nieraz w banku — że uśmiech jego współpracownika nie był zamierzony, ba, że Kaminer w ogóle nie potrafił się uśmiechać rozmyślnie.

Pani Grubach, która wcale nie wyglądała, jakby specjalnie poczuwała się do winy, otworzyła w przedpokoju przed całym towarzystwem drzwi mieszkania, a K. jak zwykle spojrział na tasienkę fartucha, która niepotrzebnie wrzynała się tak głęboko w jej potężne ciało.

Dotarłszy na dół, K., trzymając w ręku zegarek, zdecydował się pojechać autobusem, by nie powiększać niepotrzebnie swojego, i tak już wynoszącego pół godziny, spóźnienia. Kaminer pobiegł na róg ulicy, by wezwać pojazd, dwaj pozostali próbowali najwyraźniej jakoś zająć K., kiedy nagle Kullich wskazał na przeciwną bramę, w której właśnie zjawił się wysoki mężczyzna z jasną szpicbródką i w pierwszej chwili, jakby nieco zakłopotany, że pokazuje się w swojej całej postaci, cofnął się do ściany i oparł o nią. Staruszkowie byli chyba jeszcze na schodach.

K. zdenerwował się na Kullicha, że zwrócił uwagę na człowieka, którego on sam dostrzegł już wcześniej, a nawet się go spodziewał.

— Proszę tam nie patrzeć — wyrzucił z siebie, nie dostrzegając, jak osobliwie brzmi taki sposób zwracania się do dorosłych mężczyzn.

Wszelkie wyjaśnienia nie były jednak konieczne, gdyż właśnie podjechał samochód, wsiedli więc do niego i ruszyli w drogę.

Dopiero teraz przypomniało się K., że w ogóle nie zauważył odejścia nadzorcy i strażników; najpierw nadzorca przesłonił mu trzech urzędników, a teraz znowu oni nadzorcy. Nie świadczyło to o zbytnej przytomności umysłu, toteż K. postanowił w przyszłości pilnować się i uważać bacznie.

A jednak półświadomie odwrócił się jeszcze, wychylił przez tył samochodu, by a nuż zobaczyć nadzorcy i strażników. Lecz zaraz odwrócił się z powrotem i rozsiadł wygodnie w rogu pojazdu, nie próbując już nikogo wypatrywać.

Choć wcale nie sprawiał takiego wrażenia, właśnie teraz potrzebował otuchy, lecz panowie wydawali się zmęczeni: Rabensteiner wyglądał z pojazdu po prawej, Kullich po lewej, i tylko na twarzy Kaminera trwał ten grymas, z którego niestety nie wolno było żartować, gdyż zakazywała tego zwyczajna ludzka przyzwyczajność.

⁴Rabensteiner — Nazwisko to przywołuje niem. *Rabenstein*, historyczne określenie miejsca straceń lub podestu pod szubienicą, i może być interpretowane jako dyskretna zapowiedź egzekucji. [przypis tłumacza]

Tej wiosny K. miał zwyczaj spędzać wieczory w ten sposób, że po pracy, jeśli tylko było to możliwe — na ogół siedział w biurze do dziewiątej — wybierał się na krótki spacer, sam albo z innymi urzędnikami, a potem zachodził do piwiarni, gdzie w towarzystwie przeważnie starszych panów przesiadywał do około jedenastej przy tym samym stoliku. Zdarzały się jednak wyjątki od tego rozkładu dnia, gdy na przykład dyrektor banku, który wysoko cenił K. za pracowitość i niezawodność, zapraszał go na przejażdżkę samochodem albo do swojej willi na kolację. Poza tym raz w tygodniu K. odwiedzał dziewczynę imieniem Elsa, która nocami do późnego ranka obsługiwała gości jako kelnerka w pewnej winiarni, a w ciągu dnia przyjmowała gości, w ogóle nie wstając z łóżka.

Tego jednak wieczoru — dzień upłynął mu na wytężonej pracy i przyjmowaniu wielu serdecznych i pełnych uznania życzeń urodzinowych — K. chciał natychmiast wrócić do domu. Myślał o tym podczas wszystkich krótkich przerw w pracy; czuł, jakby poranne zajścia spowodowały wielki nieład w całym mieszkaniu pani Grubach i jakby właśnie on był potrzebny, by przywrócić tam porządek, choć sam do końca nie wiedział, co dokładnie ma na myśli. Jeśli jednak raz ten porządek zostanie przywrócony, wszelki ślad po tamtych wydarzeniach zniknie i wszystko znów potoczy się dawnym torem. Nie miał powodów do żadnych obaw, zwłaszcza ze strony trzech urzędników: z powrotem wtopili się w jedno ogromne ciało personelu bankowego, nikt by po nich nie zauważył żadnej zmiany. K. wezwał ich kilkakrotnie do swojego biura, w pojedynkę i razem, wyłącznie w tym celu, by poddać ich swojej obserwacji; za każdym razem jednak mógł ich z satysfakcją odesłać.

Kiedy około pół do dziesiątej wieczorem dotarł pod kamienicę, w której mieszkał, spotkał w bramie młodego chłopaka, który stał tam w rozkroku, paląc fajkę.

— Kim pan jest? — zapytał natychmiast K., zbliżając twarz do chłopaka; w półmroku sieni niewiele można było dostrzec.

— Jestem synem dozorczy, łaskawy panie — odpowiedział chłopak, wyjął fajkę z ust i odsunął się na bok.

— Synem dozorczy? — spytał K. i uderzył niecierpliwie laską o posadzkę.

— Czy łaskawy pan życzy sobie czegoś? Mam pójść po ojca?

— Nie, nie — odparł K., a w jego głosie brzmiało coś przebaczącego, jakby chłopak zrobił coś złego, a on mu to darował. — Wszystko w porządku — dodał jeszcze i ruszył dalej, ale nim wszedł na schody, ponownie się obejrzał.

Mógł pójść prosto do swego pokoju, ale że chciał pomówić z panią Grubach, zapukał od razu do jej drzwi. Siedziała przy stole, dziergając na drutach pończochę, na blacie leżał cały stos starych pończoch. K. w rozstargnieniu prosił o wybaczenie, że przychodzi tak późno, lecz pani Grubach była bardzo miła i nie chciała słuchać o żadnych przeprosinach, na rozmowę z nim przecież zawsze znalazłaby czas, K. doskonale wie, że jest jej najlepszym i najulubieńszym lokatorem.

K. rozejrzał się po pokoju, który zastał w jego zwykłym stanie, naczynia po śniadaniu stojące rano na stole przy oknie też już były uprzątnięte.

„Kobiece ręce doprawdy potrafią wiele zdziałać w ciszy”, pomyślał. „Sam pewnie potłukłbym te naczynia, ale na pewno bym ich nie wyniósł”. Spojrzał na panią Grubach z pewną wdzięcznością.

— Dlaczego pani jeszcze pracuje mimo tak późnej pory? — zapytał.

Siedzieli teraz oboje przy stole, a K. raz po raz zanurzał rękę w pończochach.

— Mam sporo pracy — odparła. — W ciągu dnia należę do lokatorów, jeśli więc chcę doprowadzić swoje rzeczy do porządku, zostają mi tylko wieczory.

— Dziś chyba przysporzyłem pani dość niezwykłej pracy.

— Czemu? — spytała nieco ożywionym tonem, odkładając robótkę na kolana.

— Mam na myśli mężczyzn, którzy byli tu rano.

— Ach, no tak — powiedziała, odzyskując z powrotem spokój. — Nie przysporzył mi pan pracy.

K. patrzył w milczeniu, jak ponownie wzięła do ręki pończochę.

„Wydaje się zdziwiona, że o tym mówię”, pomyślał. „Chyba uważa rozmowę o tym za coś niewłaściwego. Tym ważniejsze, żebym to właśnie zrobił. Mogę o tym porozmawiać wyłącznie ze starą kobietą”.

— Owszem, na pewno przybyło pani pracy — powiedział. — Ale to się już nigdy więcej nie powtórzy.

Kobieta, Praca

— Nie, to nie może się powtórzyć — potwierdziła z naciskiem i spojrzała na K. niemal z nostalgią.

— Naprawdę pani tak sądzi? — zapytał K.

— Tak — odpowiedziała ciszej — ale przede wszystkim nie powinien pan się tym nadto przejmować. Cóż to się nie dzieje na tym świecie! A skoro rozmawia pan ze mną w takim zaufaniu, panie K., to przyznam się panu, że trochę podsłuchiwałam pod drzwiami, a i sami strażnicy też mi co nieco poopowiadali. W końcu tu chodzi o pańskie szczęście, a na nim naprawdę mi zależy, może nawet bardziej, niż powinno, bo przecież tylko wynajmuję panu pokój. Tak więc co nieco słyszałam, ale nie mogę powiedzieć, żeby to było coś bardzo złego. Nie. Jest pan wprawdzie aresztowany, ale nie tak, jak aresztuje się złodzieja. Kiedy się kogoś aresztuje jak złodzieja, o, wtedy to jest coś złego, ale pańskie aresztowanie wydaje mi się jakąś uczoną sprawą. Proszę mi wybaczyć, jeśli gadam głupstwa, ale wydaje mi się właśnie taką uczoną sprawą, nie rozumiem tego co prawda, ale też wcale nie trzeba tego rozumieć.

— To nie są żadne głupstwa, pani Grubach. Przynajmniej po części podzielam pani zdanie, z tą różnicą, że osądzam to wszystko jeszcze bardziej surowo od pani i nie uważam tego nawet za coś uczonego, lecz po prostu mam to za nic. Zaskoczono mnie, ot co. Gdybym od razu po przebudzeniu, nie pozwalając się zmylić nieobecnością Anny, wstał i bez względu na kogokolwiek, kto by mi stanął na drodze, poszedł prosto do pani, gdybym tym razem wyjątkowo zjadł śniadanie w kuchni, gdybym poprosił panią o przyniesienie ubrania z mojego pokoju — słowem, gdybym postępował rozsądnie, do niczego by nie doszło, wszystko, co miało się wydarzyć, zostałoby zduszone w zarodku. Ale człowiek jest tak słabo przygotowany. W banku na przykład jestem przygotowany, tam coś takiego nigdy by mi się nie przytrafiło. Mam własnego woźnego, na biurku przede mną stoją telefon centralny i wewnętrzny, ciągle ktoś przychodzi, zarówno strony ze swoimi sprawami, jak i urzędnicy, a ponadto i przede wszystkim jestem tam nieustannie zajęty pracą, a więc zawsze obecny duchem; wręcz sprawiłoby mi przyjemność, gdyby skonfrontowano mnie z podobną sprawą właśnie tam. No cóż, to już jest za mną i właściwie nawet nie chciałem o tym więcej mówić, pragnąłem tylko usłyszeć pani osąd, osąd rozsądnej kobiety, i bardzo się cieszę, że się w tym zgadzamy. Teraz musi mi pani podać rękę, taka zgodność musi zostać przypieczętowana uściskiem dłoni.

„Czy poda mi rękę? Nadzorca odmówił mi uścisku dłoni”, pomyślał i spojrzał na kobietę inaczej niż zwykle, badawczo.

Wstała, bo i on wstał, była nieco zakłopotana, bo nie wszystko, co mówił K., było dla niej zrozumiałe. Na skutek tego zakłopotania powiedziała coś, czego wcale nie chciała powiedzieć i co było zupełnie nie na miejscu:

— Niech się pan tym tak nie przejmuję, panie K. — powiedziała, a w jej głosie słychać było łzy i oczywiście też zapomniała podać mu dłoń.

— Nie sądzę, żebym się tak przejmował — rzekł K., który poczuł się nagle zmęczony i uświadomił sobie bezwartościowość wszelkich zapewnień tej kobiety.

Przy drzwiach zapytał jeszcze:

— Panna Bürstner jest w domu?

— Nie — rzekła pani Grubach, a podczas udzielania tej suchej odpowiedzi uśmiechnęła się ze spóźnionym roztropnym współczuciem. — Jest w teatrze. Chciał pan coś od niej? Mam jej coś przekazać?

— Ach, chciałem tylko zamienić z nią parę słów.

— Niestety nie wiem, kiedy wróci; jeśli wychodzi do teatru, zwykle wraca późno.

— Jest mi to zupełnie obojętne — powiedział K. i już odwracał pochyloną głowę ku drzwiom, by odejść. — Chciałem ją tylko przeprosić, że zająłem dziś jej pokój.

— Nie trzeba, panie K., za bardzo myśli pan o innych, panna Bürstner i tak o niczym nie wie, od wczesnego ranka nie było jej w domu, ale też wszystko zostało przywrócone do porządku, niech pan sam zobaczy.

I otworzyła drzwi do pokoju panny Bürstner.

— Dziękuję, wierzę pani — rzekł K., lecz mimo to podszedł do otwartych drzwi.

Światło księżycy wpadało spokojnie do ciemnego pokoju. Na ile można to było dostrzec, rzeczywiście wszystko znajdowało się na swoim miejscu, nawet bluzka nie wisiała

Kondycja ludzka

już na kłamce okna. Poduszki zdawały się leżeć na łóżku niespotykanie wysoko, część z nich w blasku księżycy.

— Panna Bürstner często wraca do domu późno — powiedział K. i spojrzął na panią Grubach, jakby to ona ponosiła za to odpowiedzialność.

— Ot, jak to młodzi ludzie! — odrzekła pani Grubach usprawiedliwiająco.

— Pewnie, pewnie — rzekł K. — ale to może zająć za daleko.

— To prawda — potwierdziła pani Grubach — ma pan, panie K., całkowitą rację. Może nawet i w tym przypadku. Na pewno nie chcę szkalować panny Bürstner, to dobra i miła dziewczyna, uprzejma, schludna, punktualna, pracowita, bardzo to wszystko doceniam, ale jedno jest prawdą: powinna mieć w sobie więcej dumy, być mniej przystępna. Widziałam ją w tym miesiącu już dwa razy w odległych zaułkach, za każdym razem z innym mężczyzną. Przykro mi to mówić, a klnę się na Boga, że mówię to tylko panu, panie K., choć chyba nie uniknę rozmowy na ten temat z panną Bürstner. Zresztą to nie jedyna rzecz, która budzi moje podejrzenia.

— Jest pani w błędzie — wybuchnął K., niemal niezdolny do ukrycia gniewu. — Poza tym najwyraźniej opacznie zrozumiała pani moją uwagę o pannie Bürstner, nie o to mi chodziło. Nawet panią szczerze ostrzegam, by nie mówiła jej niczego, całkowicie się pani myli, znam pannę Bürstner bardzo dobrze, w pani słowach nie ma ani krzty prawdy. Zresztą może i ja przesadzam, nie chcę pani przed niczym powstrzymywać, niech pani jej mówi, co chce. Dobrej nocy.

— Panie K. — zawołała błagalnie pani Grubach i pospieszyła za nim aż do jego drzwi, które już otworzył. — Przecież wcale nie chcę rozmawiać z panną Bürstner już teraz, oczywiście najpierw zamierzam ją dalej poobserwować, tylko panu zwierzyłam się z tego, co wiem. W końcu w interesie każdego lokatora leży troska o utrzymanie pensjonatu w czystości, a to jest moim jedynym celem.

— Czystość! — zdążył jeszcze krzyknąć K. przez szparę drzwi. — Jeśli chce pani utrzymać pensjonat w czystości, musi pani najpierw wymówić pokój mnie.

Potem zatrzęsła drzwi i zignorowała ciche pukanie.

Jako że i tak wcale nie miał ochoty zasnąć, postanowił w ogóle nie kłaść się do łóżka i przy tej okazji ustalić, kiedy panna Bürstner wróci. Może wówczas byłoby też możliwe, choćby i nie bardzo to wypadało, zamienić z nią jeszcze parę słów. Gdy siedział w oknie i przymknął zmęczone oczy, pomyślał nawet przez chwilę o tym, by ukarać panią Grubach i namówić pannę Bürstner, żeby razem z nim złożyła wypowiedzenie. Zaraz potem wydało mu się to jednak straszliwie przesadzoną reakcją i nawet zaczął podejrzewać samego siebie, że wprost zmierza do tego, by wskutek porannych zajęć zmienić miejsce zamieszkania. Nie mógłby zrobić nic głupszego, a przede wszystkim bardziej bezsensownego i godnego pogardy.

Gdy wypatrywanie na pustą ulicę mu zbrzydło, położył się na kanapie, uchyliwszy nieco drzwi do przedpokoju, by każdego, kto wejdzie do mieszkania, móc z tego miejsca od razu dostrzec. Leżał tam spokojnie, paląc cygaro, mniej więcej do jedenastej. Potem jednak nie potrafił tego dłużej wytrzymać i wyszedł na chwilę do przedpokoju, jakby mógł tym sposobem przyspieszyć przybycie panny Bürstner.

Nie czuł wobec niej żadnego szczególnego pragnienia, nie potrafił sobie nawet dokładnie przypomnieć, jak wygląda, ale teraz chciał z nią wreszcie porozmawiać i irytowało go, że swoim późnym powrotem wprowadza dodatkowy niepokój i nieład na zakończenie tego dnia. Była też winna temu, że nie zjadł dziś wieczery i że zaniechał planowanej wizyty u Elsy. Obie te rzeczy mógłby zresztą jeszcze nadrobić, udając się teraz do winiarni, w której Elsa obsługiwała gości. I zamierzał to też uczynić, tyle że później, po rozmowie z panną Bürstner.

Minęło już pół do dwunastej, kiedy dały się słyszeć kroki na klatce schodowej. K., pogrążony w swoich myślach, przeszedł się głośno tam i z powrotem po przedpokoju, jakby to był jego własny pokój, po czym schował się za swoimi drzwiami. Oto i przyszła panna Bürstner. Drżąc z zimna i zaciskając mocniej jedwabny szal na swoich wąskich ramionach, zamknęła za sobą drzwi. W kolejnej chwili zapewne miała się udać do swo-

Kobieta, Obyczaje

jego pokoju, do którego K. nie powinien wchodzić o północy; musiał więc zagadnąć ją teraz, nieszczęśliwym sposobem zapomniał jednak włączyć w swoim pokoju światło, tak że domyślił się, że jego wynurzenie się z mroku nieuchronnie musiałyby wyglądać jak napaść, a przynajmniej porządnie wystraszyć kobiety. Bezradny i świadomy, że nie ma czasu do stracenia, wyszeptał przez uchylone drzwi:

— Panno Bürstner. — Zabrzmiało to jak prośba, nie jak wołanie.

— Kto tu jest? — spytała panna Bürstner, rozglądając się szeroko otwartymi oczami.

— To ja — rzekł K. i wyłonił się z ciemności.

— Ach, pan K.! — powiedziała z uśmiechem panna Bürstner. — Dobry wieczór. — Podala mu rękę.

— Chciałem z panią zamienić parę słów, pozwoli pani teraz?

— Teraz? — zapytała panna Bürstner. — Musi to być teraz? To trochę dziwne, nie sądzi pan?

— Czekam na panią już od dziewiętej.

— No tak, byłam w teatrze, przecież się tego nie spodziewałam.

— Powód tego, co chcę pani powiedzieć, wyniknął dopiero dziś.

— Rozumiem. Cóż, co do zasady nie mam nic przeciwko temu, poza tym, że padam ze zmęczenia. Zapraszam więc na kilka chwil do mojego pokoju. Tu na pewno nie możemy ze sobą rozmawiać, pobudzilibyśmy wszystkich, i czułabym się z tym źle; przez wzgląd na nas jeszcze bardziej niż na nich. Proszę tu poczekać, aż zapalę u siebie światło, wtedy proszę je zgasić tutaj.

K. spełnił tę prośbę, ale potem poczekał jeszcze chwilę na ciche zaproszenie panny Bürstner do jej pokoju.

— Proszę usiąść — rzekła, wskazując na otomanę; sama jednak, mimo wspomnianego zmęczenia, stała wyprostowana przy poręczu łóżka; nie zdejmując nawet swego kapelusika przystrojonego prawdziwym przepychem kwiatów. — Cóż więc pan chciał? Zaintrygował mnie pan. — Lekko skrzyżowała nogi.

— Być może pani stwierdzi, że sprawa nie jest tak pilna, by omawiać ją właśnie teraz, jednak...

— Wstęp zawsze puszczam mimo uszu — przerwała mu panna Bürstner.

— To mi ułatwia zadanie — powiedział K. — Dzisiejszego ranka porządek w pani pokoju, w pewnym sensie z mojej winy, został nieco naruszony; stało się to za sprawą obcych ludzi, wbrew mojej woli, lecz jednak, jak powiedziałem, z mojej winy. Chciałem więc panią przeprosić.

— W moim pokoju? — spytała panna Bürstner i zamiast na pokój popatrzyła bawdawczo na K.

— Tak właśnie było — odparł K. i oboje po raz pierwszy spojrzeli sobie w oczy. — Okoliczności, w jakich do tego doszło, same w sobie nie są warte nawet słowa.

— Ależ właśnie one są w tym najciekawsze — rzekła panna Bürstner.

— Nie — odparł K.

— Cóż, nie chcę wnikać w cudze tajemnice; jeśli pan obstaje przy tym, że to nieciekawe, nie będę się sprzeciwiać. Przeprosiny, o które pan prosi, z chęcią przyjmuję, zwłaszcza że nie widzę ani śladu nieporządku. — Z dłońmi opartymi w całości na biodrach obeszła cały pokój. Zatrzymała się przy macie ze zdjęciami. — A jednak! Proszę spojrzeć — zawołała. — W moich fotografiach rzeczywiście panuje bałagan. Naprawdę nieładnie. A więc ktoś był w moim pokoju bez mojego pozwolenia.

K. skinął głową i w duchu przeklął urzędnika Kaminera, który nigdy nie potrafił poskromić swojej nużącej, bezsensownej żywotności.

— Przedziwne — powiedziała panna Bürstner — że zmuszona jestem zabronić panu czegoś, czego powinien pan sobie zabronić sam, a mianowicie wchodzenia do mnie pod moją nieobecność.

— Tłumaczyłem pani przecież — powiedział K., także podchodząc do fotografii — że to nie ja dopuściłem się naruszenia wobec pani zdjęć; skoro jednak mi pani nie wierzy, muszę wyznać, iż komisja śledcza sprowadziła trzech urzędników z banku, z których jeden, którego przy najbliższej sposobności stamtąd usunę, prawdopodobnie wziął fotografie do rąk. — Panna Bürstner spojrzała na K. pytająco: — Tak, była tu komisja śledcza — dodał K.

— Z pańskiego powodu? — zapytała.
— Tak.
— Nie! — wykrzyknęła, po czym się roześmiała.
— A jednak — odparł K. — Sądzi pani, że jestem bez winy?
— No cóż, bez winy... — odparła panna Bürstner. — Nie chcę od razu wydawać osądu, który mógłby mieć daleko idące konsekwencje, a poza tym przecież pana nie znam. Tak czy owak, jeśli już nasyła się na jakiegoś człowieka komisję śledczą, to musi to być ciężki przestępca. Skoro jednak pozostaje pan na wolności, a przynajmniej wnioskuje z pańskiego spokoju, że nie uciekł pan z więzienia, to nie mógł pan popełnić aż takiego przestępstwa.
— Tak — rzekł K. — Jednakże komisja śledcza mogła dojść do wniosku, że jestem niewinny, albo przynajmniej nie tak winny, jak zakładano.
— Z pewnością, może tak być — odparła uprzejmie panna Bürstner.
— No widzi pani — powiedział K. — Nie ma pani dużego doświadczenia w sprawach sądowych.
— Nie, nie mam — przyznała panna Bürstner — i nie raz już nad tym ubolewałam, gdyż chciałabym wiedzieć wszystko, a właśnie sprawy sądowe są dla mnie niesłychanie interesujące. Sąd ma jakąś szczególną siłę przyciągania, nie sądzi pan? Ale w tym zakresie z pewnością uzupełnię swoją wiedzę, bo w przyszłym miesiącu zaczynam pracę jako pomoc biurowa w kancelarii adwokackiej.
— To się bardzo dobrze składa — stwierdził K. — będzie mi pani mogła trochę pomóc w moim procesie.
— Mogłoby tak być — stwierdziła panna Bürstner. — Dlaczegożby nie? Lubię kożystać ze swojej wiedzy.
— Mówię to z pełną powagą — rzekł K. — Przynajmniej w połowie, jak i pani. Sprawa jest jednak zbyt błaha, żeby wciągać w to adwokata, ale całkiem możliwe, że mimo wszystko będę potrzebował doradcy.
— Tak, lecz jeśli miałabym być doradcą, musiałabym wiedzieć, w czym rzecz — stwierdziła panna Bürstner.
— W tym właśnie tkwi sęk — rzekł K. — Sam tego nie wiem.
— A więc zażartował sobie pan ze mnie — powiedziała panna Bürstner, nad wyraz rozczarowana. — Niepotrzebnie wybrał pan sobie na to tak późną porę.
Odeszła od fotografii, przy których tak długo stali razem.
— Ależ droga panno Bürstner — rzekł K. — Ja nie żartuję. Że też nie chce mi pani wierzyć! To, co wiem, już pani powiedziałem. Nawet więcej, niż wiem. Nie była to bowiem żadna komisja śledcza, tylko tak ją nazwałem, bo nie znam na to innej nazwy. W ogóle nie przeprowadzono żadnego śledztwa, po prostu zostałem przez jakąś komisję aresztowany.
Panna Bürstner usiadła na otomanie i znów się roześmiała.
— Jak to? — zapytała.
— To było straszne — powiedział K., w tej chwili jednak wcale o tym nie myśląc, gdyż całkowicie pochłonął go widok panny Bürstner, która wsparła twarz na dłoni, łokieć jednej ręki spoczywał na poduszce otomany, podczas gdy drugą dłoń powoli przesuwiała po biodrze.
— To zbyt ogólnikowe — rzekła panna Bürstner.
— Co jest zbyt ogólnikowe? — zapytał K. Potem sobie przypomniał i dodał: — Mam pani pokazać, jak to było?
Chciał wykonać jakiś ruch, a jednocześnie nie odchodzić.
— Jestem już zmęczona — powiedziała panna Bürstner.
— Przyszła pani tak późno — rzekł K.
— I jeszcze na koniec muszę wysłuchiwać wyrzutów, całkiem słusznie, bo nie powinienam była już pana wpuszczać. Nie było to też konieczne, jak się okazało.
— Było konieczne, zaraz pani zobaczy — powiedział K. — Czy mogę odsunąć stolik nocny od pani łóżka?
— Co też panu przychodzi do głowy? Oczywiście, że nie!
— W takim razie nie będę mógł pani tego pokazać — powiedział K. ze wzburzeniem, jakby wyrządzano mu tym niezmierną krzywdę.

— Jeśli to konieczne do przedstawienia, niech pan spokojnie przesunie stolik — odparła panna Bürstner; a po chwili dodała słabszym głosem: — Jestem tak zmęczona, że pozwalam na więcej, niż to wskazane.

K. ustawił stolik na środku pokoju i usiadł za nim.

— Musi pani sobie należycie wyobrazić rozmieszczenie osób, to bardzo interesujące. Ja jestem nadzorczą, tam, na kufrze, siedzą dwaj strażnicy, przy fotografiach stoją trzej młodzieńcy. Na klamce okna wisi, tak tylko o tym wspominam, biała bluzka. I teraz się zaczyna. Ach, zapomniałem o najważniejszej osobie, jeszcze ja, a więc ja stoję tutaj, przed stolikiem. Nadzorca rozsiada się nad wyraz wygodnie, noga na nodze, z ręką zwieszoną, o tu, nad oparciem, gbur jakich mało. I teraz naprawdę się zaczyna. Nadzorca woła, jakby musiał mnie zbudzić, wręcz krzyczy, niestety, jeśli mam to pani unaocznić, muszę też krzyknąć; zresztą wykrzyknął tylko moje nazwisko.

Panna Bürstner, która przysłuchiwała się temu z rozbawieniem, przyłożyła palec wskazujący do ust, by powstrzymać K. od krzyku, lecz było już za późno, K. zbyt głęboko wszedł w swoją rolę; zawołał, przeciągając:

— Josef K. — Nawiasem mówiąc, nie tak głośno, jak się odgrażał, ale jednak na tyle donośnie, by ów okrzyk, kiedy już został gwałtownie wyrzucony w powietrze, zdawał się dopiero stopniowo rozchodzić po pokoju.

Do drzwi sąsiedniego pokoju rozległo się kilka uderzeń, mocnych, krótkich i miarowych. Panna Bürstner pobladła i przyłożyła dłoń do serca. K. przeraziło to szczególnie mocno, gdyż jeszcze przez chwilę był zupełnie niezdolny myśleć o czymkolwiek innym jak o porannych zajęciach i o dziewczynie, której je przedstawił. Ledwie się opanował, skoczył do panny Bürstner i ujął ją za rękę.

— Niech się pani nie lęka — wyszeptał. — Wszystko doprowadzę do porządku. Ale któż to może być? Przecież obok jest tylko salon, w którym nikt nie sypia.

— Ależ sypia — szepnęła panna Bürstner do ucha K. — Od wczoraj nocuje tu siostrzeniec pani Grubach, kapitan. Akurat nie ma innego wolnego pokoju. Też o tym zapomniałam. Że też musiał pan tak wrzasnąć! Jest mi bardzo przykro.

— Nie ma pani ku temu żadnego powodu — rzekł K. i gdy teraz opadła na poduszkę, pocałował ją w czoło.

— Precz! — krzyknęła, szybko się prostując. — Niech pan już idzie, proszę iść, czego pan chce, on przecież nasłuchuje przy drzwiach, wszystko słyszy. Ależ pan męczący!

— Odejdę dopiero wtedy, gdy już się pani choć trochę uspokoi — odparł K. — Proszę przejść do tamtego kąta, tam nas nie usłyszy.

Gdy panna Bürstner pozwoliła się tam poprowadzić, K. rzekł do niej:

— Proszę zważyć, że wprawdzie może to być dla pani nieprzyjemne, lecz bynajmniej nie jest niczym groźnym. Wie pani, jak pani Grubach, a to jej głos jest przecież w tej sprawie rozstrzygający, mnie ubóstwia i bez zastrzeżeń wierzy we wszystko, co powiem, zwłaszcza że kapitan jest jej siostrzeńcem. Zresztą jest ode mnie zależna, pożyczyla ode mnie większą sumę. Każdą pani propozycję co do wyjaśnienia powodu naszego spotkania przyjmę, byle choć trochę służyła swojemu celowi, a ja ręczę, że skłonię panią Grubach, by to wyjaśnienie nie tylko uznała w całej rozciągłości, lecz naprawdę i szczerze w nie uwierzyła. Mnie nie musi pani przy tym w niczym oszczędzać. Jeśli pani rozpowie, że na panią napadłem, pani Grubach zostanie o tym w tym sensie poinformowana i uwierzy, nie tracąc do mnie zaufania. Tak bardzo jest mi oddana.

Panna Bürstner znieruchomiała i nieco skuliła w sobie, wbijając wzrok w podłogę.

— Dlaczegoż pani Grubach nie miałaby uwierzyć, że panią napadłem? — dodał K.

Widział tuż przed sobą rudawe włosy kobiety: z przedziałkiem, mocno spięte w duży, niski kok. Sądził, że zwróci ku niemu wzrok, lecz ona, nie zmieniając postawy, rzekła:

— Proszę wybaczyć, przestraszyło mnie to nagłe pukanie, nie tyle skutki, jakie mogłaby mieć obecność kapitana. Po pańskim krzyku zapadła taka cisza, i właśnie wtedy rozległo się to gwałtowne pukanie, dlatego tak się przeraziłam; siedziałam też blisko drzwi, słyszałam pukanie niemal tuż obok mnie. Za pańskie propozycje dziękuję, ale ich nie przyjmę. Za wszystko, co się dzieje w moim pokoju, mogę ponieść odpowiedzialność, i to wobec każdego. Dziwię się, że pan nie dostrzega, jak obraźliwe, mimo dobrych intencji, które rzecz jasna doceniam, są pańskie propozycje. A teraz proszę już iść, proszę

zostawić mnie samą, potrzebuję tego teraz jeszcze bardziej niż przed chwilą. Z tych paru minut, o które pan prosił, zrobiło się już pół godziny albo i więcej.

K. ujął jej rękę, a potem nadgarstek.

— Ale nie gniewa się pani na mnie?

Strząsnęła jego dłoń i odparła:

— Nie, nie, ja się nigdy na nikogo nie gniewam.

Ponownie ujął jej nadgarstek; tym razem na to pozwoliła i w ten sposób odprowadziła go do drzwi. Był zdecydowany wyjść. Lecz zawahał się przy samych drzwiach, jakby nie spodziewał się ich tam zobaczyć; panna Bürstner skorzystała z tej chwili, by się wyswobodzić i je otworzyć, przemknąć do przedpokoju i stamtąd cicho powiedzieć do K.:

— Niech pan tu podejdzie, proszę, niech pan spojrzy — wskazała na drzwi kapitana, spod których wychodziła poświata. — Zapalił światło i rozprawia o nas.

— Już idę — rzekł K., podszedł do niej, chwycił ją, pocałował w usta, a potem zaczął całować jej twarz niczym spragnione zwierzę, które chłepce strumień wody z wreszcie odnalezionego źródła. W końcu pocałował ją w szyję, tuż przy krtani, i tam długo przywarł ustami.

Jakiś odgłos z pokoju kapitana sprawił, że K. podniósł wzrok.

— Teraz już pójdę — powiedział; chciał zwrócić się do panny Bürstner po imieniu, lecz go nie znał.

Skinęła głową, znużona, podała mu jakby nieświadomie, już w pół odwrócona, dłoń do pocałowania, i skulona wróciła do swojego pokoju.

Krótko potem K. położył się do łóżka. Bardzo szybko zasnął; przed zaśnięciem pomyślał jeszcze przez chwilę o swoim zachowaniu i był z niego zadowolony, dziwił się jednak, że nie jest jeszcze bardziej zadowolony; bardzo się martwił o pannę Bürstner z powodu kapitana.

ROZDZIAŁ DRUGI

Pierwsze przesłuchanie

K. został powiadomiony telefonicznie, że w najbliższą niedzielę odbędzie się w jego sprawie krótkie przesłuchanie. Zwrócono mu uwagę na fakt, że takie przesłuchania będą się teraz odbywały regularnie i że, choć może nie co tydzień, to jednak będą następowały częściej. Leżało bowiem z jednej strony w ogólnym interesie, by proces doprowadzić do rychłego końca, z drugiej zaś przesłuchania musiały być pod każdym względem wnikliwe, a przecież przez wzgląd na związane z nimi trudy nie należało ich jednocześnie zbyt często przeciągać. Dlatego wybrano rozwiązanie w postaci następujących po sobie w niedługim czasie krótkich przesłuchań. Na ten dzień wyznaczono niedzielę, z tego powodu, by nie zakłócać pracy zawodowej K. Założono, że się z tym zgadza; bo gdyby sobie życzył innego terminu, postarano by się, na ile to możliwe, spełnić jego prośbę. Przesłuchania mogłyby się także odbywać przykładowo nocą, ale wtedy K. zapewne nie byłby wystarczająco przytomny. W każdym razie zamierzano pozostać przy niedzieli, dopóki K. nie zgłosi sprzeciwu. Rzecz jasna na przesłuchania powinien się stawiać bezwarunkowo, nie trzeba tego specjalnie zaznaczać. Podano mu numer domu na przedmieściach, do którego K. miał się zgłosić; był to budynek na odległej ulicy, na której jeszcze nigdy nie był. Gdy usłyszał tę wiadomość przez telefon, odłożył słuchawkę, nie odpowiadając ani słowem, i od razu postanowił udać się tam w niedzielę; było to z pewnością konieczne, proces się rozpoczął i musiał mu się jakoś przeciwstawić, to pierwsze przesłuchanie powinno być też ostatnim.

Wciąż stał w zamyśleniu przy aparacie, gdy usłyszał za sobą głos wicedyrektora, który chciał gdzieś zatelefonować, ale K. stał mu na drodze.

— Złe wieści? — spytał od niechcienia wicedyrektor; nie po to, by uzyskać odpowiedź, lecz by odprawić K. od aparatu.

— Nie, nie — rzekł K., ustępując mu miejsca, jednak nie odchodząc.

Wicedyrektor wziął słuchawkę i czekając na połączenie, odezwał się znad niej:

— Jedno pytanie, panie K. Zechciałby mi pan w niedzielę rano sprawić przyjemność, dotrzymując nam towarzystwa podczas rejsu moją żaglówką? Będzie więcej osób, z pewnością znajdą się tam również pańscy znajomi. Między innymi prokurator Hasterer. Zechce pan przyjść? Proszę, niech pan do nas dołączy!

K. starał się uważnie wsłuchać w te słowa. Nie były dla niego bez znaczenia, gdyż owo zaproszenie ze strony wicedyrektora, z którym nigdy nie żył w szczególnie dobrych stosunkach, oznaczało próbę pojednania z jego strony i pokazywało, jak ważny stał się K. w banku oraz jak cenną wydawała się drugiemu co do rangi urzędnikowi banku jego przyjaźń, czy choćby bezstronność. To zaproszenie musiało być dla wicedyrektora uwłaczające, choć wypowiedział je tylko znad słuchawki w oczekiwaniu na połączenie.

K. musiał jednak dołożyć do tego kolejne upokorzenie, mówiąc:

— Dziękuję bardzo! Niestety nie mam w niedzielę czasu, mam już pewne zobowiązania.

— Szkoda — rzekł wicedyrektor i skierował uwagę na połączenie telefoniczne, które właśnie zostało nawiązane.

Rozmowa nie była krótka, ale K. cały ten czas trwał w swoim roztargnieniu obok aparatu. Dopiero gdy wicedyrektor zakończył rozmowę, K. zląkł się i by choć trochę usprawiedliwić swoje bezcelowe pozostanie przy telefonie, rzekł:

— Przed chwilą do mnie dzwonili, by mi powiedzieć, że mam się gdzieś stawić, ale zapomnieli wspomnieć, o której godzinie.

— Niech pan dopyta — stwierdził wicedyrektor.

— To nie jest takie ważne — odparł K., choć pogorszył tym samym swoją wcześniejszą, i tak już marną wymówkę.

Wicedyrektor na odchodnym poruszył jeszcze inne sprawy. K. zmusił się do odpowiedzi, zastanawiając się jednak głównie nad tym, że najlepiej będzie stawić się w niedzielę o dziewiątej rano, gdyż o tej właśnie porze wszystkie sądy rozpoczynają pracę w dni powszednie.

Niedziela była pochmurna. K. czuł się bardzo zmęczony, bo z okazji pewnej uroczystości świętował w gospodzie do późnej nocy, więc kolejnego dnia o mało nie zasnął. W pośpiechu, nie mając czasu na zebranie myśli i zestawienie w głowie rozmaitych planów, które rozważał od tygodnia, ubrał się i pobiegł, bez śniadania, pod podany mu adres na przedmieściach. Dziwnym trafem, mimo braku czasu na rozglądanie się wokół, napotkał po drodze trzech urzędników mających do czynienia z jego sprawą: Rabensteina, Kullicha i Kaminera. Dwaj pierwsi przecięli drogę K. tramwajem, Kaminer zaś siedział na tarasie kawiarni i w chwili, gdy K. przechodził obok, wychylił się z zaciekawieniem przez balustradę. Wszyscy najpewniej odprowadzili go wzrokiem i zdziwili się, że ich przelony biegnie; jakaś przekora powstrzymała K. od skorzystania z tramwaju, żywił wstręt do wszelkiej, choćby najdrobniejszej cudzej pomocy w tej swojej sprawie, nie chciał też nikogo absorbować i tym samym choćby w najodleglejszy sposób wtajemniczać; wreszcie nie miał też najmniejszej ochoty poniżyć się zbytnią punktualnością wobec komisji przesłuchującej. A jednak teraz biegł, byle tylko w miarę możliwości stawić się o godzinie dziewiątej, chociaż nawet nie wezwano go na określoną godzinę.

Wydawało mu się, że rozpozna budynek już z daleka po jakimś oznaczeniu, którego nie potrafił sobie dokładnie wyobrazić, albo po jakimś szczególnym, już z oddali dostrzegalnym poruszeniu przed wejściem. Lecz po obu stronach Juliusstraße, przy której miał stać i przy której wylocie K. na moment się zatrzymał, znajdowały się jednakowe domy — wysokie, szare, zamieszkałe przez ubogich kamienice czynszowe. Teraz, tego niedzielnego poranka, większość okien była zajęta; mężczyźni w koszulach wychylali się przez nie, paląc papierosy albo przytrzymując przy skraju ostrożnie i z czułością małe dzieci. W innych oknach piętrzyła się pościel, ponad którą niekiedy przemykała rozczochrana głowa kobiety. Ludzie wołali coś do siebie nawzajem przez ulicę, jeden z takich okrzyków wywołał właśnie nad głową K. salwę śmiechu. W równych odstępach wzdłuż tej długiej ulicy mieściły się niewielkie sklepiki z różnymi artykułami spożywczymi, schodziło się do nich po paru schodkach, gdyż znajdowały się poniżej poziomu jezd-

ni. Kobiety wchodziły tam i wychodziły stamtąd, albo rozprawiały ze sobą na stopniach. Handlarz owoców, który zachwalał towar ludziom w oknach, o mało nie przewrócił swoim wózkiem K., równie nieuważnego jak on sam. Wtem rozległy się pierwsze dźwięki przeraźliwej muzyki z patefonu, wysłużonego w lepszych dzielnicach miasta.

K. wszedł głębiej w zaułek, wolno, jakby teraz już miał czas, albo jakby sędzia śledczy spoglądał nań z któregoś okna, wiedząc, że K. się właśnie stawiał. Było tuż po dziewiątej. Budynek znajdował się dość daleko, był nad wyraz rozległy, zwłaszcza brama wjazdowa była wysoka i szeroka. Najwidoczniej była przeznaczona dla ciężkich wozów, zmierzających do różnych składów, teraz pozamykanych, które mieściły się wokół wielkiego dziedzińca i nad którymi widniały szyldy z nazwami firm; K. znał niektóre z nich z transakcji bankowych. Wbrew przyzwyczajeniu, by nie poświęcać uwagi podobnym zewnętrznym detalom, zatrzymał się na chwilę przy wejściu na dziedziniec. Tuż obok niego siedział na skrzyni bosy mężczyzna i czytał gazetę. Na ręcznym wózku bujało się dwóch chłopców. Chuderlawa dziewczynka w szlafroku, stojąca przy pompie i nalewająca wodę do dzbanka, zerknęła na K. W rogu dziedzińca, między dwoma oknami rozpięto sznur, na którym rozwieszono pranie do wyschnięcia. Na dole stał mężczyzna i okrzykami komenderował robotnikami.

K. odwrócił się w stronę schodów, by dojść do pokoju przesłuchań, lecz po chwili zatrzymał się, bo oprócz tychże stopni dostrzegł na dziedzińcu jeszcze trzy inne klatki schodowe, a poza tym wszystko wskazywało na to, że niewielkie przejście na końcu dziedzińca prowadzi do kolejnych. Zdenerwował się, że nie wskazano mu położenia pokoju dokładniej, potraktowano go doprawdy w sposób zdumiewająco lekceważący czy też obojętny; zamierzał to głośno i wyraźnie oświadczyć.

W końcu jednak wszedł na pierwsze schody, bawiąc się w myślach wspomnieniem słów strażnika Willema, że sąd jest przyciągany przez winę, z czego by właściwie wynikało, iż pokój przesłuchań powinien się znajdować właśnie przy tych schodach, które K. losowo wybrał.

Wchodząc na górę, przeszkodził bawiącym się na schodach brzdącom, które zerkwały na niego spode łba, gdy przechodził między nimi.

„Jeśli będę musiał tędy przejść ponownie, muszę zabrać ze sobą słodycze, żeby je sobie zjednać, albo bat, żeby je sprać”, pomyślał sobie.

Tuż przed dotarciem na pierwsze piętro musiał chwilę odczekać, żeby tocząca się kula zakończyła swój bieg, dwóch małych urwisów z minami zaciętymi niczym u dorosłych gagatków, trzymało go w tym czasie za nogawki; gdyby chciał ich strząsnąć, musiałby zrobić im krzywdę, a obawiał się, że podniosą krzyk.

Właściwe poszukiwania zaczęły się na pierwszym piętrze. Ponieważ nie mógł tak po prostu zapytać nikogo o komisję śledczą, wymyślił sobie stolarza Lanza — nazwisko to przyszło mu do głowy, bo tak nazywał się kapitan, siostrzeniec pani Grubach — i postanowił teraz zapytać w każdym mieszkaniu, czy mieszka tu stolarz Lanz, by tym sposobem zyskać możliwość zajrzenia do pokoi. Okazało się jednak, że na ogół było to możliwe i bez tego, gdyż prawie wszystkie drzwi stały otworem i dzieci biegały przez nie tam i z powrotem. Izby te w większości były małe, z jednym oknem i piecem, przy którym stały kobiety, nierzadko trzymając na ręku niemowlęta i drugą ręką zajmując się garnkami. Podłotki, wyglądające, jakby były ubrane tylko w fartuszki, uwijały się najzwawiej. W każdym pokoju łóżka wciąż były pozajmowane: leżeli tam chorzy i śpiący, a także ludzie, którzy przeciągali się w ubraniu.

K. pukał do mieszkań, których drzwi pozostawały zamknięte, i pytał, czy mieszka tam stolarz Lanz. Najczęściej otwierała mu jakaś kobieta i po usłyszeniu pytania odwracała się do pokoju, gdzie ktoś podnosił się z łóżka.

— Ten pan pyta, czy mieszka tu stolarz Lanz.

— Stolarz Lanz? — dopytywał człowiek w łóżku.

— Tak — przytakiwał K., choć niewątpliwie żadnej komisji śledczej tam nie było i tym samym jego zadanie w tym miejscu dobiegało końca.

Wielu sądziło, że K. bardzo zależy na znalezieniu stolarza Lanza, roztrząsali to długo, wymieniali nazwisko stolarza, który nie nazywał się Lanz, albo takie, które w jakimś dalekim stopniu było do niego podobne, niektórzy szli zasięgnąć języka do sąsiadów, albo odprowadzali K. do odległych drzwi, gdzie ich zdaniem taki człowiek mógł podnajmować

pokój lub gdzie przebywał ktoś, kto mógłby udzielić K. odpowiedzi na jego pytanie lepiej niż oni sami.

W końcu K. niemal nie musiał już sam pytać, lecz był w ten sposób zaciągany na kolejne piętra. Pożałował swego planu, który zrazu wydał mu się tak praktyczny. Przed piątym piętrem postanowił zaniechać dalszych poszukiwań, pożegnał się z uprzejmym młodym robotnikiem, który chciał go prowadzić dalej w górę, i zszedł na dół. Potem jednak zezłościł się znów na daremność całego przedsięwzięcia, wrócił więc i zapukał do pierwszych drzwi na piątym piętrze.

Tym, co od razu ujrzał w małym pokoju, był duży zegar ścienny, wskazujący już dziesiątą.

— Czy mieszka tu stolarz Lanz? — zapytał.

— Proszę — rzekła młoda kobieta o czarnych, lśniących oczach, która właśnie prała w balii dziecięce ubranka, i mokrą ręką wskazała na otwarte drzwi sąsiedniego pokoju.

K. wydawało się, że wchodzi na jakieś zgromadzenie. Tłok najrozmaitszych ludzi — nikt nie przejął się wchodzącym — wypełniał średniej wielkości, dwuokienne pomieszczenie, które tuż pod sufitem otaczała galeria, również całkowicie obsadzona; ludzie tam mogli stać tylko skuleni, uderzając głową i plecami o sufit. K., któremu powietrze wydało się zbyt duszne, zawrócił i rzekł do młodej kobiety, która najpewniej źle go zrozumiała:

— Pytałem o pewnego stolarza, Lanza.

— Tak, proszę wejść do środka. — K. może i by za nią nie ruszył, gdyby nie to, że podeszła do niego, chwyciła kłamek i dodała: — Muszę za panem zamknąć, nikomu więcej nie wolno tam wejść.

— Bardzo rozsądnie — odparł K. — ale już i tak jest tam zbyt tłoczno.

Potem jednak wszedł z powrotem do środka. Między dwoma mężczyznami, którzy rozmawiali przy samych drzwiach — jeden, obiema dłońmi wyciągniętymi przed siebie wykonywał ruch, jakby przeliczał pieniądze, a drugi nie spuszczał z niego wzroku — czyjaś ręka chwyciła K. Należała do małego chłopca z rumianymi policzkami.

— Niech pan wchodzi, niech pan wchodzi — powiedział.

K. pozwolił mu się poprowadzić; okazało się, że przez ten bezładny tłum biegło jednak wąskie przejście, które być może rozdzielało dwa stronnictwa⁵; przemawiało za tym i to, że w pierwszych rzędach po prawej i po lewej stronie K. ledwie mógł dostrzec twarze zwrócone ku niemu, widział tylko plecy ludzi, którzy swe słowa i gesty kierowali wyłącznie do osób po własnej stronie. Większość była ubrana na czarno, miała na sobie stare, długie, luźno zwisające surduty odświętne. Tylko ten strój zbijał K. z tropu, inaczej wziąłby to wszystko za dzielnicowe posiedzenie polityczne.

Na drugim końcu sali, gdzie chłopiec poprowadził K., na bardzo niskim, również przepelnionym podeście ustawiono w poprzek niewielki stolik, a za nim, tuż przy krawędzi podestu, siedział niski, tęgi, sapiący mężczyzna i rozmawiał z człowiekiem, stojącym za nim ze skrzyżowanymi nogami i opierającym łokieć o poręcz krzesła. Człowiek ten raz po raz wybuchął gromkim śmiechem i momentami wyrzucał rękę w górę, jakby kogoś parodiował. Chłopiec, który przyprowadził K., z trudem mógł go zaanonsować. Dwa razy już próbował coś powiedzieć, wspinając się na palce, mężczyzna na gorze jednak go nie zauważył. Dopiero gdy ktoś z osób na podeście zwrócił jego uwagę na chłopca, mężczyzna odwrócił się ku niemu i pochyliwszy się, wysłuchał wypowiedzianych przez niego cicho słów, po czym wyjął zegarek i rzucił szybkie spojrzenie na K.

— Powinien był pan stawić się godzinę i pięć minut temu — powiedział.

K. chciał coś odpowiedzieć, ale nie miał na to czasu, bo ledwo mężczyzna skończył mówić, w prawej części sali rozległo się szemranie.

— Powinien był pan stawić się godzinę i pięć minut temu — powtórzył podniesionym głosem i szybko zerknął w dół, na salę.

Szemranie natychmiast wzmogło się, a jako że mężczyzna nic więcej nie dodał, po chwili zaczęło się stopniowo uspokajać. W sali zrobiło się o wiele ciszej niż w chwili wejścia K. Tylko ludzie na galerii przestawali komentować. Wydawali się — o ile można było tam u góry, w półmroku, zaduchu i kurzu cokolwiek rozróżnić — nosić gorsze ubrania

⁵dwa stronnictwa — niem. *Partei* oznacza zarówno stronę w procesie sądowym, jak i partię, stronnictwo; Kafka używa tego słowa także w odniesieniu do klientów banku — miejsca pracy K. Dzięki temu pozostaje ono celowo zawieszane między zwykłymi interesantami a kontekstem prawniczym. [przypis tłumacza]

niż ci na dole. Niektórzy przynieśli ze sobą poduszki, które wkładali między głowę a sufit, aby się nie poobcierać.

K. postanowił raczej obserwować niż mówić, toteż nie bronił się przed zarzutem spóźnienia, odpierając tylko:

— Może i przyszedłem spóźniony, ale teraz już tu jestem.

Z prawej strony sali rozległy się oklaski.

„Tych nietrudno sobie zjednać”, pomyślał K.; przeszkadzała mu jedynie cisza po lewej stronie, zaraz za jego plecami, skąd dochodziły zaledwie pojedyncze klaśnięcia. Zastanawiał się, co mógłby powiedzieć, by pozyskać wszystkich dla siebie, a jeśli miałyby to nie być możliwe, przynajmniej choć na chwilę również tych drugich.

— Tak — rzekł mężczyzna. — Teraz jednak nie mam już obowiązku pana przesłuchiwać. — Znów podniosło się szemranie, tym razem jednak wynikające z nieporozumienia, gdyż mężczyzna, jakby odganiając ludzi ręką, ciągnął dalej: — Niemniej jednak wyjątkowo to dziś uczynię. Takie spóźnienie nie może się jednak powtórzyć. A teraz proszę wystąpić do przodu!

Ktoś zeskoczył z podestu, robiąc K. miejsce, na które ten wszedł. Stał przyciśnięty do stołu; ścisk za jego plecami był tak wielki, że musiał się zapierać, żeby nie zepchnąć z podestu stołu sędziego śledczego, a może nawet i jego samego.

Jednak sędzia śledczy nie zwrócił na to w ogóle uwagi; siedział dość wygodnie na swoim krześle i po wypowiedzeniu ostatniego słowa do mężczyzny za sobą sięgnął po notes, jedyny przedmiot leżący na stole. Był to zeszyt szkolny, stary, mocno sfatygowany od częstego wertowania. Sędzia śledczy przekartkował go i tonem stwierdzenia zwrócił się do K.:

— A więc jest pan malarzem pokojowym.

— Nie — odparł K. — pierwszym prokurentem wielkiego banku.

Na tę odpowiedź po prawej stronie na dole rozległ się śmiech tak serdeczny, że K. musiał do niego dołączyć. Ludzie podpierali dłonie na kolanach i trzęśli się jak przy poważnych napadach kaszlu. Śmiały się nawet pojedyncze osoby na galerii. Sędzia śledczy, całkiem już rozgniewany, zapewne bezsilny wobec tych na dole, chciał to sobie odbić na widzach z galerii, poderwał się, zaczął się im odgrażać, a jego dotąd raczej niepozorne brwi zbiegły się nad oczami w gęste, czarne, wielkie krzaki.

Lewa połowa sali wciąż jednak była pogrążona w ciszy; ludzie stali tam w rzędach z twarzami zwróconymi ku podestowi i z takim samym spokojem przysłuchiwali się wymianie słów na górze, jak i wrzawie drugiego stronnictwa, dopuszczali nawet, by niektórzy z ich szeregów występowali niekiedy razem z tamtymi. Ludzie z lewego stronnictwa, zresztą mniej licznego, mogli być w gruncie rzeczy równie mało znaczący jak owi po prawej, ale spokój ich zachowania powodował, że wydawali się znaczyć więcej. Gdy K. zabrał głos, był pewien, że przemawia zgodnie z ich poglądami.

— Pańskie pytanie, panie sędzio śledczy, czy jestem malarzem pokojowym, a raczej wcale pan nie pytał, tylko oznajmił mi to wprost, jest znamienne dla całego sposobu prowadzenia tego postępowania przeciwko mnie. Może pan tu zgłosić sprzeciw, że to w ogóle nie jest postępowanie, i będzie pan miał rację, bo postępowaniem będzie dopiero wtedy, gdy je za nie uznaję. Otóż obecnie uznaję je za takie, w pewnym sensie, z litości. Nie sposób podchodzić do tego inaczej niż z litością, jeśli w ogóle chce się temu poświęcać uwagę. Nie powiem, że to postępowanie prowadzone jest nieprzyzwoicie, ale chciałbym panu to określenie podsunąć pod rozwagę.

K. przerwał i spojrział w dół, na salę. To, co powiedział, było ostre — ostrzejsze, niż zamierzał — a jednak słuszne. Zaslugałoby na oklaski z jednej albo drugiej strony, lecz zapadła cisza; najwidoczniej oczekiwano z napięciem ciągu dalszego, być może w tej ciszy czaił się wybuch, który wszystko zakończy. Wtem powstało jakieś zamieszanie; na końcu sali otworzyły się drzwi i weszła przez nie młoda pracznica, która zapewne właśnie skończyła pracę, i mimo ostrożności ściągnęła na siebie parę spojrzeń. Jedynie widok sędziego śledczego natychmiast wywołał w K. radość, bo wyglądał, jakby jego słowa od razu do niego trafiły. Do tej chwili słuchał przemowy K. na stojąco, po tym jak podniósł się i zwrócił w stronę galerii. Teraz, gdy K. przerwał, sędzia usiadł powoli, jakby wolał, by

nikt tego nie dostrzegł. Ponownie sięgnął po swój zeszytek, zapewne w celu uspokojenia wyrazu twarzy.

— Nic to nie da — ciągnął K. — Pański zeszytek, panie sędzio śledczy, również potwierdza zasadność moich słów.

Usatysfakcjonowany tym, że wśród tych obcych ludzi słyhać było tylko jego spokojne słowa, K. ośmielił się nawet odebrać sędziemu śledczemu zeszyt i, trzymając go czubkami palców, jakby się go brzydził, uniósł zeszyt za kartkę w środku tak, że pozostałe — gęsto zapisane, poplamione i pożółkłe na krawędziach — zwisały teraz po jej obu stronach.

— To akta sędziego śledczego — powiedział i upuścił zeszyt na stół. — Proszę spokojnie kartkować dalej, panie sędzio śledczy, naprawdę nie boję się tego rejestru winnych, choć nie mam do niego dostępu, bo nie jestem w stanie wziąć go w całości do dłoni, a jedynie ująć w dwóch palcach.

Mogło to być jedynie oznaką głębokiego upokorzenia albo przynajmniej musiało tak zostać odebrane, gdyż sędzia śledczy sięgnął po zeszytek tam, gdzie upadł na stół, po czym spróbował go nieco uporządkować, wziął go ponownie do ręki i zaczął w nim czytać.

Twarze ludzi w pierwszym rzędzie były zwrócone ku K. z takim napięciem, że przez chwilę nie mógł od nich oderwać wzroku. Siedzieli tam wyłącznie starsi mężczyźni, niektórzy z siwymi brodami. Może oni byli rozstrzygający i mieli wpływ na wszystkich zgromadzonych, których nawet upokorzenie sędziego śledczego nie zdołało wyrwać z bezruchu, w jaki zapadli od momentu przemowy K.

— To, co mi się przydarzyło — podjął K., nieco ciszej niż przedtem, wciąż lustrując wzrokiem twarze pierwszego rzędu, co przydawało jego przemowie nieco chaotycznego wyrazu — to, co mi się przydarzyło, jest tylko odosobnionym przypadkiem i jako takie nie ma wielkiego znaczenia, bo i ja nie traktuję go ze zbytnią powagą, ale jest reprezentatywne dla postępowań, jakie praktykuje się wobec wielu. W ich imieniu tu występuję, nie w swoim.

Mimowolnie podniósł głos. Ktoś zaklaskał z uniesionymi dłońmi i zawołał:

— Brawo! Bo czemuż by nie? Brawo! I jeszcze raz brawo!

Niektórzy mężczyźni w pierwszym rzędzie złapali się za brody, nikt jednak nie obejrzał się za siebie po usłyszeniu tego głosu. Także K. nie przywiązywał do niego większego znaczenia, został jednak przez niego odrobinę ośmielony; nie uważał już wcale za niezbędne, by oklaskiwali go wszyscy, wystarczyłoby mu, żeby jedynie zaczęli się zastanawiać nad tą sprawą i by choć czasem zdołał kogoś przekonać do swojej racji.

— Nie dbam o sukces jako mówca — rzekł K., w następstwie swoich rozważań. — Zresztą bez wątpienia nie jest on dla mnie czymś osiągalnym. Pan sędzia potrafi prawdopodobnie mówić o wiele lepiej, wszak należy to do jego profesji. Mnie chodzi jedynie o publiczną debatę na temat jawnego nadużycia. Proszę mnie wysłuchać: jakieś dziesięć dni temu zostałem aresztowany, z samego faktu aresztowania śmieję się, ale nie czas na to ani miejsce. Napadnięto na mnie, gdy byłem jeszcze w łóżku, może, wedle tego, co powiedział sędzia śledczy, nie jest to wykluczone, że rozkaz aresztowania dotyczył jakiegoś malarza pokojowego, równie niewinnego jak ja, a jednak wybrano mnie. Sąsiedni pokój zajęło dwóch obcesowych strażników. Nie można było zastosować lepszych środków ostrożności, gdybym był niebezpiecznym rzeźmieszkiem. Ci strażnicy to zdegenerowana hołota, zamęczali mnie swoim gładzeniem, domagali się łapówek, chcieli podstępem wyludzić bieliznę i ubranie, żądali pieniędzy, by rzekomo przynieść mi śniadanie, po tym jak moje własne bezwstydnie pochłonęli na moich oczach. A na tym wcale nie koniec. Zostałem zaprowadzony do trzeciego pokoju, przed nadzorcę. Był to pokój pewnej damy, którą bardzo szanuję, a musiałem patrzeć, jak ten pokój z mojego powodu, choć nie z mojej winy, został w pewnym sensie zbrukany obecnością strażników i nadzorcy. Nie było mi łatwo zachować opanowanie, a jednak mi się to udało i z zupełnym spokojem zapytałem nadzorcę, a gdyby tu był, z pewnością by to potwierdził, o powód mojego aresztowania. Cóż odpowiedział ów nadzorca, którego wciąż jeszcze widzę, jak siedzi przede mną na krześle należącym do wspomnianej damy niczym uosobienie największej tępoty i arogancji zarazem? Panowie, w gruncie rzeczy nie odpowiedział nic, może naprawdę nic nie wiedział, aresztował mnie i był z tego zadowolony. Posunął się nawet dalej i przyprowadził do pokoju owej damy trzech niższych rangą urzędników mojego banku, którzy zaczęli dotykać jej fotografii, wprowadzając w nich nieład. Obecność tych urzędników

miała oczywiście jeszcze inny cel: mieli oni, podobnie jak moja gospodyni i jej służąca, roznieść wieść o moim aresztowaniu, zaszkodzić mojej reputacji, a zwłaszcza zachwiać moją pozycją w banku. Żaden jednak z tych planów nawet w najmniejszym stopniu się nie powiódł; sama moja gospodyni, osoba zupełnie prosta, pragnę w tym miejscu wymienić z całym należnym szacunkiem jej nazwisko, pani Grubach; tak więc sama pani Grubach była na tyle rozumna, by pojąć, że takie aresztowanie nie znaczy więcej niż napaść, jakiej w zaułkach mogą się dopuścić pozbawione nadzoru młokosy. Powtórzę, mnie całe to zdarzenie przyniosło tylko niedogodności i chwilowe kłopoty, lecz czyż nie mogło pociągnąć za sobą o wiele gorszych skutków?

Gdy K. w tym miejscu przerwał i spojrział na pogrążonego w milczeniu sędziego śledczego, zdawało mu się, że właśnie posłał komuś w tłumie porozumiewawcze spojrzenie. K. uśmiechnął się i rzekł:

— Tuż obok mnie pan sędzia śledczy daje właśnie któremuś z panów tajny sygnał. A więc są wśród państwa osoby, które są stąd, z góry, dyrygowane. Nie wiem, czy sygnał ten miał teraz wywołać buczenie czy oklaski, i przez to, że rzecz przed czasem wyjawiam, całkiem świadomie rezygnuję z poznania jego znaczenia. Jest mi ono zupełnie obojętne i publicznie upoważniam pana sędziego, by opłacanych przez siebie podwładnych tam na dole komenderował nie tajnymi znakami, lecz głośnymi słowami, na przykład niech wprost powie: „teraz macie buczeć”, a innym razem: „teraz macie klaskać”.

Speszony czy też zniecierpliwiony sędzia śledczy przez chwilę wiercił się na krześle na wszystkie strony. Stojący za nim mężczyzna, z którym wcześniej rozmawiał, znowu się nad nim nachylił — czy po to, by sędziemu w ogóle dodać odwagi, czy też udzielić jakiejś szczególnej rady. Ludzie na dole prowadzili ciche, lecz ożywione rozmowy. Dwa stronnictwa, które wcześniej zdawały się mieć poglądy zupełnie odmienne, zmieszały się ze sobą, jedni wskazywali palcem na K., inni na sędziego śledczego. Parny zaduch na sali skondensował się w postaci mgielki i stał się nader dokuczliwy, wręcz uniemożliwiał dokładniejsze śledzenie tych, którzy stali w nieco większym oddaleniu. Musiał być szczególnie dokuczliwy dla osób na galerii, którzy byli zmuszeni — lękliwie zerkając na sędziego śledczego — zadawać po cichu pytania innym zgromadzonym, by się doinformować. Ci udzielali im odpowiedzi równie cichym głosem, zasłaniając usta dłonią.

— Zaraz skończę — powiedział K. i, ponieważ nie było dzwonka, uderzył pięścią w stół.

Wystraszeni tym nagłym uderzeniem sędzia śledczy oraz jego doradca gwałtownie odsunęli od siebie głowy.

— Na całą tę sprawę patrzę z dystansu — kontynuował K. — dlatego osądzam ją ze spokojem, i mogą panowie, o ile zależy wam na tym rzekomym sądzie, mieć wielką korzyść z tego, że mnie wysłuchają. Proszę, odłóżcie na później narady nad tym, co przedstawiam, bo nie mam na to czasu i wkrótce stąd wyjdę.

Natychmiast zrobiło się cicho, tak bardzo K. panował już nad zgromadzeniem. Jego uczestnicy przestali się nawzajem przekrzykiwać jak na początku, nie bili już nawet braw, lecz zdawali się przekonani albo na najlepszej drodze ku temu.

— Nie ulega wątpliwości — powiedział K. bardzo cicho, bo sprawiała mu przyjemność napięta uwaga wśród obecnych na sali; w tej ciszy powstał szmer, rozgrzewający bardziej niż najzarliwsze oklaski — nie ulega wątpliwości, że za wszystkimi działaniami zewnętrznymi tego sądu, w moim więc przypadku za aresztowaniem i dzisiejszym przesłuchaniem, stoi jakaś wielka organizacja. Organizacja, która nie tylko zatrudnia przepuknych strażników, głupkowatych nadzorców i sędziów śledczych, którzy w najlepszym razie są nieudolni, lecz która nadto bez wątpienia utrzymuje sędziowskie instancje szczebla wysokiego i najwyższego, z niezliczonym, niezbędnym orszakiem sług, protokolantów, żandarmów i pozostałych asystentów, być może nawet katów, owszem, nie cofam się przed tym słowem. A sens tej wielkiej organizacji, moi panowie? Polega on na tym, że niewinnych ludzi aresztuje się i wszczyzna przeciw nim bezsensowne, a najczęściej, jak w moim przypadku, bezowocne postępowanie. Jakże można by w obliczu niedorzeczności tego wszystkiego zatuszować tę najniecierpielszą korupcję urzędniczą? To niemożliwe, nie zdołałby się jej oprzeć nawet najwyższy sędzia. To dlatego strażnicy próbują żywcem ograbić aresztowanych z garderoby, zdzierając im ją z ciała; dlatego nadzorcy wdzierają się do cudzych mieszkań, a niewinnych, miast przesłuchiwać, woli się upokarzać przed

całymi zgromadzeniami. Strażnicy wspominali tylko o depozytach, do których składa się mienie aresztowanych; chciałbym raz zobaczyć te miejsca, w których tak ciężko zapracowany majątek aresztowanych butwieje, o ile wcześniej nie zostanie rozkradziony przez zatrudnionych tam złodziei.

Przemowa K. została nagle przerwana przez wrzask dochodzący z końca sali. Próbując dojrzeć, skąd dochodzi, K. zasłonił oczy, bo przygaszone światło dzienne sprawiło, że mgiełka przybrała białawy odcień i go oślepiła. Okazało się, że to praczka, której obecność, już kiedy weszła do sali, wydała się K. kłopotliwa. Nie można było rozpoznać, czy była teraz winna, czy nie. K. widział tylko, że jakiś mężczyzna zaciągnął ją do kąta przy drzwiach i przyciskał do siebie. Nie ona jednak krzyczała, tylko ów mężczyzna; miał szeroko rozwarte usta i patrzył w sufit. Wokół nich utworzył się niewielki krąg, a osoby na galerii w ich pobliżu zdawały się zachwycone, że przerwano tym sposobem poważny nastrój, który K. wprowadził do sali. W pierwszej chwili K. chciał natychmiast tam podejść, wydawało mu się też, że każdemu będzie zależało na zaprowadzeniu tam porządku, a przynajmniej na wyrzuceniu owej pary z sali, lecz pierwsze rzędy przed nim trwały nieugięte na swoich miejscach, nikt się nie ruszył i nikt nie przepuścił K. Wręcz przeciwnie, powstrzymywano go i czyjaś dłoń — nie miał czasu się odwrócić — chwyciła go z tyłu za kołnierz, jacyś mężczyźni w podeszłym wieku odcięli mu drogę, wyciągając przed siebie ręce; K. nie myślał już właściwie o owej parze, miał wrażenie, jakby ograniczano jego wolność, jakby właśnie teraz zaczęto traktować jego aresztowanie z całą powagą, i nie zważając na wszystko, zeskoczył z podestu. Teraz stał oko w oko z tłumem. Czyżby błędnie ocenił tych ludzi? Czy spodziewał się po swojej przemowie większej skuteczności? A może zgromadzeni tylko udawali podczas jego przemowy, a teraz, kiedy dochodził do wniosków, zaczęli mieć tego udawania dość? Cóż to za twarze miał teraz dookoła siebie! Małe, czarne, rozbiegane oczka; policzki obwisłe jak u przepitych alkoholików; długi zarost, szorstki i przeredzony; gdyby w nim zatopić palce, człowiek miałby wrażenie, że wyrosły mu szpony, którymi nie sposób złapać brody. Pod nią zaś — i to było kluczowym odkryciem K. — połyskiwały przy kołnierzach odznaki w rozmaitych wielkościach i barwach. Mieli je wszyscy, gdzie nie spojrzeć. Wszyscy należący do tych rzekomych stronnictw, prawego i lewego, tworzyli jedność; a gdy K. się nagle obejrzał, zobaczył takie same odznaki przy kołnierzu sędziego śledczego, który z rękami złożonymi na kolanach spoglądał spokojnie w dół.

— A więc tak się rzeczy mają! — zawołał K. i wyrzucił ręce w górę, gdyż to nagłe odkrycie domagało się ujęcia. — Wszyscy jesteście, jak widzę, urzędnikami, jesteście tą skorumpowaną bandą, przeciwko której przemawiałem, stłoczyliście się tu jako słuchacze i szpicle, utworzyliście pozorne stronnictwa, z których jedno biło brawo, by mnie sprawdzić, zamierzaliście opanować sztukę zwodzenia niewinnych. Cóż, mam nadzieję, że nie przybyliście tu na próżno, i albo ubawiliście się myślą, że ktoś spodziewał się po was obrony niewinności; albo... Puszczaj, bo cię dzielę! — zawołał K. do trzęsącego się starca, który za bardzo na niego napał — albo też rzeczywiście wynieśliście z tego jakąś naukę. A tym samym właśnie tego wam życzę, powodzenia w waszym rzemiośle.

Chwycił w pośpiechu swój kapelusz leżący na skraju stołu, i zaczął się przeciskać do wyjścia w ciszy, jaka zapanowała wśród zgromadzonych, w ciszy pełnej absolutnego zaskoczenia. Sędzia śledczy okazał się jednak szybszy od K., bo czekał na niego przy drzwiach.

— Chwileczkę — powiedział.

K. stanął w miejscu, lecz nie spojrzął na sędziego śledczego, tylko na drzwi, których klamkę już ujął.

— Chciałem tylko zwrócić panu uwagę — rzekł sędzia śledczy — że dziś, z czego zapewne jeszcze nie zdaje pan sobie sprawy, pozbawił się pan pożytku, jakim przesłuchanie zawsze jest dla aresztowanego.

K. uśmiechnął się, wciąż patrząc na drzwi.

— Łotry, jeśli o mnie chodzi, możecie sobie darować wszelkie przesłuchania — zawołał, otworzył drzwi i zbiegł po schodach.

Za jego plecami ponownie podniósł się gwar wśród ożywionych widzów, którzy zaczęli komentować zaszłe wydarzenia w sposób, w jaki zazwyczaj robią to studenci.

ROZDZIAŁ TRZECI

W pustej sali posiedzeń — Student — Kancelarie

W ciągu całego następnego tygodnia K. dzień w dzień czekał na nową wiadomość; nie mógł uwierzyć, że jego rezygnację z przesłuchania wzięto dosłownie, i gdy do niedzielnego wieczoru wyczekiwana wiadomość rzeczywiście nie nadeszła, przyjął, że w drodze milczącego porozumienia wezwano go ponownie na tę samą porę do tego samego budynku. Dlatego też w niedzielę zjawił się tam znowu, tym razem zmierzał prosto przed siebie schodami i korytarzami; niektórzy go zapamiętali i witali się z nim, stojąc w progach swoich mieszkań, nie musiał już jednak nikogo o nic pytać i szybko trafił pod właściwe drzwi, które na jego pukanie zaraz się otworzyły i K., nie rozglądając się wcale za znajomą kobietą, która została przy wejściu, chciał od razu wejść do sąsiedniego pokoju.

— Dziś nie ma posiedzenia — oznajmiła.

— Dlaczego dziś miałyby nie być posiedzenia? — zapytał z niedowierzaniem.

W końcu go przekonała, otwierając drzwi do pokoju obok. Była rzeczywiście pusta i w swej pustce wyglądała jeszcze żałośniej niż ostatniej niedzieli. Na stole, który niezmiennie stał na podwyższeniu, leżało kilka książek.

— Mogę je przejrzeć? — zapytał K., nie z jakimś szczególnym zaciekawieniem, lecz jedynie po to, by nie wyjść stąd z poczuciem, że przybył tu całkiem na próżno.

— Nie — powiedziała kobieta i zamknęła z powrotem drzwi — to niedozwolone. To książki sędziego śledczego.

— Aha — rzekł K. i skinął głową. — Pewnie to jakieś kodeksy, a do założeń tego sądownictwa należy skazywanie nie tylko niewinnych, lecz i nieświadomych.

— Pewnie tak — stwierdziła kobieta, nie bardzo go rozumiejąc.

— Cóż, więc już pójdę — rzekł K.

— Mam coś przekazać sędziemu śledczemu? — spytała kobieta.

— A zna go pani?

— Oczywiście — odparła. — Mój mąż jest przecież woźnym sądowym.

Dopiero teraz K. zauważył, że pokój, w którym ostatnio stała tylko balia do prania, przemienił się w salon, w pełni umeblowany. Kobieta dostrzegła jego zdumienie i rzekła:

— Tak, możemy tu mieszkać za darmo, ale w dni posiedzeń musimy opróżnić ten pokój. Stanowisko mojego męża ma pewne wady.

— Nie tyle dziwię się pokojowi — powiedział K. i spojrzął na nią gniewnie. — Ile temu, że jest pani zamężna.

— Ma pan na myśli to zajście na ostatnim posiedzeniu, kiedy przeszkodziłam panu w przemowie? — zapytała.

— Oczywiście — odparł K. — Dziś to już sprawa miniona i niemal zapomniana, ale wtedy doprowadziła mnie niemal do wściekłości. A teraz pani twierdzi, że jest zamężna.

— Moje przerwanie wcale nie zaszkodziło pańskiej przemowie. Osądzano ją potem bardzo nieprzychylnie.

— Możliwe — odparł K. zbywająco. — Ale pani to nie usprawiedliwia.

— Jestem usprawiedliwiona wobec wszystkich, którzy mnie znają — odrzekła. — Ten, który mnie wtedy obejmował, prześladowa mnie już od dawna. Może i, patrząc ogólnie, nie jestem pociągająca, ale dla niego tak. Nie ma przed tym żadnej ochrony, mój mąż również się z tym pogodził; jeśli chce zachować posadę, musi to znosić, bo tamten to student i najpewniej dojdzie do większej władzy. Bez przerwy się za mną ugania, wyszedł tuż przed pana przyjściem.

— To pasuje do całej reszty — powiedział K. — Wcale mnie to nie zaskoczyło.

— Zdaje się, że chciałby pan tu niejedno naprawić — stwierdziła kobieta powoli i badawczo, jakby mówiła coś, co dla niej i dla K. mogło być niebezpieczne. — Wywnioskowałam to już z pańskiego przemówienia, które mi się bardzo spodobało. A słyszałam tylko jego część, początek przegapiłam, a podczas zakończenia leżałam z tym studentem na podłodze. — Na chwilę przerwała, a potem ujęła dłoń K. i dodała: — Przecież to odrażające miejsce! Sądzi pan, że zdoła coś naprawić?

K. uśmiechnął się i lekko obrócił swoją rękę w jej miękkich dłoniach.

— Właściwie wcale nie zatrudniono mnie po to, bym, jak to pani ujęła, coś tu naprawił, a gdyby pani wspomniała o tym sędziemu śledczemu, zostałyby pani wyśmiana albo ukarana. Z własnej woli rzeczywiście bym się w te sprawy nie mieszał i snu mojego nigdy nie zmąciłaby potrzeba naprawy tego sądownictwa. Ale przez to, że zostałem rzekomo aresztowany, bo jestem aresztowany, zostałem zmuszony, by tu zainterweniować, i to ze względu na samego siebie. Jeśli jednak mógłbym się pani przy tym na coś przydać, uczynię to oczywiście z wielką chęcią. Nie tylko z miłości bliźniego, lecz także dlatego, że i pani mogłaby pomóc mnie.

— A jak miałabym to zrobić? — zapytała kobieta.

— Na przykład pokazując mi teraz te książki na stole.

— Ależ oczywiście — zawołała i pociągnęła go pospiesznie za sobą. Były to stare, mocno sfatygowane tomy; jedna z okładek była pęknięta pośrodku, jej części trzymały się wyłącznie na włóknach.

— Ależ tu brudno — stwierdził K., kręcąc z niedowierzaniem głową.

Kobieta wytarła ręką fartucha kurz z powierzchni książek, zanim K. po nie sięgnął. Gdy otworzył pierwszy tom, jego oczom ukazał się nieprzyzwoity obrazek. Mężczyzna i kobieta siedzieli nago na kanapie; można było wyraźnie rozpoznać wulgarne intencje rysownika, ale jego nieudolność była tak wielka, że koniec końców widać było jednak tylko mężczyznę i kobietę, którzy swoimi zbyt cielesnymi kształtami wyłaniaли się z obrazu, siedząc przesadnie wyprostowani i wskutek błędnej perspektywy zaledwie z trudem zwracali się ku sobie. K. nie kartkował dalej, otworzył tylko stronę tytułową drugiej książki; była to powieść pod tytułem: *Udręki, jakie Grete musiała znosić ze strony swojego męża Hansa*⁶.

— Ach, więc takie kodeksy są tutaj studiowane — powiedział K. — Przez takie właśnie osoby mam być sądzony.

— Pomogę panu — rzekła kobieta. — Chce pan?

— Naprawdę mogłaby pani to zrobić, nie narażając przy tym samej siebie? Przecież pani przed chwilą stwierdziła, że pani mąż jest bardzo zależny od przełożonych.

— Mimo to chcę panu pomóc — powiedziała. — Proszę za mną, musimy o tym porozmawiać. O zagrożeniu dla mnie niech pan już nie wspomina, lękam się go tylko tam, gdzie lękać się chcę. Proszę za mną.

Wskazała na podest i poprosiła, by usiadł z nią na stopniu.

— Ma pan takie piękne, ciemne oczy — stwierdziła, gdy już usiedli, spoglądając z dołu na twarz K. — Mnie też mówią, że mam piękne oczy, ale pańskie są o wiele ładniejsze. Zwróciły zresztą moją uwagę już wtedy, gdy wszedł pan tu po raz pierwszy. To dla nich właśnie weszłam później do pokoju zebrań, czego nigdy nie robię i co jest mi nawet poniekąd zakazane.

„A więc na tym wszystko polega”, pomyślał K. „Oddaje mi się; jest zepsuta jak wszyscy wokół, ma już dość urzędników sądowych — co zresztą zrozumiałe — i dlatego każdego przypadkowego obcego wita komplementem o oczach.” I K. wstał bez słowa, jakby właśnie wypowiedział swoje myśli na głos i tym samym wyjaśnił kobiecie swoje zachowanie.

— Nie sądzę, by była pani w stanie mi pomóc — powiedział — żeby mi naprawdę pomóc, trzeba by się wdawać w związki z wysokimi urzędnikami. Pani natomiast zna zapewne tylko niższych pracowników, którzy tłumnie się tu kręcą. Tych z pewnością zna pani bardzo dobrze i mogłaby pani również niejedno od nich uzyskać, w to nie wątpię, ale wszystko, co dałoby się od nich osiągnąć, byłoby dla ostatecznego wyniku procesu całkowicie bez znaczenia. Pani zaś straciłaby przez to paru przyjaciół. Tego nie chcę. Niech pani utrzymuje dotychczasowe stosunki z tymi ludźmi, zdaje mi się bowiem, że są dla pani nieodzowne. Mówię to nie bez żalu, gdyż, by jakoś odwzajemnić pani komplement, pani również mi się podoba, zwłaszcza gdy patrzy pani na mnie z takim smutkiem jak teraz, ku któremu zresztą nie ma pani najmniejszego powodu. Należy pani do towarzystwa, z którym muszę walczyć, czuje się w nim pani jednak bardzo dobrze, kocha pani nawet tego studenta, a jeśli go pani nie kocha, to przynajmniej przedkłada go pani nad własnego męża. Łatwo to rozpoznać po pani słowach.

⁶*Udręki, jakie Grete musiała znosić ze strony swojego męża Hansa* — imiona Grete i Hans mogą stanowić celowe nawiązanie do baśni braci Grimm o Jasiu i Małgosi; tak właśnie brzmią w oryginalnie imiona tych bohaterów. [przypis tłumacza]

— Nie — zawołała, pozostając na swoim miejscu i chwytając K. za dłoń, której nie zdążył wycofać. — Nie może pan teraz odejść, nie może pan stąd odejść z fałszywym osądem o mnie. Czy naprawdę zdołałby pan teraz wyjść? Jestem naprawdę aż tak mało warta, że nie zechce mi pan zrobić tej przysługi i zostać tu jeszcze przez chwilkę?

— Pani mnie źle rozumie — powiedział K. i usiadł. — Jeśli naprawdę zależy pani na tym, bym został, chętnie zostanę, mam przecież czas, przyszedłem tu, spodziewając się dziś rozprawy. Wcześniej chciałem jedynie prosić, by pani dla mnie w tym procesie niczego nie podejmowała. Ale i przez to nie musi pani czuć się urażona, jeśli zważy pani na fakt, że na wyniku tego procesu wcale mi nie zależy i że z wyroku będę się tylko śmiał. Zakładając, że w ogóle dojdzie do jego rzeczywistego zakończenia, w co bardzo wątpię. Raczej uważam, że postępowanie wskutek lenistwa czy zapominalstwa urzędników, a może nawet z powodu ich lęków, już zostało przerwane albo w najbliższym czasie zostanie przerwane. Niewykluczone jednak, że w nadziei na jakąś większą łapówkę będą dla pozoru przeciągać proces, zresztą całkiem nadaremno, co już dziś mogę stwierdzić, gdyż nikogo nie zamierzam przekupywać. Nawiasem mówiąc, mogłaby mi pani oddać tę przysługę, gdyby zechciała pani przekazać sędziemu śledczemu albo komukolwiek innemu, kto lubi rozgłaszać ważne wieści, że nigdy i żadnymi sztuczkami, których owi panowie zapewne znają pod dostatkiem, nie zamierzam pozwolić się nakłonić do łapówkarstwa. Nie ma na to najmniejszych szans, może im to pani otwarcie powiedzieć. Zresztą być może oni sami też to już zauważyli, a nawet jeśli nie, nie bardzo mi zależy, by dowiedzieli się o tym już teraz. Oszczędziłoby im to tylko pracy, mnie zaś pewnych niedogodności; te jednak chętnie zniosę, jeśli będę wiedział, że każda z nich jest jednocześnie ciosem wymierzonym w nich samych. A zadbam, by tak się właśnie stało. Zna pani właściwie sędziego śledczego?

— Oczywiście — odparła kobieta. — O nim nawet pomyślałam najpierw, oferując panu pomoc. Nie wiedziałam, że to tylko niższy urzędnik, ale skoro pan tak twierdzi, zapewne tak jest. Mimo to sądzę, że sprawozdanie, które sędzia wysłał do wyższych urzędników, będzie miało jednak jakiś wpływ. A pisze tyle sprawozdań. Twierdzi pan, że urzędnicy są leniwi. Z pewnością nie wszyscy, zwłaszcza nie ten sędzia śledczy, on pisze bardzo dużo. W zeszłą niedzielę na przykład posiedzenie trwało niemal do wieczora. Wszyscy już wyszli, sędzia śledczy jednak został w sali, musiałam mu przynieść lampę, a miałam tylko taką małą, kuchenną, ale jemu wystarczyła i zaraz zabrał się do pisania. W międzyczasie przyszedł też mój mąż, który akurat tamtej niedzieli wziął urlop, przynieśliśmy meble, urządziliśmy z powrotem nasz pokój, potem dołączyli do nas sąsiedzi, siedzieliśmy tak przy świecy i krótko mówiąc, zapomnieliśmy całkiem o sędzim śledczym i poszliśmy spać. Nagle w nocy, a musiała już zapaść głęboka noc, budzę się, obok łóżka stoi sędzia śledczy i dłonią przysłania lampę tak, by światło nie padało na mojego męża; była to ostrożność zbyteczna, mój mąż sypia tak twardym snem, że i światło by go nie obudziło. Przeraziłam się i o mało nie krzyknęłam, ale sędzia śledczy był bardzo miły, upomniał mnie, bym zachowywała się ciszej, wyszeptał, że cały czas pisał, a teraz oddaje mi lampę, i że nigdy nie zapomni widoku mnie śpiącej, jaki zastał. Przez to wszystko chciałam panu tylko powiedzieć, że sędzia śledczy rzeczywiście pisze wiele sprawozdań, zwłaszcza o panu, bo pańskie przesłuchanie było zapewne jednym z głównych tematów niedzielnego posiedzenia. Tak długie sprawozdania przecież nie mogą być całkiem bez znaczenia. Poza tym na podstawie samego zajścia może pan również zobaczyć, że sędzia śledczy zabiega o moje względy, i że właśnie teraz, na początku, a musiał mnie dopiero teraz zauważyć, mogę mieć na niego duży wpływ. Na to, że mu bardzo na mnie zależy, mam teraz i inne dowody. Wczoraj przysłał mi w prezencie przez studenta, do którego ma wielkie zaufanie i który jest jego współpracownikiem, jedwabne pończochy, rzekomo za to, że sprzątam pokój posiedzeń, ale to tylko pretekst, bo ta praca jest przecież moim obowiązkiem, a za nią dostaje wynagrodzenie mój mąż. To piękne pończochy, proszę spojrzeć. — Kobieta wyciągnęła nogi, podciągnęła spódnicę aż do kolan i sama również zaczęła się przyglądać pończochom. — Są piękne, ale właściwie zbyt subtelne i nieodpowiednie dla mnie. — Kobieta nagle przerwała, położyła dłoń na ręce K., jakby chciała go uspokoić, i wyszeptala: — Cicho, Bertold nas obserwuje.

K. powoli podniósł wzrok. W drzwiach do pokoju posiedzeń stał młody mężczyzna; był niski, miał nie całkiem proste nogi i usiłował dodać sobie powagi krótkim, przerze-

dzonym, rudawym zarostem, w którym bez ustanku gmerał palcami. K. przyglądał mu się z ciekawością; to przecież pierwszy student nieznanego mu dziedziny nauk prawnych, którego spotkał niejako w czysto ludzkim wymiarze, mężczyzna, który z pewnością kiedyś dojdzie do wyższych stanowisk urzędniczych. Student, jakby wcale nie przejmując się obecnością K., skinął na kobietę palcem wyciągniętym na chwilę z brody i podszedł do okna. Kobieta nachyliła się ku K. i wyszeptowała:

— Proszę się na mnie nie gniewać, bardzo pana proszę, niech pan o mnie nie myśli źle, muszę teraz do niego pójść, do tego wstrętnego człowieka, niech pan tylko spojrzy na jego krzywe nogi. Ale zaraz wrócę i pójdę z panem, jeśli mnie pan zabierze, pójdę, dokądkolwiek pan zechce, będzie mógł pan ze mną zrobić, co zechce, będę szczęśliwa, jeśli będę mogła stąd zniknąć na jak najdłużej, najchętniej w ogóle na zawsze.

Pogłaskała jeszcze K. po rękę, zerwała się i podbiegła do okna. K. mimowolnie wyciągnął jeszcze rękę za jej dłoń, ale jej nie złapał. Kobieta naprawdę go kusila; mimo całego namysłu nie znajdował żadnego przekonującego powodu, dla którego miałby tej pokusie nie ulec. Obiekcję, która na moment pojawiła się w jego głowie, że kobieta zamierza go wciągnąć w sidła sądu, odparł bez trudu. W jaki sposób mogłaby tego dokonać? Czyż nie pozostawał zawsze na tyle wolny, by móc cały sąd, przynajmniej o tyle, o ile go dotyczy, natychmiast rozgromić? Czyż nie mógł mieć choć tyle zaufania do siebie? A jej propozycja pomocy brzmiała szczerze i może nie była bez wartości. I może nie byłoby lepszej zemsty na sędzim śledczym i jego orszaku niż ta, by odebrać im tę kobietę i zagarnąć ją dla siebie. Mogłoby się więc kiedyś zdarzyć, że sędzia śledczy, po mozolnej pracy nad kłamliwymi sprawozdaniami o K., późną nocą zastanie łóżko kobiety puste. Puste dlatego, że będzie już należała do K., ponieważ ta kobieta w oknie, to bujne, gibkie, ciepłe ciało w ciemnej sukience z grubo tkanego, ciężkiego materiału, będzie należało wyłącznie do K.

Gdy się pozbył się w ten sposób obiekcji co do kobiety, zaczęła mu się dłużyć ta cicha rozmowa przy oknie; zastukał więc w podest palcami, a potem także pięścią. Student rzucił K. krótkie spojrzenie znad ramienia kobiety, lecz wcale się tym nie spieszył, wręcz przeciwnie, przygłnął do kobiety jeszcze mocniej i ją objął. Pochyliła głowę nisko, jakby uważnie go słuchała; a gdy to zrobiła, pocałował ją głośno w szyję, niemal wcale nie przerywając przy tym rozmowy. K. ujrzał w tym potwierdzenie tyranii, jaką — według skarg kobiety — student nad nią sprawuje; wstał więc i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju. Zerkając z ukosa na studenta, rozważał, jak by się go stąd najszybciej pozbyć, i dlatego nie było mu wcale nie w smak, gdy student — widocznie rozkojarzony tym krążeniem K., które momentami przechodziło w ciężki tupot — zauważył:

— Jeśli się pan niecierpliwi, może pan odejść. Mógł pan też odejść już wcześniej, nikt nie odczułby braku pańskiej obecności. Ba, nawet powinien był pan to zrobić, i to już w chwili mojego wejścia, i to niezwłocznie.

W tej uwadze mogła znaleźć ujście cała możliwa wściekłość, jednak pobrzmiwała w niej także pycha przyszłego urzędnika sądowego zwracającego się do oskarżonego, którego przyjmuje z niechęcią.

K. przystanął tuż obok niego i rzekł z uśmiechem:

— Jestem niecierpliwy, to prawda, lecz owego zniecierpliwienia pozbędę się najłatwiej w ten sposób, że to pan nas opuści. Jeśli jednak przyszedł pan tu po to, żeby studiować, a słyszałem, że jest pan studentem, chętnie ustąpię panu miejsca, odchodząc z tą panią. Zresztą będzie pan musiał długo studiować, zanim zostanie sędzią. Co prawda nie jestem jeszcze zbyt dobrze obeznany z waszym sądownictwem, przypuszczam jednak, że same obcesowe przemowy, które, trzeba przyznać, opanował pan do bezwstydnego biegłości, jeszcze bardzo długo nie wystarczą.

— Nie należało mu pozwalać na taką swobodę przemieszczania się — rzekł student, jakby chciał kobiecie objaśnić obraźliwą wypowiedź K. — To był błąd. A wspominałem o tym sędziemu śledczemu. Należało go przynajmniej między przesłuchaniami zatrzymać w jego pokoju. Sędzia śledczy zachowuje się czasami w sposób zupełnie niezrozumiały.

— Czcze gadanie — rzekł K. i wyciągnął rękę do kobiety. — Chodźmy.

— Ach tak? — zachnął się student. — Nie, nie, jej pan nie dostanie.

Z siłą, o jaką nikt by go nie podejrzewał, mężczyzna podniósł kobietę jedną ręką i przechylając się na drugą stronę, popatrzył na nią z czułością, po czym ruszył do drzwi.

Nie sposób było nie dostrzec w nim pewnego lęku przed K.; mimo to odważył się go sprowokować, głaszcząc i ściskając wolną ręką ramię kobiety. K. przemierzył parę kroków obok niego, gotów go złapać, a gdyby zaszła taka potrzeba, nawet udusić, lecz wtedy kobieta rzekła:

— Nic z tego, sędzia śledczy przysłał go tu po mnie, nie mogę z panem pójść, ten mały potwór... — Poglądziła twarz studenta. — ...ten mały brzydał mnie nie puści.

— Pani wcale nie chce zostać uwolniona! — krzyknął K. i chwycił za ramię studenta, który kłapnął w jej stronę zębami.

— Nie — zawołała kobieta i oburącz odepchnęła K. — Nie, nie, tylko nie to, co też panu przychodzi do głowy! To byłaby moja zguba. Niech go pan puści, proszę, niech go pan puści. On tylko wykonuje polecenie sędziego śledczego, zanosząc mnie do niego.

— Niech więc do niego leci, a ja pani już nigdy więcej widzieć nie chcę — rzekł K, rozłoszczony swoim rozczarowaniem, po czym pchnął studenta w plecy, tak że ten się potknął, lecz chwilę potem, zadowolony, że udało mu się nie upaść, podskoczył ze swym ciężarem w górę.

K. siedł za nimi powoli; zrozumiał, że to niewątpliwie pierwsza porażka, jakiej doznał ze strony tych ludzi. Nie był to rzecz jasna powód, z jakiego miałby się lękać, poniósł ją wyłącznie dlatego, że sam szukał starcia. Gdyby został w domu i prowadził zwykłe życie, miałby nad tymi ludźmi tysiąckrotną przewagę i mógłby każdego z nich pozbyć się ze swojej drogi jednym kopnięciem. I wyobraził sobie najśmieszniejszą scenę, jaka mogłaby się na przykład wydarzyć, gdyby ten żaloszny studencina, nadęty dzieciak, brodaty kuternoga ukląkł przed łóżem Elsy i składając dłonie, błagał o litość. Wizja ta do tego stopnia spodobała się K., że postanowił — jeśli tylko nadarzy się sposobność — zabrać kiedyś studenta do Elsy.

Z ciekawości K. pospieszył jeszcze do drzwi; chciał zobaczyć, dokąd student zanieś kobietę — przecież chyba nie zamierzał nieść jej przez ulicę na ramieniu. Okazało się, że droga była znacznie krótsza. Naprzeciwko drzwi od mieszkania wiodły w górę, zapewne na poddasze, wąskie, drewniane schody; skręcały jednak w taki sposób, że nie można było dojrzeć ich końca. Tymi właśnie schodami student niósł kobietę bardzo powoli, dysząc z wysiłku po wcześniejszym biegu. Kobieta pomachała jeszcze do K., który został na dole, i wzruszeniem ramion próbowała dać mu do zrozumienia, że to uprowadzenie nie nastąpiło z jej winy; w geście tym jednak nie było wiele skruchy. K. patrzył na nią obojętnie, jak na nieznaną; nie chciał zdradzić spojrzeniem ani swojego rozczarowania, ani też tego, że sobie z nim łatwo poradzi.

Oboje już zniknęli, a K. wciąż stał w drzwiach. Musiał się pogodzić z tym, że kobieta nie tylko go zdradziła, lecz i okłamała, twierdząc, że zostanie zanieśona do sędziego śledczego. Przecież sędzia nie siedziałby na poddaszu, czekając na nią. Drewniane schody niczego nie wyjaśniały, choćby nie wiadomo jak długo na nie patrzeć. Wtem K. dostrzegł przychwiezioną przy wejściu na nie karteczkę; podszedł tam i przeczytał napisane dziecięcą, niewprawną w pisaniu dłonią słowa: „Do kancelarii sądowych”. A więc tutaj, na poddaszu tej kamienicy czynszowej, naprawdę znajdowały się kancelarie sądowe? Nie była to zatem żadna instytucja mogąca wzbudzić szacunek; oskarżonych mogło więc wręcz uspokoić wyobrażenie, jak niskimi środkami dysponuje ten sąd, skoro umieszcza swoje kancelarie tam, gdzie lokatorzy — sami należący do najbiedniejszych — wyrzucają swoje niepotrzebne rupiecie. Nie można było wprawdzie wykluczyć, że sąd dysponuje wystarczającymi środkami, lecz być może urzędnicy zagarniali je, zanim je przeznaczano na potrzeby sądu. W świetle dotychczasowych doświadczeń K. wydawało się to nawet wielce prawdopodobne; tyle że w takim razie podobne rozprzężenie sądu jest dla oskarżonego co prawda hańbiące, lecz w gruncie rzeczy bardziej uspokajające niż ubóstwo tej instytucji.

Teraz K. pojął także, dlaczego przy pierwszym przesłuchaniu nie chciano wzywać oskarżonego na poddasze, lecz postanowiono go nękać w jego mieszkaniu. Jaką pozycję mógł więc mieć K. w porównaniu z sędzią urzędującym na poddaszu, skoro w banku miał do swojej dyspozycji obszerny pokój z przedpokojem i przez wielkie okno patrzył w dół na tętniący życiem miejski plac? Co prawda nie miał dodatkowych dochodów z łapówek ani defraudacji i nie mógł także kazać służącemu wnieść na rękach kobiety do swojego biura. Bez tego jednak — przynajmniej w tym życiu — K. mógł się obejść.

Wciąż stał przed karteczką, podczas gdy na górę zdążył wejść jakiś mężczyzna. Zajrzał przez uchylone drzwi do salonu, z którego było widać także pokój posiedzeń, a na koniec zapytał K., czy nie widział tu przed chwilą kobiety.

— Pan jest woźnym sądowym, prawda?

— Tak — odparł mężczyzna. — Ach, a pan to oskarżony K. Teraz i ja pana rozpoznaję, witam pana. — I wyciągnął dłoń do K., który wcale się tego nie spodziewał. — Nie wyznaczono na dziś terminu posiedzenia — dodał w odpowiedzi na milczenie K.

— Wiem — powiedział K. i zaczął się przyglądać cywilnemu surdutowi woźnego, który oprócz kilku zwykłych guzików jako jedyną odznakę sądową miał dwa pozłacane, sprawiające wrażenie odprutych od starego płaszcza oficerskiego. — Przed chwilą rozmawiałem z pańską żoną. Teraz jej tu nie ma. Student zaniósł ją do sędziego śledczego.

— No i widzi pan — rzekł woźny. — Ciągłe mi ją ktoś wynosi. Dziś jest przecież niedziela i wcale nie mam obowiązku pracować, a wysyłają mnie z jakąś nikomu niepotrzebną wiadomością tylko dlatego, żeby się mnie stąd pozbyć. I to wcale nie tak daleko, po to żebym mógł mieć nadzieję, że jeśli się pospieszę, jeszcze zdążę na czas. No więc pędzę, ile tchu, krzyczę w urzędzie, do którego mnie posłano, przez szparę w drzwiach, co mam im do przekazania, zdyszany, ledwo mnie rozumieją, lecę z powrotem, a student i tak był ode mnie szybszy; miał też do pokonania znacznie krótszą trasę, musiał tylko zbiec po schodach z poddasza. Gdybym nie był tak zależny, dawno już przycisnąłbym tego studenta do ściany i go zmiażdżył. Ciągłe o tym marzę. Tu, obok tej karteczki, tuż nad podłogą, przycisnąłbym go na płasko, z rozciągniętymi rękami, rozcapierzonymi palcami, tymi krzywymi nogami podkulonymi pod siebie, a wszędzie dokoła tryskałaby krew. Tymczasem jednak to tylko marzenie.

— Nie można temu zaradzić w inny sposób? — zapytał K. z uśmiechem.

— Nie wiem jak — odparł woźny. — A teraz będzie jeszcze gorzej, dotąd nosił ją tylko do siebie, teraz zaś, czego się od dawna spodziewałem, nosi ją także do sędziego śledczego.

— I nie ma w tym żadnej winy pańskiej żony? — spytał K.; musiał się przy tym pytaniu opanować, tak bardzo i on czuł teraz zazdrość.

— Ależ oczywiście — odparł woźny. — To głównie jej wina. Przecież sama mu się narzucała. On i tak goni za wszystkimi babami. Tylko w tym domu wyrzucono go już z pięciu mieszkań, do których się zakradał. Ale moja żona to najładniejsza kobieta w całym budynku, że też akurat ja nie mogę się bronić.

— Jeśli tak właśnie mają się sprawy, to rzeczywiście nie ma na to rady — rzekł K.

— A dlaczego? — zapytał woźny. — Trzeba by tylko temu studentowi, tchórzowi, gdyby znów zechciał choćby tknąć moją żonę, porządnie złoić skórę, żeby już nigdy więcej się na to nie odważył. Ale ja nie mogę tego zrobić, a inni mi tej przysługi nie wyświadczą, bo każdy boi się jego władzy. Tylko taki człowiek jak pan mógłby to zrobić.

— A czemuż to właśnie ja? — zdziwił się K.

— Pan jest przecież oskarżonym.

— Tak — odparł K. — Więc chyba tym bardziej powinienem się obawiać, że student będzie mógł wpłynąć nawet jeśli nie na wynik procesu, to przynajmniej na dochodzenie wstępne.

— Tak, oczywiście — rzekł woźny, jakby pogład K. był równie słuszny jak jego własny. — Z reguły nie prowadzi się u nas procesów bez perspektyw.

— Nie podzielam pańskiego zdania. Nie przeszkodzi mi to jednak przy sposobności odpowiednio zając się studentem.

— Byłbym panu bardzo zobowiązany — rzekł woźny nieco oficjalnym tonem; sprawiał jednak wrażenie, jakby nie bardzo dawał wiarę temu, że jego największe marzenie mogłoby się ziszczyć.

— Może zresztą niektórzy urzędnicy, a nawet wszyscy, zasługują na to samo.

— Tak, tak — rzekł woźny, jakby szło o rzecz zupełnie oczywistą. Potem spojrzął na K. z zaufaniem, jakiego mimo całej dotychczasowej uprzejmości jeszcze nie zdążył mu okazać, i dodał: — Człowiek po prostu zawsze się buntuje. — Rozmowa stawała się dla niego coraz bardziej niezręczna, więc ją przerwał słowami: — Teraz muszę się zgłosić do kancelarii. Pójdzie pan ze mną?

— Nie mam tam do załatwienia żadnej sprawy.

— Mógłby pan obejrzeć kancelarie. Nikt nie zwróci na pana uwagi.

— A warto je zobaczyć? — zapytał K. z wahaniem, choć miał wielką ochotę tam pójść.

— No, pomyślałem sobie, że mogłyby być dla pana interesujące.

— Dobrze — zdecydował w końcu K. — pójdę z panem.

I popędził po schodach, wyprzedzając woźnego. Przy wejściu do środka omal się nie przewrócił, bo zaraz za drzwiami był jeszcze jeden stopień.

— Niewiele się tu liczą z odwiedzającymi — stwierdził K.

— W ogóle się z nikim nie liczą — odparł woźny. — Niech pan tylko spojrzysz na tę poczekalnię.

Był to długi korytarz, z którego topornie zbite drzwi z surowych desek prowadziły do poszczególnych klitek na poddaszu. Mimo że nie dochodziło tu bezpośrednio światło dzienne, nie było również całkiem ciemno, bo niektóre klitki od strony korytarza, zamiast jednolitych ścian z drewna miały jedynie drewniane kraty, sięgające co prawda sufitu, przez które docierało jednak nieco światła, tak że można było dostrzec urzędników siedzących i piszących przy biurkach lub stojących tuż przy kratkach, przez które obserwowali ludzi na korytarzu. Nie było ich tam zresztą wielu, zaledwie paru, zapewne dlatego, że była niedziela. Czekający sprawiali bardzo skromne wrażenie. W niemal równych odstępach od siebie siedzieli na długich drewnianych ławach ustawionych w dwóch rzędach po obu stronach korytarza. Wszyscy byli ubrani dość niechlujnie, chociaż większość z nich — sądząc po wyrazie twarzy, postawie, zaroście i wielu ledwie uchwytnych szczegółach — należała do klas wyższych. Ponieważ nigdzie nie było wieszaków, kapelusze wsunęli pod ławki, zapewne idąc za przykładem innych. Gdy ci, którzy siedzieli najbliżej drzwi, na widok K. i woźnego powstali, by im się uklonić, kolejni również uznali, że i oni powinni się podnieść, tak że wszyscy przez nich mijani podrywali się ze swoich miejsc. Nikt z nich nie prostował się całkiem, wszyscy plecy mieli skulone, kolana ugięte, stali niczym żebracy ulicznych. K. zaczął na podążającego za nim woźnego sądowego i rzekł:

— Jakże bardzo muszą być upokorzeni.

— Tak. To oskarżeni. Wszyscy, których pan tu widzi, są oskarżonymi.

— W rzeczy samej! — stwierdził K. — A więc to moi koledzy.

I zwrócił się do stojącego najbliżej niego, wysokiego, szczupłego, niemal zupełnie siwego mężczyzny:

— Na co pan tu czeka? — zapytał uprzejmie K.

To niespodziewane zagadnięcie wyraźnie zdeprymowało mężczyznę; wyglądało to tym niezręcznie, że był to człowiek obyty w świecie, który w innych okolicznościach zapewne bez trudu panował nad sobą i rzadko wypuszczał z rąk przewagę, jaką zyskał nad innymi. W tym miejscu nie potrafił jednak odpowiedzieć nawet na tak proste pytanie, zerkał na pozostałych, jakby winni byli przyjść mu z pomocą i jak gdyby nikt nie miał prawa domagać się od niego odpowiedzi, jeśli tej pomocy nie otrzyma.

Wtedy podszedł do nich woźny i chcąc uspokoić mężczyznę i dodać mu otuchy, przemówił do niego:

— Ten pan tylko pyta, na co pan czeka. Niechże mu pan odpowie.

Najwyraźniej znajomy głos woźnego zadziałał skutecznie, bo mężczyzna zaczął:

— Czekam... — zaczął i urwał. Widocznie zdecydował się na taki początek, żeby możliwie jak najdokładniej odpowiedzieć na zadane pytanie, lecz nie znajdował dalszego ciągu. Kilku czekających podeszło bliżej i otoczyło grupę rozmawiających, więc woźny zwrócił się do nich:

— Rozejść się! Proszę się rozejść i zrobić przejście.

Rozstąpili się nieco, ale nie wrócili na swoje miejsca. W tym czasie pytany zdążył się już zebrać w sobie i odpowiedział, nawet z lekkim uśmiechem:

— Miesiąc temu złożyłem w swojej sprawie parę wniosków dowodowych i czekam na rozpatrzenie.

— Wygląda na to, że pan się bardzo stara — rzekł K.

— Tak. Przecież tu chodzi o moją sprawę.

— Nie każdy myśli tak jak pan — odparł K. — Ja na przykład też jestem oskarżony, ale, jak pragnę zbawienia, nie złożyłem żadnego wniosku dowodowego ani nie podjąłem żadnych podobnych kroków. Sądzi pan, że to konieczne?

— Tak do końca nie wiem tego — rzekł mężczyzna, znów tracąc pewność siebie. Najwyraźniej sądził, że K. stroi sobie z niego żarty; z obawy przed kolejną pomyłką najchętniej powtórzyłby po prostu wcześniejszą odpowiedź; jednak pod niecierpliwym spojrzeniem K. rzekł tylko:

— Ja w każdym razie złożyłem wnioski dowodowe.

— Pan chyba nie wierzy, że jestem oskarżony? — zapytał K.

— Proszę pana, ależ z pewnością tak właśnie jest — odparł mężczyzna, oddalając się od niego o krok; w jego odpowiedzi nie było wiary, lecz wyłącznie lęk.

— A więc mi pan nie wierzy? — spytał K. i nieświadomie zachęcony spolegliwością mężczyzny, ujął go za ramię, jakby go chciał przymusić do wiary. Nie chciał mu sprawić bólu, chwycił go zresztą dość delikatnie, jednak mężczyzna wydał z siebie wrzask, jakby K. schwycił go nie dwoma palcami, lecz rozżarzonymi do czerwoności kleszczami. Po tym niedorzecznym krzyku mężczyzny K. poczuł, że ma go dość. Skoro mu nie wierzy, że jest oskarżonym, tym lepiej; może nawet uznał K. za sędziego. I teraz chwycił go na pożegnanie naprawdę mocniej, pchnął z powrotem na ławkę i odszedł dalej.

— Oskarżeni są w większości tacy drażliwi — rzekł woźny.

Za ich plecami niemal wszyscy czekający otoczyli teraz mężczyznę, który przestał krzyczeć. Zapewne dopytywali go o szczegóły całego zajścia.

W kierunku K. zmierzał właśnie strażnik, co można było wywnioskować przede wszystkim z szabli, której pochwa, przynajmniej sądząc po kolorze, była aluminiowa. K. zdumiał się tym i nawet sięgnął ręką, by jej dotknąć. Strażnik, przywołany przez krzyk mężczyzny, zaczął wypytywać o szczegóły tego zajścia. Woźny próbował go paroma słowami uspokoić, lecz strażnik oświadczył, że musi wszystko sprawdzić sam; zsalutował więc i ruszył dalej bardzo pospieszonym, lecz niezwykle drobnym krokiem, odmierzonym zapewne przez podagrę.

K. szybko przestał się nim przejmować, podobnie jak całym towarzystwem na korytarzu, zwłaszcza że mniej więcej w połowie jego długości dostrzegł z prawej strony przejście pozbawione drzwi. Upewnił się jeszcze u woźnego, czy to właściwa droga, ten skinął głową i K. rzeczywiście tam skręcił. Kroczenie tuż przed woźnym stawało się dla niego uciążliwe; w tych okolicznościach mogło to wyglądać tak, jakby woźny prowadził go gdzieś jako aresztowanego. Dlatego też K. często przystawał, czekając na niego, ale woźny po chwili znów zostawał w tyle. W końcu, by położyć kres temu dyskomfortowi, K. rzekł:

— Teraz, skoro już miałem okazję zobaczyć, jak tu wygląda, chcę stąd wyjść.

— Nie widział pan jeszcze wszystkiego — rzucił obojętnie woźny.

— Wcale nie chcę zobaczyć wszystkiego — odparł K., zresztą naprawdę już dość znużony. — Chcę stąd wyjść. Jak trafię na zewnątrz?

— Nie zbłądził pan jeszcze? — zdziwił się woźny. — Pójdzie pan tędy, za rogiem skręci w korytarz po prawej i dalej prosto do drzwi.

— Proszę pójść ze mną — rzekł K. — Niech mi pan wskaże kierunek, inaczej się zgubię, tyle tu tych odnóg.

— To jedyna droga — powiedział woźny, teraz już z lekkim wyrzutem. — Nie mogę z panem wrócić, przecież muszę przekazać wiadomość, a z pana winy straciłem już sporo czasu.

— Niech pan pójdzie ze mną — powtórzył K. ostrzej, jakby wreszcie przyłapał woźnego na kłamstwie.

— Niechże pan nie krzyczy — wyszeptał woźny. — Tu wszędzie są biura. Jeśli pan nie chce wrócić sam, niech pan pójdzie kawałek ze mną albo zaczeka tutaj, aż przekażę wiadomość. Potem chętnie z panem wrócę.

— Nie, nie — rzekł K. — Nie zaczekam, musi pan pójść ze mną teraz.

K. nie zdążył się jeszcze w ogóle rozejrzeć po pomieszczeniu, w którym się znajdował, dopiero gdy otworzyły się jedne z drewnianych drzwi, spojrzął w ich kierunku. Wyszła przez nie dziewczyna, zapewne przywołana podniesionym głosem K., i zapytała:

— Czego pan sobie życzy?

W półmroku można było dostrzec mężczyznę, który z oddali zbliżał się za nią. K. spojrzął na woźnego sądowego, który przecież powiedział, że nikt nie zwróci na K. uwagi, a tymczasem pojawiły się już dwie osoby, więc pewnie niewiele trzeba było, by wszyscy

urzędnicy go zauważyli i zażądali wyjaśnienia jego obecności. Jedynym logicznym i akceptowalnym uzasadnieniem byłoby, że jest oskarżonym i chciałby się dowiedzieć daty następnego przesłuchania, właśnie tej odpowiedzi jednak nie zamierzał udzielać, zwłaszcza że nie odpowiadałaby prawdzie, gdyż przyszedł tu jedynie powodowany ciekawością lub — co jako wyjaśnienie byłoby jeszcze bardziej niedopuszczalne — by się upewnić, iż od środka ten sąd jest równie odrażający jak z zewnątrz. A ponieważ wyglądało na to, że w założeniu tym miał słuszność, nie chciał się zapuszczać jeszcze dalej, był już dość przytłoczony tym, co dotąd zobaczył; właśnie w tej chwili nie był w nastroju stawać przed jakimś wyższym urzędnikiem, który mógł się wyłonić zza każdych drzwi; chciał stąd wyjść — z woźnym albo nawet sam, jeśli zaszłaby taka potrzeba.

Ale to jego stanie w milczeniu musiało wzbudzić ich zaciekawienie; rzeczywiście dziewczyna, jak i woźny sądowy patrzyli na niego tak, jakby w następnej minucie miała się w nim dokonać jakaś wielka przemiana, której nie chcieli przegapić. W otwartych drzwiach stał mężczyzna, którego K. dostrzegł wcześniej w oddali; przytrzymał się belki stropowej nad niskimi drzwiami, kołysząc się lekko na palcach stóp niczym niecierpliwego widza.

Dziewczyna jednak jako pierwsza rozpoznała, że zachowanie K. ma swoją przyczynę w lekkiej niedyspozycji; przyniosła więc krzesło i zapytała:

— Nie zechciałby pan spocząć?

K. natychmiast usiadł i by się lepiej wesprzeć, położył łokcie na oparciach.

— Ma pan lekkie zawroty głowy, prawda? — spytała. Teraz miał tuż przed sobą jej twarz, o surowym wyrazie, jaki niektóre kobiety mają właśnie w najpełniejszej młodości. — Proszę się tym nie przejmować. To nic nadzwyczajnego w tym miejscu; prawie każdy doświadcza czegoś takiego, gdy przychodzi tu po raz pierwszy. Jest pan tu po raz pierwszy? No tak, to nic nadzwyczajnego. Słońce świeci prosto na dach budynku; od rozgrzanego drewna powietrze staje się tu parne i ciężkie. Dlatego miejsce to nie bardzo nadaje się na pomieszczenia biurowe, choć pod innymi względami ma, rzecz jasna, sporo zalet. Ale jeśli chodzi o powietrze, to w dniach wzmożonego ruchu petentów, czyli niemal codziennie, prawie nie da się tu oddychać. Jeśli zważy pan jeszcze, że często wieszka się tu również pranie do suszenia, a nie można tego lokatorom całkiem zakazać, przestanie się pan dziwić, że zrobiło się panu trochę słabo. Ale z czasem człowiek przyzwyczaja się do tego zaduchu. Kiedy przyjdzie pan tu po raz drugi czy trzeci, niemal nie będzie pan już czuł jego przytłaczającego ciężaru. Już panu lepiej?

K. nic nie odpowiedział; był zbyt zażenowany, że przez to nagłe osłabienie był nagle zdany na łaskę tych ludzi, a poza tym od momentu, w którym zrozumiał przyczynę swojej niedyspozycji, wcale nie czuł się lepiej, a nawet nieco gorzej. Dziewczyna od razu to zauważyła i chcąc nieco orzeźwić K. świeżym powietrzem, wzięła oparty o ścianę bosak i pchnęła nim niewielką, wychodzącą na zewnątrz kłapę tuż nad głową K. Do środka wpadło natychmiast tyle sadzy, że dziewczyna musiała natychmiast zatrzasnąć kłapę z powrotem i oczyścić chusteczką ręce K., gdyż ten był zbyt słaby, by zrobić to samemu. Najchętniej posiedziałby tu jeszcze w spokoju, dopóki nie nabierze dość sił, by stąd wyjść, jednak z pewnością nastąpiłoby to tym prędzej, im mniej uwagi by mu poświęcano. Na dodatek dziewczyna powiedziała:

— Nie może pan tu zostać, tamujemy ruch na korytarzu.

K. rzucił jej pytające spojrzenie, o jaki też ruch jej chodzi.

— Jeśli pan zechce, zaprowadzę pana do izby chorych — zaproponowała K., po czym zwróciła się do mężczyzny stojącego w drzwiach: — Proszę mi pomóc.

Mężczyzna natychmiast do nich podszedł, lecz K. nie chciał iść do izby chorych, bo właśnie tego pragnął uniknąć: żeby go prowadzono. Im dalej zaszedłby w ten sposób, tym byłoby gorzej.

— Mogę iść sam — rzekł więc i spróbował się z trudem podnieść, rozleniwionym wygodnym siedzeniem. Jednak nogi trzęsły mu się tak bardzo, że nie zdołał utrzymać się w pionie. — Nie, jednak nie dam rady — rzekł, kręcąc głową, i z westchnieniem opadł z powrotem.

Przypomniał sobie woźnego, który przecież mimo wszystko mógłby go bez trudu odprowadzić na zewnątrz, ale K. miał wrażenie, że mężczyzna już dawno sobie poszedł; K. zajął między dziewczynę a mężczyznę przed nim, lecz nie dostrzegł nigdzie woźnego.

— Wydaje mi się — rzekł mężczyzna, zresztą ubrany elegancko, przy czym wzrok przyciągała szczególnie jego szara kamizelka, której przednie poły kończyły się dwoma długimi, ostro wykrojonymi szpicami — że niedyspozycja tego pana ma swoje źródło w tutejszej atmosferze, dlatego najlepiej będzie, a i jemu samemu najbardziej się to spodoba, jeśli w ogóle wyprowadzimy go z kancelarii, zamiast zabierać go teraz do izby chorych.

— Otóż to — zawołał K. i z czystej radości omal nie wszedł mężczyźnie w słowo. — Na pewno od razu poczuję się lepiej, zresztą wcale nie jestem taki słaby, wystarczy mi tylko nieco podeprzeć pod pachami, nie sprawię państwu kłopotu, przecież droga wcale nie jest daleka, proszę mnie tylko odprowadzić do drzwi, odpocznę tam jeszcze chwilę na schodach i zaraz dojdę do siebie, nigdy nie miewam podobnych napadów, mnie samego to zaskoczyło. Też przecież jestem urzędnikiem i przywykłem do powietrza w biurach, tutaj jednak, jak sam pan mówi, atmosfera jest już chyba zbyt ciężka. Proszę jedynie, żeby byli państwo tak łaskawi odprowadzić mnie jeszcze kawałek, bo od tych zawrotów głowy robi mi się słabo, kiedy próbuję wstać sam.

I uniosł ramiona, by ułatwić obojgu chwycenie go pod pachy.

Ale mężczyzna nie spełnił jego prośby i trzymając spokojnie dłonie w kieszeniach spodni, zaśmiał się głośno.

— Widzi pani — rzekł do dziewczyny. — Jednak trafiłem w sedno, ten pan czuje się źle wyłącznie w tym miejscu, a nie w ogóle.

Dziewczyna też się uśmiechnęła, lecz lekko trąciła mężczyznę opuszkami palców w ramię, jakby posunął się w żartach z K. o krok za daleko.

— Ależ co też sobie pani myśli — dodał mężczyzna, wciąż się zaśmiewając. — Przecież ja naprawdę chcę tego pana odprowadzić na zewnątrz.

— No więc dobrze — rzekła dziewczyna, na moment schylając swą drobną głowę, a zaraz potem zwróciła się do K., który znów posmutniał i wpatrywał się przed siebie, jakby wcale nie potrzebował żadnych wyjaśnień: — Niech pan się zbytnio nie przejmuje tym śmiechem. Ten pan... mogę pana przedstawić? — Mężczyzna skinął ręką na znak zgody. — Ten pan jest informatorem. Udziela oczekującym stronom wszelkich informacji, których potrzebują, a że społeczeństwo jest niezbyt dobrze obeznane z naszym sądownictwem, domaga się ich całkiem sporo. Ten pan zna odpowiedź na każde pytanie, może się pan o tym przekonać, jeśli kiedyś będzie pan miał ochotę sprawdzić go pod tym względem. Ale to nie jest jego jedyna zaleta, drugą jest jego elegancka garderoba. My, znaczy urzędnicy, uznaliśmy kiedyś, że informator, który stale, i to jako pierwszy, pertraktuje ze stronami, musi także dla godnego pierwszego wrażenia ubierać się elegancko. My zaś, pozostali urzędnicy, nosimy się, co może pan od razu zobaczyć na moim przykładzie, bardzo źle i staromodnie; przykładanie wagi do ubrania nie miałyby też większego sensu, skoro prawie bez przerwy siedzimy w kancelariach, a nawet tu śpimy. Ale, jak powiedziałam, uznaliśmy, że informator potrzebuje garderoby eleganckiej. Ponieważ jednak od naszej administracji, która w tym względzie ma dość osobliwe zapatrywania, nie dało się nic uzyskać, zorganizowaliśmy zbiórkę funduszy, do której dokładały się również strony, i zakupiliśmy mu ten piękny strój, a także wiele innych. I wszystkie warunki, by wywołać dobre wrażenie byłyby spełnione, gdyby ten ich nie psuł, strasząc ludzi swoim śmiechem.

— No tak — rzekł drwiąco mężczyzna. — Nie rozumiem tylko, czemu pani opowiada temu panu o wszystkich naszych intymnych sprawach, a właściwie uszczęśliwia go nimi na siłę, skoro on wcale nie chce ich poznawać. Niech pani patrzy, jak tu siedzi, wyraźnie pochłonięty wyłącznie własnymi sprawami.

K. nie miał nawet ochoty temu zaprzeczyć, może dziewczyna miała dobre intencje, może chodziło jej o to, by go zabawić czy też dać mu sposobność, by w tym czasie doszedł do siebie, ale sposób był chybiony.

— Musiałam mu jakoś wyjaśnić ten pański śmiech — powiedziała dziewczyna. — Był przecież obraźliwy.

— Myślę, że przebaczyłby mi jeszcze gorsze obelgi, byłem go tylko w końcu odprowadził na zewnątrz — rzekł informator.

K. nic nie odpowiedział, nawet nie podniósł wzroku; znosił to, że oboje pertraktowali o nim jak o rzeczy, a nawet taki sposób był mu najmiłszy. Nagle jednak poczuł dłoń informatora na jednym ramieniu, a dłoń dziewczyny na drugim.

— Pora wstawać, panie słabeuszu — powiedział informator.

— Pięknie państwu dziękuję — rzekł K., mile zaskoczony, podniósł się powoli i sam poprowadził ich ręce tam, gdzie najbardziej potrzebował wsparcia.

— Może to wyglądać tak — szepnęła mu dziewczyna do ucha, gdy zbliżali się do korytarza — jakby mi szczególnie zależało na tym, żeby ukazać informatora w dobrym świetle, proszę mi jednak wierzyć, że pragnę tylko powiedzieć prawdę. Jego serce bynajmniej nie jest z kamienia. Nie ma obowiązku wyprowadzać stąd chorych, a jednak to robi, jak sam pan widzi. Może w gruncie rzeczy żadne z nas nie jest bez serca, może wszyscy chętnie byśmy pomogli, ale jako urzędnicy sądowi zbyt łatwo uchodzimy za takich, którzy nikomu nie chcą pomagać. Wręcz cierpię z tego powodu.

— Nie zechce pan na chwilę przysiąść? — zapytał informator.

Byli już w korytarzu, tuż przed oskarżonym, którego K. zagadnął wcześniej. K. czuł wobec niego niemal zażenowanie; przedtem stał przed nim taki wyprostowany, teraz zaś musiało go wspierać tych dwoje ludzi, informator balansował jego kapeluszem w rozczepionych palcach, potargane włosy oblepiały mu spocone czoło.

Ale oskarżony zdawał się tego wcale nie dostrzegać, starał się jedynie usprawiedliwić swoją obecność, stojąc pokornie przed informatorem, który spoglądał ponad nim.

— Wiem — rzekł — że decyzja w sprawie moich wniosków nie może zapaść już dziś. A jednak przyszedłem, pomyślałem sobie, że mógłbym tu zaczekać, przecież jest niedziela, mam czas i nikomu tu nie wadzę.

— Nie musi się pan aż tak usprawiedliwiać — odparł informator. — To, że się pan tak wszystkim przejął, jest godne pochwały. Co prawda zajmuje pan tu niepotrzebnie miejsce, ale o ile tylko nie stanie się to dla mnie uciążliwe, nie będę panu przeszkadzał w dokładnym śledzeniu biegu pańskiej sprawy. Kto miał do czynienia z ludźmi, którzy w sposób haniebny zaniedbywali swoje obowiązki, ten uczy się traktować podobnych panu z cierpliwością. Proszę usiąść.

— Jakże on potrafi rozmawiać ze stronami — wyszeptła dziewczyna.

K. skinął głową, lecz zaraz się poderwał, gdy informator ponowił pytanie:

— Nie chciałby pan tu usiąść?

— Nie — odparł K. — Nie będę odpoczywał.

Powiedział to z największą stanowczością, na jaką mógł się zdobyć, w istocie jednak dobrze by mu zrobiło, gdyby usiadł. Czuł się jak przy chorobie morskiej. Miał wrażenie, że jest na statku miotanym ciężkim sztormem; że woda rozbija się z hukiem o drewniane ściany, że z głębi korytarza dobiega szum fal, które raz po raz nachodzą na siebie, że korytarz kołysze się na boki, a siedzące przy obu ścianach strony co rusz się unoszą i opadają.

Tym trudniej było mu zrozumieć spokój dziewczyny i mężczyzny, którzy go prowadzili. Był całkowicie zdany na ich łaskę: gdyby go wypuścili, runąłby w dół niczym kłoda. Z ich małych oczu śmigły na wszystkie strony przeszywające spojrzenia, K. czuł, jak miarowe są ich kroki, choć sam jako niesiony niemal ich nie stawiał.

W końcu zauważył, że mówią do niego, ale ich nie rozumiał, słyszał tylko wypełniający wszystko hałas, przez który przebijał niezmienny, wysoki ton, jakby syreny.

— Głośniej — wyszeptał ze spuszczoną głową, i aż się zawstydził, bo wiedział, że mówią dość donośnie, lecz dla niego niezrozumiale.

Wtem jakby ściana przed nimi rozstała się, świeże powietrze buchnęło mu w twarz i usłyszał obok siebie czyjś głos:

— Najpierw chce się dostać do wyjścia, a kiedy mu się potem powtarza sto razy, że to tu, nawet się nie ruszy.

K. zorientował się, że stoi przed drzwiami wyjściowymi, otwartymi przez dziewczynę. Miał wrażenie, jakby wszystkie siły naraz wróciły do niego, i chcąc poczuć przedsmak wolności, stanął od razu na stopniu schodów i tam pożegnał się ze swoimi towarzyszami, którzy teraz nachylili się nad nim.

— Dziękuję pięknie — powtarzał, wielokrotnie ściskając ich dłonie, i przestał dopiero wtedy, gdy zauważył, że z racji przyzwyczajenia do kancelaryjnej duchoty dość źle znoszą świeże powietrze z klatki schodowej. Niemal nie byli w stanie nic odpowiedzieć, a dziewczyna może nawet spadłaby ze schodów, gdyby K. w ostatniej chwili nie zdążył prędko zamknąć drzwi.

K. pozostał jeszcze przez chwilę nieruchomo w miejscu, wyciągnął swoje kieszonkowe lusterko, żeby poprawić fryzurę, podniósł swój kapelusz leżący na najbliższym podeście — pewnie informator go tam rzucił — po czym zbiegł po schodach tak żwawo i w tak długich susach, że sam się zląkł tej nagłej odmiany.

Nigdy jeszcze jego na ogół zupełnie stabilny stan zdrowia nie sprawił mu podobnej niespodzianki. Czyżby jego ciało planowało jakąś rewolucję i wszczęcie nowego procesu, skoro znosił stary z taką łatwością? Nie odrzucił całkiem myśli, by przy pierwszej nadarzającej się sposobności udać się do lekarza, przede wszystkim jednak — w tym mógł się zdać na własną radę — postanowił w przyszłości wykorzystać nadchodzące niedzielne przedpołudnia lepiej niż dziś.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przyjaciółka panny Bürstner

W następnych dniach K. nie zdołał zamienić z panną Bürstner choćby kilku słów. Próbowal zbliżyć się do niej na najrozmaitsze sposoby, lecz ona za każdym razem zdołała temu zapobiec. Po wyjściu z biura natychmiast wracał do domu, przesiadywał w swoim pokoju na kanapie, nie zapalając światła, i nie zajmował się niczym innym, jak tylko obserwowaniem przedpokoju. Gdy na przykład przechodziła służąca i zamykała drzwi pozornie pustego pokoju, po chwili wstawał i otwierał je z powrotem. Rano wstawał godzinę wcześniej niż zazwyczaj, aby móc spotkać pannę Bürstner samą, gdy będzie szła do biura. Lecz żadna z tych prób nie została uwierczona powodzeniem.

Potem napisał do niej list, który wysłał zarówno do biura, jak i do mieszkania, w którym raz jeszcze usiłował usprawiedliwić swoje zachowanie, oferował możliwość wszelkiego zadośćuczynienia, obiecywał, że nigdy nie przekroczy granic, które mu wyznaczy, i prosił tylko o jedną rozmowę, zwłaszcza że u pani Grubach nie był w stanie niczego wskórać przed naradą z panną Bürstner; na koniec poinformował ją, że w najbliższą niedzielę przez cały dzień będzie czekał w swoim pokoju na znak z jej strony, który dawałby nadzieję na spełnienie tej prośby lub który przynajmniej wyjaśniłby mu, dlaczego owa prośba nie może zostać spełniona, mimo jego obietnicy, że we wszystkim się do niej dostosuje.

Listy nie wróciły, ale też nie nadeszła żadna odpowiedź. Natomiast w niedzielę pojawił się znak wystarczająco wyraźny. Już wczesnym rankiem K. dostrzegł przez dziurkę od klucza niezwykle ruch w przedpokoju, którego powód miał się niebawem wyjaśnić. Nauczycielka francuskiego, nawiasem mówiąc Niemka o nazwisku Montag, słabowita, blada, nieco utykająca dziewczyna, która dotąd zajmowała osobny pokój, przenosiła się do pokoju panny Bürstner. Przez całe godziny szurła, krążąc po przedpokoju. Ciągłe zapominała to jakieś sztuki bielizny, to serwetki czy książki, po które trzeba było wrócić i zanieść do nowego pokoju.

Gdy pani Grubach przyniosła K. śniadanie — odkąd tak bardzo rozgniewała K., nie powierzała służącej najdrobniejszej nawet posługi wobec niego — K. nie potrafił się powstrzymać, by po raz pierwszy jej nie zagadnąć:

— Skąd ten harmider w przedpokoju? — zapytał, nalewając sobie kawy. — Nie mogłoby się to wreszcie skończyć? Czy doprawdy nie można było zrobić tych porządków kiedy indziej, tylko akurat w niedzielę?

Mimo że K. nie spojrział na panią Grubach, zauważył, że ta odetchnęła z ulgą. Nawet te surowe pytania z ust K. przyjęła jak przebaczenie lub choćby jego załóżek.

— To nie porządku, panie K. — rzekła. — Panna Montag przeprowadza się do panny Bürstner, więc przenosi tam swoje rzeczy.

Nie dodała nic więcej, czekała, jak K. to przyjmie i czy pozwoli jej mówić dalej. K. jednak wystawił ją na próbę, mieszając kawę, zamyślony i milczący. Potem podniósł wzrok na panią Grubach i powiedział:

— Porzuciła pani swoje wcześniejsze podejrzenia dotyczące panny Bürstner?

— Panie K.! — zawołała pani Grubach, która tylko czekała na to pytanie, i wyciągnęła teraz do K. złożone dłonie. — Rzuconą mimochodem uwagę przyjął pan tak

poważnie. A przecież w najmniejszym stopniu nie było moim zamiarem urażenie pana czy jakiegokolwiek innej osoby. Zna mnie pan już wystarczająco długo, panie K., żeby nie mieć co do tego wątpliwości. Nie wie pan, jak cierpiałam przez ostatnie dni! Ja miałabym szkalować własnych lokatorów?! I pan, panie K., dał temu wiarę! I jeszcze pan powiedział, że powinnam mu wymówić umowę najmu! Panu wymówić! — Ostatni okrzyk urwał się wśród łez, kobieta uniosła rąbek fartucha i zasłoniła nim twarz, po czym wybuchnęła głośnym szlochem.

— Niech pani nie płacze, pani Grubach — powiedział K. i wyjrzał przez okno; myślał tylko o panie Bürstner i o tym, że przyjechała do swojego pokoju obcą dziewczynę. — Niech pani nie płacze — powtórzył, odwracając się z powrotem i widząc, że pani Grubach wciąż szlocha. — Nie chciałem pani urazić. Po prostu się nie zrozumieliśmy. To się zdarza nawet wśród najbardziej zażyłych przyjaciół.

Pani Grubach odsunęła fartuch od oczu, żeby sprawdzić, czy K. rzeczywiście jest skłonny się z nią pogodzić.

— No cóż, bywa i tak — rzekł K. i wnioskując z zachowania pani Grubach, że kapitan niczego nie zdradził, ośmielił się dodać jeszcze: — Czy naprawdę sądzi pani, że z powodu jakiejś obcej dziewczyny mógłbym dopuścić do tego, byśmy się stali dla siebie wrogami?

— No właśnie, panie K. — Ku nieszczęściu pani Grubach, ilekroć poczuła się choć trochę swobodniej, zaraz wyrывało jej się coś niestosownego. — Cały czas się zastanawiałam: dlaczego pan K. tak bardzo przejmuję się panną Bürstner? Dlaczego sprzecza się ze mną z jej powodu, choć wie, że każde ostre słowo z jego ust spędza mi sen z powiek? A przecież nie powiedziałam o tej panie nic prócz tego, co widziałam na własne oczy.

K. nie odpowiedział; pierwszym słowem musiałby ją wyrzucić z pokoju, a tego nie chciał. Zadowolili się samym pić kawy i tym, by dać pani Grubach odczuć zbędność jej obecności.

Z korytarza znów dobiegał odgłos powłóczytych kroków panny Montag przemierzającej cały przedpokój.

— Słyszysz pani? — zapytał K., wskazując ręką na drzwi.

— Tak — odrzekła pani Grubach i westchnęła. — Zaoferowałam jej do pomocy służącą, ale ona jest uparta, wszystko chce przenieść sama. Dziwię się panie Bürstner. Mnie nieraz ciąży to, że mam pannę Montag na stacji, a panna Bürstner przyjmuje ją jeszcze do swojego pokoju.

— Nie musi to być pani sprawą — powiedział K., rozgniatając resztki cukru na dnie filiżanki. — Czy też ponosi pani przez to jakąś szkodę?

— Nie — odparła pani Grubach. — Właściwie jest mi to nawet na rękę, zyskuję przez to wolny pokój i będę mogła ulokować tam mojego siostrzeńca, kapitana. Od dawna już miałam obawy, że odkąd pozwoliłam mu tymczasowo mieszkać w salonie obok pańskiego pokoju, może panu przeszkadzać. Nie bardzo się liczy z innymi.

— Co też pani przychodzi do głowy! — powiedział K. i wstał. — Nie o tym przecież mówię. Chyba ma mnie pani za zbyt przewrażliwionego, skoro pani sądzi, że nie potrafię znieść tych przechadzek panny Montag... O, i znów idzie z powrotem.

Pani Grubach poczuła się naprawdę bezsilna.

— Czy mam jej, panie K., powiedzieć, żeby resztę przeprowadzki odłożyła na kiedy indziej? Jeśli pan sobie życzy, zrobię to natychmiast.

— Ale przecież panna Montag przeprowadza się do panny Bürstner! — rzekł K.

— Tak — odparła pani Grubach; nie bardzo rozumiejąc, co K. ma na myśli.

— No właśnie — ciągnął K. — Więc musi przecież przenieść do niej swoje rzeczy.

Pani Grubach skinęła tylko głową. Ta niema bezsilność, która z zewnątrz wyglądała niemal jak upór, jeszcze bardziej drażniła K.; zaczął chodzić po pokoju w tę i z powrotem, od okna do drzwi, pozbawiając tym samym panią Grubach szansy na odejście, z której w odmiennych okolicznościach najpewniej by skorzystała.

K. właśnie po raz kolejny zbliżał się do drzwi, gdy rozległo się pukanie. Była to służąca, która oznajmiła, że panna Montag bardzo chętnie zamieniłaby z panem K. kilka słów i że go z tego powodu prosi, by przyszedł do jadalni, gdzie na niego czeka.

K. wysłuchał tej wiadomości w zamyśleniu, po czym rzucił niemal szydercze spojrzenie na przestraszoną panią Grubach. Spojrzenie to zdawało się mówić, że K. już dawno przewidział to zaproszenie panny Montag i że znakomicie pasuje ono do udręki, jaką

w ten niedzielny poranek zgotowali mu lokatorzy pani Grubach. Odesłał służącą z odpowiedzią, że zaraz przyjdzie, następnie podszedł do szafy z ubraniami, by zmienić marynarkę, a w odpowiedzi na utyskiwania pani Grubach na tę uciążliwą osobę, miał do niej tylko jedną prośbę: żeby już zabrała ze stołu naczynia po śniadaniu.

— Przecież pan niemal niczego nawet nie tknął — stwierdziła pani Grubach.

— Ach, niech pani to po prostu stąd wyniesie — zawołał K.; odniósł wrażenie, że panna Montag zdążyła się już dziś wszędzie wtrącić, sprawiając, że wszystko stało się dla niego odrażające.

Przechodząc przez przedpokój, spojrzął na zamknięte drzwi pokoju panny Bürstner. Nie tam był jednak zaproszony, lecz do jadalni, której drzwi otworzył od razu, bez pukania.

Pomieszczenie było bardzo długie, lecz wąskie, i miało jedno okno. Z powodu braku miejsca ustawiono w nim ukośnie po obu stronach drzwi dwie szafy, całą zaś resztę przestrzeni zajmował długi stół jadalny, zaczynający się tuż przy wejściu, a sięgający niemal do wielkiego okna, utrudniając tym samym dostęp do niego. Stół był już nakryty, i to dla wielu osób, gdyż w niedzielę niemal wszyscy lokatorzy jadali tu obiad.

Gdy K. wszedł do środka, panna Montag odeszła od okna i, idąc wzdłuż stołu, zbliżyła się do niego. Przywitani się w milczeniu. Następnie panna Montag, jak zwykle zadzierając przesadnie wysoko głowę, rzekła:

— Nie wiem, czy mnie pan w ogóle zna.

K. przyjrzał jej się, mrużąc oczy.

— No oczywiście — odparł. — Przecież mieszka pani u pani Grubach już od dawna.

— Ale, jak mniemam, pensjonat nie bardzo pana ciekawi — powiedziała panna Montag.

— Nie bardzo — odparł K.

— Nie zechce pan usiąść? — spytała panna Montag.

W milczeniu każde z nich wysunęło krzesło przy przeciwległym krańcu stołu i usiedli naprzeciwko siebie. Panna Montag jednak zaraz znów wstała; zostawiła na parapecie torebkę, więc udała się po nią, powłócząc nogą przez całe pomieszczenie. Gdy wróciła, lekko wymachując torebką, rzekła:

— Chciałabym tylko na prośbę mojej przyjaciółki zamienić z panem kilka słów. Zamierzała przyjść sama, ale niezbyt dobrze się dziś czuje. Prosi, by zechciał jej pan wybaczyć i wysłuchał mnie zamiast niej. Zresztą nie mogłaby panu powiedzieć nic innego niż to, co powiem ja. A chyba nawet ja mogę panu powiedzieć więcej, bo właściwie pozostaję w tej kwestii stosunkowo bezstronna. Nie sądzi pan?

— A cóż takiego jest tu do powiedzenia? — rzucił K., którego już znużyło, że wzrok panny Montag był nieustannie utkwiony w jego ustach. W ten sposób rościła sobie przecież z góry prawo do władzy nad tym, co dopiero zamierzał powiedzieć. — Panna Bürstner najwyraźniej nie chce wyrazić zgody na osobistą rozmowę, o co ją prosiłem.

— Tak właśnie jest — odparła panna Montag. — Albo raczej: to wcale nie tak, wyraził pan to w osobliwie ostrych słowach. Z zasady przecież nie udziela się takich zgód ani ich nie odmawia. Ale może się zdarzyć, że uznaje się takie rozmowy za zbędne, i tak właśnie jest w tym przypadku. Teraz, po pańskiej uwadze, mogę już mówić otwarcie. Poprosił pan moją przyjaciółkę, pisemnie czy ustnie, o rozmowę. Moja przyjaciółka zdaje sobie jednak sprawę, tak przynajmniej zakładam, czego miałyby dotyczyć ta rozmowa, i dlatego z powodów, które są mi nieznane, jest przekonana, że nikomu nie przyniosłaby ona korzyści, gdyby rzeczywiście do niej doszło. Zresztą wspomniała mi o tym dopiero wczoraj i tylko mimochodem, przy czym dodała, że panu najwyraźniej także nie może szczególnie zależeć na tej rozmowie, bo wpadł pan na ten pomysł jedynie przez przypadek i sam dostrzeże bezsensowność całej sprawy, jeśli nie teraz, to wkrótce, nawet bez szczególnych uzasadnień. Odpowiedziałam jej na to, że być może tak właśnie jest, lecz mimo wszystko dla pełnej jasności uważam za wskazane przekazać panu wyraźną odpowiedź. Zaferowałam się podjąć tego zadania, a moja przyjaciółka po chwili wahania ustąpiła. Żywię jednak nadzieję, że postąpiłam także po pańskiej myśli, bo nawet najmniejsza niepewność w najbardziej błahej sprawie jest uciążliwa, a skoro można się jej łatwo pozbyć, jak w tym przypadku, lepiej, by stało się to niezwłocznie.

— Dziękuję pani — powiedział natychmiast K., po czym podniósł się powoli, spojrzął na pannę Montag, potem wzdłuż stołu, potem przez okno, gdzie naprzeciwko stał

Wzrok, Władza

w słońcu dom, i podszedł do drzwi. Panna Montag podążyła za nim parę kroków, jakby nie do końca mu ufała. Oboje musieli się jednak cofnąć przy drzwiach, gdyż te się otworzyły i wszedł przez nie kapitan Lanz. K. widział go po raz pierwszy z bliska. Był to wysoki mężczyzna, około czterdziestki, o opalonej, nalanej twarzy. Skłonił się nieznacznie, także do K., po czym podszedł do panny Montag i z szacunkiem ucałował jej dłoń. Jego ruchy były niezwykle zwinne, a uprzejmość względem panny Montag uderzająco różniła się od sposobu, w jaki potraktował ją K.

Mimo to panna Montag nie sprawiała wrażenia, jakby się na K. gniewała; miała nawet zamiar, jak się K. zdawało, przedstawić go kapitanowi. Ale K. wcale nie chciał być przedstawiony temu człowiekowi, nie byłby bowiem w stanie okazać choćby odrobiny życzliwości ani kapitanowi, ani pannie Montag, w jego mniemaniu pocałunek w rękę złączył tych dwoje w jedną grupę, która pod pozorem wyjątkowej nieszkodliwości i bezinteresowności miała go odciągnąć od panny Bürstner.

K. zdawało się również, że dostrzega ponadto i to, iż panna Montag obrała dobry, choć obosieczny środek. Wyolbrzymiała znaczenie relacji między panną Bürstner a K., a przede wszystkim wyolbrzymiała znaczenie samej rozmowy, o którą prosił K., jednocześnie usiłując przedstawić stan rzeczy w taki sposób, jakby to K. wszystko wyolbrzymiał. Była jednak w błędzie; K. nie wyolbrzymiał niczego, wiedział przecież, że panna Bürstner jest tylko zwykłą stenotypistką, która nie stawiałaby mu długo oporu. Umyslnie wcale nie brał pod uwagę tego, czego dowiedział się o pannie Bürstner od pani Grubach.

Wszystko to rozważał, wychodząc z jadalni niemal bez pożegnania. Chciał się od razu udać do swojego pokoju, lecz krótki śmiech panny Montag za jego plecami, który dobiegł go z jadalni, podsunął mu myśl, że mógłby sprawić tej parze, kapitanowi i pannie Montag, niespodziankę. Rozejrzał się i nadstawił ucha, czy z któregoś z pokoi nie grozi mu jakaś przeszkoda; jednak wszędzie panowała cisza, tylko z jadalni dobiegały odgłosy rozmowy, a z korytarza prowadzącego do kuchni głos pani Grubach.

Okazja zdawała się sprzyjająca. K. podszedł więc do drzwi pokoju panny Bürstner i cicho zapukał. Ponieważ najwyraźniej nic się za nimi nawet nie poruszyło, zastukał raz jeszcze, lecz wciąż nie słyszał żadnej odpowiedzi. Czyżby spała? A może naprawdę źle się czuła? Czy tylko udawała, że jej nie ma, bo przeczuwała, iż tak cicho pukać mógł tylko K.? K. uznał, że panna Bürstner udaje nieobecną, i zapukał mocniej, w końcu zaś, jako że i to pukanie pozostało bez odzewu, ostrożnie otworzył drzwi, nie bez poczucia, że czyni coś niewłaściwego, a zarazem daremnego. W pokoju nikogo nie było. W dodatku pomieszczenie ledwie przypominało to, jakie znał K. Przy ścianie znajdowały się teraz dwa łóżka, jedno przy drugim, trzy fotele przy drzwiach były zarzucone ubraniami i bielizną, a szafa stała otwarta na oścież.

Panna Bürstner zapewne wyszła w czasie, gdy panna Montag zasypywała K. słowami w jadalni. Nie wstrząsnęło to jakoś szczególnie K.; i tak już niemal nie spodziewał się spotkać panny Bürstner, próbę tę podjął prawie wyłącznie z przekory wobec panny Montag. Tym bardziej poczuł się jednak niezręcznie, gdy, zamykając z powrotem pokój, ujrzał w otwartych drzwiach jadalni pogrążonych w rozmowie pannę Montag i kapitana.

Stali tam może już od chwili, gdy K. otworzył drzwi, starali się nie dać po sobie poznać, że go obserwują, rozmawiali ze sobą po cichu, przypatrując się K. w taki sposób, jak ludzie zatopieni w rozmowie, którzy błędzą dokoła roztargnionym wzrokiem. Ale spojrzenia te ciążyły K.; pospieszył więc wzdłuż ściany prosto do swojego pokoju.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Siepacz

Gdy któregoś z następnych wieczorów K. przechodził korytarzem dzielącym jego biuro od schodów głównych — tym razem wychodził do domu niemal jako ostatni, tylko w ekspedycji pracowało jeszcze dwóch woźnych skupionych wokół światła niewielkiej żarówki — usłyszał pojękiwania dobiegające zza drzwi, za którymi zawsze jedynie domyślał się rupieciarni, choć nigdy dotąd nie widział jej na własne oczy. Przystanął ze zdumienia, znów nadstawiając ucha, by się upewnić, czy się nie myli — na chwilę wszystko uci-

chło, lecz potem jęki znów się rozległy. Najpierw chciał sprowadzić jednego z woźnych, na wypadek potrzeby obecności świadka, lecz potem ogarnęła go tak nieposkromiona ciekawość, że wręcz szarpnął drzwi, otwierając je. Za nimi znajdowała się, jak słusznie przypuszczał, rupiecarnia. Tuż za progiem leżały nieprzydatne, stare druki i powywracane, puste kałamarze z gliny. W pomieszczeniu stało, garbiąc się z powodu niskiego sufitu, trzech mężczyzn. Panował tam mrok, który rozpraszała świeca przytwierdzona do półki.

— Co wy tu wyprawiacie? — zapytał K., wyrzucając z siebie słowa w nerwowym pośpiechu, jednak dość cichym głosem.

Jeden z mężczyzn, który najwyraźniej dominował nad pozostałymi i też najbardziej przyciągał uwagę, ubrany był w dość nietypowy ciemny, skórzany strój, obnażający całe ręce i szyję aż po samą pierś. On sam nic nie odpowiedział, zaś pozostali dwaj zawołali:

— Panie! Czekają nas baty, bo poskarżył się pan na nas do sędziego śledczego.

Dopiero teraz K. rozpoznał, że to rzeczywiście strażnicy Franz i Willem, a ten trzeci trzymał w ręku bat, którym najwidoczniej zamierzał ich wychłostać.

— Cóż — rzekł K., wpatrując się w obu mężczyzn. — Ja się wcale nie skarżyłem, powiedziałem tylko, co się wydarzyło w moim mieszkaniu. Przecież nie zachowywaliście się bez zarzutu.

— Panie — odezwał się Willem, podczas gdy Franz schował się za nim, najpewniej usiłując się ukryć przed tym trzecim. — Gdyby pan wiedział, jak słabo nam płacą, inaczej by nas pan ocenił. Mam na utrzymaniu rodzinę, a Franz chciał się żenić, człowiek na wszelkie sposoby próbuje się dorobić, ale samą pracą, choćby najcięższą, nie sposób tego dokonać. Pańska elegancka bielizna była kusząca, oczywiście strażnikom zabrania się postępować w ten sposób, było to rzecz jasna niestosowne, zwyczajowo jednak bielizna przypada strażnikom, zawsze tak było, proszę mi wierzyć; i jest to też zrozumiałe, coż bowiem znaczą takie przedmioty dla nieszczęśnika, który zostaje aresztowany? Skoro jednak sprawa została poruszona na forum publicznym, kara jest nieunikniona.

— Tego, co teraz mówicie, nie wiedziałem. Nie domagałem się zresztą wcale waszego ukarania, chodziło mi o zasadę.

Willem zwrócił się do drugiego strażnika:

— Franz, a nie mówiłem, że pan wcale nie nalegał, żebyśmy zostali ukarani? Słyszysz? Nawet nie wiedział, że musimy dostać karę.

— Niech cię to gadanie nie wzrusza — odezwał się trzeci mężczyzna do K. — Kara jest równie sprawiedliwa, co nieunikniona.

— Nie słuchaj go — powiedział Willem i przerwał na chwilę, by pospieszenie przyłożyć do ust dłoń, w którą oberwał właśnie batem. — Będziemy ukarani tylko dlatego, że złożył pan na nas doniesienie. Inaczej nic by nam nie groziło, nawet gdyby się dowiedzieli, co zrobiliśmy. Czy można to nazwać sprawiedliwością? Długo uchodziliśmy, a ja w szczególności, za sprawdzonych strażników. Sam musisz przyznać, że z punktu widzenia władz dobrze wywiązywaliśmy się ze swojej służby strażniczej; mogliśmy zejść daleko, zapewne wkrótce również zostalibyśmy siepaczami, jak ten tutaj, któremu się akurat poszczęściło, że nikt na niego nie złożył doniesienia, bo do tego dochodzi naprawdę bardzo rzadko. A teraz, panie, wszystko stracone, nasza kariera jest skończona, będziemy musieli wykonywać dużo podrzędniejsze prace niż służba strażnicza, a nadto czekają nas teraz te potwornie bolesne baty.

— Czyżby to mogło zadawać aż taki ból? — spytał K. i obejrzał bat, którym siepacz⁷ wymachiwał przed nim.

— Przecież będziemy musieli się rozebrać do naga — rzekł Willem.

— Aha! — K. przyjrzał się uważnie siepaczowi; który miał opalenizną niczym marynarz, a jego twarz była świeża i dzika. — Nie ma żadnej możliwości, żeby oszczędzić im batów? — zapytał go.

— Nie — odparł siepacz i z uśmiechem pokręcił głową. — Rozbierać się! — rozkazał strażnikom, a do K. rzekł: — Nie wierz im we wszystko, ze strachu przed chłostą już im się trochę pomieszało w głowie. To, co ten tutaj na przykład — wskazał na Willema — rozpowiada o swoich perspektywach zawodowych, jest po prostu żalosne. Spójrz tylko,

⁷siepacz — niem. *Prügler* wyrasta z pola znaczeń *prügeln*, *Prügel*, obejmującego bicie, chłostę i zadawanie razów. W języku polskim brak jego ścisłego ekwiwalentu. Samo określenie nie rozstrzyga jednoznacznie, czy chodzi o wykonawcę kary cielesnej, siepacza, czy szerzej: o człowieka od bicia. [przypis tłumacza]

jaki jest tłusty, pierwsze uderzenia batem w ogóle zginą w tym tłuszczu. A wiesz, czym się tak utuczyl? Zjada wszystkim aresztowanym śniadania. Twój nie zjadł? A widzisz, mówiłem. Mężczyzna z takim brzuchem nigdy, pod żadnym pozorem nie zostanie siepaczem, to absolutnie wykluczone.

— Są i tacy siepacze — upierał się Willem, rozpinając pasek od spodni.

— Nie — zaprzeczył siepacz i smagnął go batem po szyi tak, że Willem aż się wzdrygnął. — Nie pod słuchuj, tylko się rozbieraj.

— Hojnie bym cię wynagrodził, gdybyś ich wypuścił — rzekł K. i wyjął portfel, odrywając wzrok od siepacza. Takie transakcje najlepiej zawierać ze spuszczonej oczami.

— Żebyś zrobił kolejne doniesienie, ściągając bity i na mnie? O, nie!

— Bądźże rozsądny — powiedział K. — Gdybym chciał, żeby tych dwóch dostało karę, nie próbowałbym ich przecież teraz z niej wykupić. Mógłbym po prostu trzasnąć drzwiami, nie musząc niczego więcej widzieć ani słyszeć, i pójść do domu; tymczasem tego nie robię, wręcz przeciwnie, naprawdę zależy mi na ich uwolnieniu; gdybym przewidział, że mają zostać ukarani albo choćby tylko istniała możliwość, że zostaną ukarani, nigdy nie wymieniałbym ich nazwisk. Wcale ich bowiem nie uważam za winnych, winna jest organizacja, winni są wysocy urzędnicy.

— Tak właśnie jest! — zawołali strażnicy, za co natychmiast zostali smagnięci po swoich nagich plecach.

— Gdybyś miał tutaj pod batem jakiegoś wysokiego sędziego — rzekł K., przytrzymując bat, który od razu znów chciał się unieść — naprawdę bym ci teraz nie przeszkadzał ich biczować, nawet ci jeszcze zapłacił, żebyś się w tej słusznej sprawie umocnił.

— To, co mówisz, brzmi wprawdzie wiarygodnie — odparł siepacz — ale nie pozwolę się przekupić. Zatrudniono mnie, bym biczował, i będę biczował.

Strażnik Franz, który być może w oczekiwaniu pomyślnego wyniku ingerencji K. dotąd zachowywał się dość powściągliwie, podszedł teraz, mając na sobie już tylko spodnie, do drzwi, uklęknął, uczył się ramienia K. i wyszeptał:

— Jeśli nie zdołasz nic wskórać, by oszczędzono nas obu, spróbuj przynajmniej uwolnić choć mnie. Willem jest ode mnie starszy, pod każdym względem mniej wrażliwy, poza tym parę lat temu dostał już raz lekką karę chłosty, ja natomiast nie zostałem jeszcze zhańbiony, a do tego postępowania zostałem doprowadzony tylko przez Willema, który w dobrym i złym jest moim nauczycielem. Przed bankiem czeka na zakończenie tej sprawy moja biedna narzeczona, tak strasznie się wstydę. — Wytarł swoją zalaną łzami twarz połamami marynarki K.

— Dłużej czekać nie będę — rzekł siepacz, ujmując oburącz bat, po czym zaczął nim okładać Franza, podczas gdy Willem kulił się w kącie i po kryjomu wszystkiemu się przyglądał, nie śmiejąc nawet obrócić głowy w inną stronę. I wtedy Franz wydał z siebie krzyk, ciągły, jednostajny; zdawało się, że nie pochodzący z ludzkiego gardła, lecz z maltretowanego instrumentu; krzyk ten wypełnił cały korytarz; cały budynek musiał go słyszeć.

— Nie krzycz — wrzasnął K., nie zdoławszy się powstrzymać. Wpatrywał się uważnie w kierunku, z którego musieli zaraz nadbiec woźni, szturchnął Franza, niezbyt mocno, na tyle jednak, że ten, niemal nieprzytomny, upadł i zaczął w konwulsjach oburącz macać podłogę; ciosów jednak nie uniknął; bat, którego końcówka w równym rytmie co rusz unosila się i opadała, znalazł go i tam, wijącego się na ziemi pod cięgami.

W oddali już się zjawiał jakiś woźny, a parę kroków za nim kolejny. K. gwałtownie zatrzasnął drzwi, podszedł do znajdującego się w pobliżu, wychodzącego na podwórze okna i je otworzył. Krzyk całkiem ustał. Żeby nie pozwolić woźnym podejść bliżej, zawołał:

— To ja.

— Dobry wieczór, panie prokurencie — zawołali. — Co się stało?

— Nie, nie — odparł K. — To tylko pies zawył na podwórzu.

Gdy woźni mimo to nie ruszyli z miejsca, dodał:

— Możecie wracać do swojej pracy.

Aby nie wdawać się z nimi w żadną rozmowę, wychylił się przez okno. Kiedy po chwili znów spojrzął na korytarz, już ich nie było.

K. jednak pozostał przy oknie, do rupieciarni nie śmiał wejść, a do domu wrócić też nie chciał. Spoglądał z góry na mały, prostokątny dziedziniec, ze wszystkich stron otoczony

biurami, we wszystkich oknach było już ciemno, tylko te najwyższe łapały jeszcze poblask księżycy.

K. usiłował wytężonym wzrokiem przeniknąć ciemność jednego z rogów podwórza, gdzie stało kilka wózków ręcznych, wciśniętych jeden w drugi. Dręczyło go, że nie zdołał zapobiec chłóście, ale nie było jego winą, że mu się to nie udało; gdyby Franz nie krzyczał — owszem, pewnie go bardzo bolało, ale w decydującej chwili trzeba się opanować — gdyby więc nie krzyczał, K. znalazłby, z co najmniej niemałym prawdopodobieństwem, jakiś sposób, by przekonać siepacza. Jeśli wszyscy najniżsi urzędnicy byli hołotą, dlaczego właśnie siepacz, który sprawował najbardziej nieludzką funkcję, miałby stanowić wyjątek? Zresztą K. trafnie zaobserwował, jak zabłyśły mu oczy na widok banknotu, pewnie wziął się do bicia z takim zaangażowaniem tylko dlatego, żeby podbić wysokość łapówki.

K. zaś wcale nie żałowałby gotówki, naprawdę mu zależało na uwolnieniu strażników; skoro już zaczął zwalczać zepsucie tego wymiaru sprawiedliwości, było rzeczą oczywistą, że także z tej strony musi podjąć działania. Ale krzyk Franza położył wszystkiemu kres. K. nie mógł dopuścić, żeby woźni, a może nawet i inni, przyszli i przyłapali go na układach z tym towarzystwem w rupieciarni. Takiego poświęcenia naprawdę nikt nie miał prawa domagać się od K. Prościej byłoby już chyba, gdyby K. sam się rozebrał i zaproponował siepaczowi siebie samego w zamian za strażników.

Zresztą siepacz z pewnością nie przyjąłby takiej zamiany, bo w ten sposób, nie odnosząc żadnej korzyści, poważnie naruszyłby swoje obowiązki, i to zapewne w dwójnasób, gdyż K. jako ktoś, przeciwko komu toczyło się postępowanie, musiał pozostać dla wszystkich urzędników sądowych nietykalny. Co prawda mogły tu także obowiązywać przepisy specjalne. W każdym razie K. nie mógł zrobić nic innego, jak tylko zatrzaskać drzwi, choć i w ten sposób bynajmniej nie usunął całkowicie wszelkiego niebezpieczeństwa, jakie mogło mu zagrażać. To, że K. na koniec jeszcze popchnął Franza, było przykre i dało się usprawiedliwić wyłącznie jego wzburzeniem.

W oddali usłyszał kroki woźnych; żeby nie ściągnąć na siebie ich uwagi, zamknął okno i ruszył w stronę schodów głównych. Przy drzwiach do rupieciarni zatrzymał się na chwilę i zaczął nasłuchiwać, lecz usłyszał za nimi tylko głuchą ciszę. Siepacz mógł zakatować strażników na śmierć, znajdowali się przecież całkiem pod jego władzą. K. już wyciągał rękę ku kłamce, lecz zaraz znów ją cofnął. Żadnemu pomóc już nie zdoła, a pewnie za chwilę mógł się spodziewać woźnych; poprzysiągł jednak sobie, że sprawę jeszcze poruszy i na ile tylko będzie to leżało w jego mocy, doprowadzi do stosownego ukarania prawdziwych winnych, owych wysokich urzędników, z których żaden jak dotąd nie ośmielił się pokazać mu na oczy.

Dotarliśmy na zewnętrzne schody banku, uważnie przyglądał się wszystkim przechodniom, lecz nawet w oddali nie było widać żadnej dziewczyny wyglądającej, jakby na kogoś czekała. Słowa Franza, że narzeczona czeka na niego na dole, okazały się wprawdzie wybaczalnym, lecz jednak tylko kłamstwem, mającym na celu wyłącznie wzbudzenie większego współczucia.

Nazajutrz strażnicy wciąż nie wychodzili K. z głowy; nie mógł się skupić i żeby się uporać z pracą, musiał zostać w biurze dłużej niż poprzedniego dnia. Gdy w drodze do domu mijał drzwi rupieciarni, z przyzwyczajenia je otworzył. To, co za nimi ujrzał zamiast spodziewanego mroku, zupełnie wytrąciło go z równowagi: wewnątrz wcale się nie zmieniło, wszystko wyglądało tu dokładnie tak samo jak poprzedniego wieczoru. Druki i kałamarze tuż za progiem, świeca na półce regału, siepacz z batem i strażnicy wciąż jeszcze w pełnym ubraniu, zawodzący:

— Panie!

K. natychmiast zatrzaskał drzwi i jeszcze uderzył w nie pięściami, jakby mogły się dzięki temu zamknąć tym mocniej. Niemał z płaczem pobiegł do woźnych, którzy spokojnie pracowali przy powielaczach i teraz ze zdumieniem przerwali pracę.

— Opróżnijcie wreszcie tę rupieciarnię — zawołał. — Niedługo utoniemy w tym brudzie.

Woźni zgodzili się zrobić to następnego dnia, K. skinął głową, o tej porze nie mógł ich już zmusić do pracy, jak właściwie początkowo zamierzał. Usiadł, by zatrzymać woźnych jeszcze chwilę przy sobie, przerzucił parę kopii, z pozoru je sprawdzając, po czym,

uświadomiwszy sobie, że woźni nie odważą się wyjść równocześnie z nim, zmęczony i nieobecny myślami, wyszedł do domu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wujek — Leni

Pewnego popołudnia — K. był właśnie bardzo zajęty przed wysyłką poczty — do biura K. wkroczył, wciskając się między dwóch woźnych, idących do niego z dokumentami, Karl, jego wuj, drobny właściciel ziemski z prowincji. K. nie przestraszył się na jego widok aż tak, jak wcześniej na samą myśl o jego wizycie. Było dla K. od mniej więcej miesiąca pewne, że wuj przyjedzie. Już wtedy K. wydawało się, że niemal widzi, jak wuj, lekko przygarbiony, ściskając w lewej ręce wgnieciony kapelusz panama, prawą wyciąga ku niemu już z daleka i z bezwzględny pośpiechem podaje mu ją przez biurko, wszystko z niego strącając.

Wuj wciąż się spieszył, prześladowany nieszczęsną myślą, że podczas każdego ze swoich ledwie jednodniowych pobytów w stolicy musi załatwić wszystko, co sobie zaplanował, a nadto nie może przepuścić żadnej nadarżającej się okazji czy to do rozmowy, czy to do bicia interesu, czy rozrywki. Przy tym K., który jako jego dawny podopieczny był wobec niego szczególnie zobowiązany, musiał mu we wszystkim pomagać i jeszcze gościć u siebie na noc. K. zwykł nazywać go „upiołem z prowincji”.

Zaraz po przywitaniu się z K. — wuj nie miał czasu, by spocząć w fotelu, do czego K. go zachęcał — poprosił o krótką rozmowę w cztery oczy.

— To konieczne — powiedział, z trudem przełykając ślinę. — Konieczne dla mojego spokoju.

K. natychmiast odprawił ze swojego biura woźnych, zabraniając im kogokolwiek wpuszczać.

— Czegóż ja się dowiaduję, Josefie? — zawołał wuj, gdy zostali sami, a potem usiadł na biurku i bezwiednie wepchnął pod siebie różne papiery, żeby mu się wygodniej siedziało.

K. milczał; wiedział, co nastąpi. Oderwawszy się tak nagle od żmudnej pracy, oddał się najpierw błogiemu znużeniu, spoglądając przez okno na przeciwległą stronę ulicy, z której ze swojego miejsca mógł zobaczyć jedynie mały trójkątny kawałek gołego muru między dwiema witrynami sklepowymi.

— Wyglądasz sobie przez okno! — wykrzyknął wuj z uniesionymi rękoma. — Na litość boską, Josefie, odpowiedz mi wreszcie. Czy to prawda, czy to w ogóle może być prawdą?

— Drogi wuju — rzekł K., otrząsając się z tego rozkojarzenia. — Naprawdę nie mam pojęcia, o czym wuj mówi.

— Josefie — powiedział ostrzegawczym tonem wuj — o ile wiem, zawsze byłeś prawdomówny. Czy mam uznać twoje ostatnie słowa za zły znak?

— Domyślam się przecież, o co wujowi chodzi — odparł posłusznie K. — Pewnie dowiedział się wuj o moim procesie.

— Owszem — odparł wuj, kiwając powoli głową. — Doszły mnie słuchy o twoim procesie.

— Od kogo? — zapytał K.

— Napisała mi o tym Erna — rzekł wuj — nie utrzymuje z tobą żadnych stosunków, niestety nie bardzo się nią interesujesz, a jednak się o tym dowiedziała. Dziś dostałem od niej list i oczywiście natychmiast przyjechałem. Z żadnego innego powodu, ten jednak wydał mi się wystarczający. Mogę ci przeczytać ustęp, który się do ciebie odnosi. — Wyjął list z portfela. — Oto i on. Erna pisze: „Josefa nie widuję już od dawna, w ubiegłym tygodniu byłam w banku, lecz był tak zajęty, że mnie do niego nie wpuścili; czekałam bez mała godzinę, potem musiałam wrócić do domu, bo miałam lekcję fortepianu. Bardzo chętnie bym z nim porozmawiała, może wkrótce nadarzy się sposobność. Na imieniny przysłał mi wielkie opakowanie pralinek, to niezwykle miłe i szarmanckie z jego strony. Zapomniałam Wam o tym wtedy napisać, wpadło mi to do głowy dopiero teraz, gdy

mnie zapytaliście. A pralinki, musicie wiedzieć, znikają w pensjonacie od razu, ledwie sobie człowiek uzmysłowi, że je dostał w prezencie, a już ich nie ma. Ale co się tyczy Josefa, chciałam Wam powiedzieć coś jeszcze. Jak wspomniałam, nie wpuszczono mnie do niego w banku, ponieważ rozmawiał wtedy z jakimś panem. Czekałam na niego spokojnie, w pewnym momencie zapytałam jednego z woźnych, czy pertraktacje potrważą jeszcze długo. Powiedział, że chyba tak, zapewne toczą się bowiem wokół procesu przeciwko panu prokurentowi. Zapytałam, co to za proces, czy się nie myli, ale on powiedział, że nie, że to proces, i to poważny, nic więcej jednak nie wie. Sam bardzo chętnie pomógłby panu prokurentowi, jako że jest on człowiekiem dobrym i sprawiedliwym, ale nie bardzo wie, jak się do tego zabrać, i życzyłby sobie tylko, by wstawiły się za nim jakieś wpływowe osoby. Co z pewnością nastąpi i sprawa ostatecznie zakończy się pomyślnie, na razie jednak, jak wnioskuje z humoru pana prokurenta, nie wygląda to wcale dobrze. Oczywiście nie przywiązywałam do tych słów wielkiego znaczenia, starałam się także uspokoić tego prostodusznego woźnego, zabroniłam mu mówić o tym w obecności innych i całą rzecz uznałam za plotkę. Mimo wszystko byłoby chyba dobrze, gdybyś Ty, najdroższy Ojciec, przy najbliższej wizycie zechciał się bliżej zająć tą sprawą; zapewne z łatwością dowiesz się jakichś szczegółów i jeśli rzeczywiście okaże się to konieczne, będziesz mógł zainterweniować za pośrednictwem Twoich licznych wpływowych znajomości. Jeśliby zaś nie było to konieczne, co jest zresztą jak najbardziej możliwe, to przynajmniej stworzy to Twojej córce sposobność, by Cię rychło uściskać, co by ją niezmiernie ucieszyło”. Dobrze dziecko — powiedział wuj, gdy skończył czytać, ocierając z oczu łzy.

K. skinął głową; wskutek tych wszystkich przeciwności losu w ostatnim czasie całkiem zapomniał o Ernie, nawet o jej urodzinach; dziewczyna najwyraźniej zmyśliła historię z pralinkami tylko po to, by go ochronić przed wujem i ciotką. Było to niezmiernie wzruszające i z pewnością nie mógł jej tego wystarczająco wynagrodzić samymi biletami do teatru, które zamierzał jej odtąd regularnie wysyłać, lecz nie czuł się teraz zdolny do odwiedzin w pensjonacie i pogaduszek z osiemnastoletnią gimnazjalistką.

— I co mi teraz powiesz? — zapytał wuj, który pod wpływem lektury listu zapomniał o całym swoim pośpiechu i zdenerwowaniu, a teraz zdawał się czytać list ponownie.

— Tak, wuju, to prawda — powiedział K.

— Prawda? — zapytał głośno wuj. — Co jest prawdą? Jak to w ogóle może być prawda? Cóż to za proces? Chyba nie karny?

— Karny — odparł K.

— A ty tu siedzisz tak spokojnie, chociaż masz na karku proces karny? — zawołał wuj, krzycząc coraz głośniej.

— Im będę spokojniejszy, tym lepiej dla jego wyniku — powiedział ze znużeniem K. — Niech się wuj nie boi.

— Mnie to bynajmniej nie uspokaja! — zawołał wuj. — Josefie, drogi Josefie, pomyśl o sobie, o swoich krewnych, o naszym dobrym imieniu! Byłeś dotąd naszą chlubą, nie możesz stać się naszą hańbą. Nie podoba mi się twoja postawa. — Wuj spojrział na K., przekrzywiając głowę. — Tak nie zachowuje się człowiek niewinny, będąc oskarżonym i jeszcze w pełni sił. Powiedz mi tylko prędko, o co chodzi, żebym ci pomógł. Chodzi oczywiście o bank?

— Nie — powiedział K. i wstał. — Ale drogi wuj mówi za głośno, woźny pewnie nasłuchuje pod drzwiami. Jestem w niezręcznej sytuacji. Lepiej stąd chodźmy. O ile będę w stanie, odpowiem na wszystkie pytania wuja. Doskonale wiem, że jestem winien wyjaśnienia rodzinie.

— Słusznie! — krzyknął wuj. — Bardzo słusznie, tylko się pośpiesz, Josefie, pośpiesz się.

— Muszę tylko wydać kilka dyspozycji — powiedział K. i wezwał przez telefon swojego zastępcę, który po chwili wszedł do biura.

Wuj w swoim zaferowaniu dał temu młodemu człowiekowi gestem do zrozumienia, że to K. go wezwał, choć przecież nie mogło być co do tego żadnych wątpliwości. K., posilkując się różnymi dokumentami ze swojego biurka cichym głosem wyjaśnił zastępcy wsłuchującemu się w jego słowa z chłodną, lecz uważną miną, co ten musi jeszcze dziś załatwić podczas nieobecności K. Wuj im przeszkadzał, z początku stał w pobliżu z wytrzeszczonymi oczami, przygryzając nerwowo wargi, nie słuchając wprawdzie, ale

już samo wrażenie, że ich słucha, wystarczało, by im przeszkadzać. Później jednak zaczął chodzić po pokoju w tę i z powrotem i zatrzymywał się tu i tam przed oknem albo przed jakimś obrazem, przy czym co chwila wyrzucał z siebie rozmaite okrzyki, jak: „To doprawdy niepojęte!” czy też: „No i co teraz?”.

Młody człowiek udawał, że tego nie zauważa, wysłuchał w spokoju poleceń K. do końca, porobił sobie parę notatek i wyszedł, uprzednio skłoniwszy się zarówno przed K., jak i wujem, który jednak w tej samej chwili odwrócił się do niego plecami i wyglądając przez okno, wyciągniętymi przed siebie rękami miętosił zasłony. Ledwie drzwi się zamknęły, wuj zawołał:

— Nareszcie poszedł ten pajac, teraz i my możemy iść. Nareszcie!

Niestety nie było sposobu, by nakłonić wuja, żeby w westybulu, gdzie kręciło się kilku urzędników i woźnych, a właśnie przechodził także wicedyrektor, powstrzymał się od zadawania pytań o proces.

— A więc, Josefie — zaczął wuj, odwzajemniając ukłony zebranych wokół dyskretnym salutowaniem. — Opowiedz mi teraz, ale tak szczerze, co to za proces.

K. rzucił parę nic nieznaczących uwag, wybuchając przy tym momentami krótkim śmiechem, i dopiero na schodach wyjaśnił wujowi, że nie chciał mówić tak otwarcie przy ludziach.

— I słusznie — powiedział wuj. — Ale teraz już opowiadaj.

Słuchał z pochyloną głową, zaciągając się krótko i pospiesznie cygarem.

— Wuju, przede wszystkim wcale nie chodzi o proces przed zwykłym sądem.

— To niedobrze — powiedział wuj.

— Jak to? — spytał K., spoglądając na wuja.

— No, myślę, że to niedobrze — powtórzył wuj.

Stali na szerokich schodach wychodzących na ulicę; ponieważ portier zdawał się ich podsłuchiwać, K. zaprowadził wuja na dół, gdzie zostali wchłonięci przez tętniący życiem ruch uliczny. Wuj chwycił K. pod ramię i przestał go tak uporczywie wypytywać o proces; przez dłuższą chwilę szli nawet pogrążeni w całkowitym milczeniu.

— Ale jak to się właściwie stało? — zapytał w końcu wuj, przystając tak raptownie, że wystraszeni przechodnie tuż za nim rozstąpili się na boki. — Przecież takie rzeczy nie pojawiają się nagle, zwykle zachodzą stopniowo, musiały przecież być jakieś oznaki. Czemu do mnie nie napisałeś? Wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko, wciąż w pewnym sensie jesteś pod moją opieką i jak dotąd zawsze byłem z tego dumny. Oczywiście wciąż ci będę pomagał, tylko że teraz, kiedy proces jest już w toku, będzie to dość trudne. W każdym razie na pewno byłoby najlepiej, gdybyś wziął krótki urlop i zagościł u nas na prowincji. Teraz widzę, że jesteś też trochę wychudzony. Nabierzesz tam sił, wyjdzie ci to na dobre, z pewnością czeka cię przecież trudny okres. Poza tym w ten sposób znajdziesz się w pewnym sensie niejako poza bezpośrednim zasięgiem sądu. Tutaj mają do dyspozycji wszelkie możliwe środki przymusu, których siłą rzeczy automatycznie używają także w stosunku do ciebie; na prowincję zaś musieliby celowo wydelegować jakichś urzędników albo stosować wobec ciebie perswazję listami, telegrafem czy telefonem, co oczywiście miałoby słabsze działanie. Co prawda nie odzyskałbyś tam całkiem wolności, ale pobyt dałby ci wytchnienie.

— Mogliby przecież zakazać mi wyjeżdżać — powiedział K., którego wuj już trochę wciągnął w swój tok rozumowania.

— Nie sądzę, by to zrobili — odparł wuj w zamyśleniu. — Aż tak wielkiego ubytku władzy przez twój wyjazd przecież by nie doznali.

— Myślałem — powiedział K. i ujął wuja pod ramię, by nie pozwolić mu pozostać w miejscu — że wuj przyjmie to wszystko jeszcze lżej niż ja, a wuj tak się tym przejął.

— Josefie! — zawołał wuj, próbując mu się wywinąć i stanąć w miejscu, lecz K. mu na to nie pozwolił. — Zmieniłeś się, zawsze przecież miałeś zdolność właściwej oceny sytuacji, czyżby akurat teraz cię opuściła? Chcesz przegrać ten proces? Wiesz, co to będzie oznaczać? Po prostu zostaniesz przekreślony. I pociągniesz za sobą całą rodzinę albo przynajmniej zostaniemy bez reszty upokorzeni. Josefie, weź się w garść! Twoja obojętność doprowadza mnie do szału. Jak się na ciebie patrzy, można niemal dać wiarę porzekadłu, że mieć taki proces, to go od razu przegrać.

— Drogi wuju — rzekł K. — Całe to zdenerwowanie ze strony wuja jest zbyteczne i byłoby takie samo z mojej. Nerwy nijak mi nie pomogą wygrać procesu, niech wuj choć trochę uszanuje także i moje doświadczenie, tak jak i ja zawsze wysoko ceniłem i wciąż cenię doświadczenie wuja, choć teraz wuj mnie nieco zadziwił. Bo skoro ten proces miałby tak dotkliwie odbić się także na rodzinie, czego ze swej strony pojąć nie potrafię, jednak nie to ma tu znaczenie, chętnie zastosuję się we wszystkim do rad wuja. Jedyne wyjazd na prowincję uważam, nawet patrząc na to z perspektywy wuja, za niezbyt udany pomysł, gdyż byłby równoznaczny z ucieczką i poczuwaniem się do winy. Poza tym co prawda mają tu nade mną większy nadzór, lecz mogę jednocześnie też sam bardziej zadbać o wpływ na swoją sprawę.

— Słusznie — rzekł wuj tonem, jakby wreszcie osiągnęli jednomyślność. — Za-proponowałem ci wyjazd tylko dlatego, że jeśli tu zostaniesz, twoja bierność mogłaby zaszkodzić sprawie, więc uznałem, że lepiej będzie zadziałać w twoim imieniu. Skoro jednak sam chciałbyś się do tego zabrać z całą energią, to oczywiście jeszcze lepiej.

— A zatem jesteśmy co do tego zgodni — powiedział K. — A czy wuj ma jakiś pomysł, co powinienem zrobić najpierw?

— Muszę się oczywiście nad tym wszystkim jeszcze zastanowić — odparł wuj. — Musisz pamiętać, że od blisko dwudziestu lat niemal bezustannie przebywam na prowincji, a w takich sprawach człowiek z czasem traci wyczucie. Moje kontakty z różnymi ważnymi osobistościami, które mogłyby mieć lepsze rozeznanie niż ja, z czasem się rozluźniły. Jak wiesz, na prowincji jestem trochę osamotniony. Człowiek uświadamia to sobie właściwie dopiero w takich sytuacjach. Twoja sprawa po części mnie zaskoczyła, choć, co może wydawać się nieco dziwne, już po liście Erny ogarnęło mnie niejasne przecucie, a gdy cię dziś zobaczyłem, nabrałem niemal całkowitej pewności. Ale to teraz bez znaczenia, najważniejsze, by nie tracić czasu.

Mówiąc to, stanął na palcach i przywołał ręką automobil, po czym wciągnął za sobą do środka K., wykrzykując adres do szofera.

— Pojedziemy teraz do mecenasa Hulda⁸, mego kolegi ze szkolnej ławy — oznajmił. — Nazwisko z pewnością coś ci mówi? Nie? To dziwne. Jest znanym i szanowanym adwokatem i obrońcą ubogich. A ja mam wielkie zaufanie do niego jako człowieka.

— Zgadza się na wszelkie kroki, które wuj zamierza wszcząć — rzekł K., choć ten pospieszny i nagły sposób, w jaki wuj traktował tę sprawę, wzbudzała w nim poczucie dyskomfortu. Niezbyt krzepiące było też jechać jako oskarżony do adwokata dla ubogich. — Nie wiedziałem, że w sprawach tego rodzaju można zwrócić się także do adwokata.

— Ależ naturalnie — odparł wuj. — Przecież to oczywiste. Dlaczegoż by nie? A teraz opowiadaj! Chcę mieć wgląd we wszystko, co się do tej pory wydarzyło.

K. natychmiast zaczął opowiadać, nie zatajając niczego; ta absolutna szczerość była jedynym przejawem protestu, na jaki mógł sobie pozwolić wobec przeświadczenia wuja, że jego proces jest wielką hańbą. Nazwisko panny Bürstner wymienił tylko raz, mimochodem, co jednak nie naruszało owej szczerości, gdyż panna Bürstner nie miała z procesem żadnego związku. Podczas swojej relacji wyglądał przez okno, obserwując okolice, gdy zbliżali się do przedmieść, gdzie mieściły się siedziby kancelarii sądowych, na co zwrócił uwagę wuja, który jednak nie uznał tego zbiegu okoliczności za szczególnie godny uwagi.

Automobil zatrzymał się przed ciemną kamienicą. Po wejściu do środka wuj nacisnął dzwonek przy pierwszych drzwiach na parterze. Podczas oczekiwania odsłonił w uśmiechu swoje duże zęby i wyszeptał:

— Ósma, dość niezwykła pora na wizyty stron. Ale Huld nie będzie miał mi tego za złe.

W okienku w drzwiach ukazała się para wielkich, czarnych oczu, która przez chwilę przypatrywała się gościom, po czym zniknęła; lecz drzwi pozostały zamknięte. Wuj i K. spojrzeli na siebie porozumiewawczo, potwierdzając sobie nawzajem, że obaj te oczy widzieli.

— Nowa pokojówka, pewnie boi się obcych — stwierdził wuj i zastukał do drzwi ponownie.

⁸Huld — niem. *Huld* oznacza łaska, przychylność, względy, życzliwość. Nazwisko adwokata odsyła więc raczej do sfery łaski i protekcji niż do prawa w ścisłym sensie. [przypis tłumacza]

W okienku znów pojawiły się oczy, teraz wyglądały niemal na smutne; być może było to jednak tylko złudzenie wywołane płomieniem w palącej się z sykiem tuż nad ich głowami lampce gazowej, która nie dawała zbyt wiele światła.

— Proszę otworzyć — zawołał wuj, waląc pięścią w drzwi. — Jesteśmy znajomymi pana mecenasa.

— Pan mecenas jest chory — wyszeptał ktoś za ich plecami. Był to mężczyzna w szlafroku stojący w drzwiach na drugim końcu ciasnego korytarza.

Wuj, całkiem już rozjuszony tym długim czekaniem, gwałtownie się odwrócił i zawołał:

— Chory? Mówi pan, że jest chory? — I ruszył ku niemu, jakby chciał mu zagrozić, jakby mężczyzna sam był tą chorobą.

— Już otwarto — rzekł tamten, wskazał na drzwi do mieszkania adwokata, ściągnął mocniej poły szlafroka i zniknął.

Drzwi istotnie stały otworem; w przedpokoju stało młode dziewczę — K. rozpoznał te ciemne, nieco wylupiaсте oczy — w długim, białym fartuchu, ze świecą w ręku.

— Następnym razem proszę otworzyć prędzej — powiedział wuj, zamiast się przywitać, a dziewczyna lekko mu się ukloniła. — Chodź, Josefie — zwrócił się do K., który powoli przecisnął się obok niej.

— Pan mecenas jest chory — rzekła dziewczyna, gdy wuj ruszył ku drzwiom, które sobie obrał, ani na chwilę się nie zatrzymując.

K. wciąż jej się przypatrywał ze zdumieniem, choć zdążyła się już odwrócić, by z powrotem zamknąć drzwi wejściowe; twarz miała zaokrągloną jak u lalki, nie tylko blade policzki i podbródek były krągłe, lecz także skronie i linia czoła.

— Josefie — zawołał ponownie wuj, a potem zwrócił się do dziewczyny: — Choruje na serce?

— Tak mi się zdaje — odparła dziewczyna; zdążyła ich już wyprzedzić ze świecą i otworzyć drzwi do pokoju. Na łóżku stojącym w rogu, dokąd nie dotarło jeszcze światło świecy, uniosła się głowa z długą brodą.

— Leni, kto przyszedł? — zapytał adwokat, który, oślepiiony blaskiem świecy, nie rozpoznał gości.

— Albert, twój stary przyjaciel — rzekł wuj.

— Ach, Albert — powiedział adwokat i opadł z powrotem na poduszki, jakby przy tych gościach nie trzeba było niczego udawać.

— Naprawdę aż tak źle z tobą? — spytał wuj, przysiadając na krawędzi łóżka. — Nie, w to nie wierzę. Pewnie to tylko kolejny atak twojej choroby serca, minie jak poprzednie.

— Możliwe — odparł cicho adwokat. — Ale jest gorzej niż kiedykolwiek wcześniej. Oddycham z trudem, niemal w ogóle nie śpiam i każdego dnia coraz bardziej tracę siły.

— Aha — powiedział wuj i swoją wielką dłonią przycisnął kapelusz do kolana. — To złe wieści. Masz chociaż należytą opiekę? Tak tu smutno, tak ponuro. Sporo czasu minęło, odkąd cię odwiedziłem ostatni raz, wtedy było tu chyba przytulniej. Nawet ta twoja panienska — kiwnął głową w stronę dziewczyny — nie wygląda za wesoło, albo tylko udaje.

Dziewczyna wciąż stała ze świecą przy drzwiach; o ile można było cokolwiek wywnioskować z jej niejednoznacznego spojrzenia, patrzyła raczej na K. niż na wuja, nawet w tej chwili, gdy ten o niej mówił. K. opierał się o fotel, który przesunął teraz bliżej dziewczyny.

— Przy takiej chorobie jak moja — powiedział adwokat — potrzeba przede wszystkim spokoju. Mnie tu nie jest smutno. — Po krótkiej przerwie dodał: — A Leni dba o mnie należycie, dobra z niej dziewczyna.

Słowa te jednak nie zdołały przekonać wuja; był wyraźnie uprzedzony do opiekunki i choć choremu nic nie odparł, sunął za nią surowym wzrokiem, gdy dziewczyna podeszła do łóżka, postawiła świecę na stoliku nocnym, schyliła się nad chorym i poprawiła mu poduszki, rozmawiając z nim szeptem. Niemal zupełnie zapomniał o względach należnych choremu, wstał, chodząc krok w krok za opiekunką, K. wcale by się nie dziwił, gdyby chwycił ją z tyłu za spódnicę i odciągnął od łóżka. On sam przyglądał się temu ze spokojem, choroba adwokata nie była całkiem nie po myśli K.; jako że sam nie potrafił wyhamować zapału, z jakim wuj zajął się jego sprawą, z zadowoleniem przyjął teraz, że ów zapał znalazł, zupełnie bez jego udziału, inne ujście.

Wtedy wuj powiedział, być może zamierzając jedynie obrazić opiekunkę:

— Panienska zechce nas na chwilę zostawić samych, uprzejmie proszę, mam do omówienia z przyjacielem pewną sprawę osobistą.

Opiekunka, która wciąż głęboko schylona nad chorym wyglądała właśnie prześcieradło przy ścianie, odwróciła teraz głowę i z wielkim spokojem, który tak mocno odbijał się od słów wuja, raz zacinających się od gniewu, to znów wylewających się potokiem, rzekła:

— Jak pan widzi, mecenas jest tak chory, że nie jest w stanie omawiać żadnych spraw.

Najprawdopodobniej powtórzyła słowa wuja tylko z wygody, mimo to nawet ktoś postronny mógłby to odebrać jako drwinę; wuj oczywiście poderwał się z miejsca jak oparzony.

— Ty przekłeta... — wyrzucił z siebie w pierwszym odruchu wzburzenia ledwie zrozumiałym, gardłowym bełkotem.

Choć K. spodziewał się czegoś w tym rodzaju, teraz się przestraszył i podbiegł do wuja, zamierzając obiema rękami bezwzględnie zamknąć mu usta. Na szczęście jednak chory za dziewczyną nieco się podniósł, na co twarz wuja strapiła się, jakby właśnie przelknął coś ohydneho, po czym ze spokojem dodał:

— Przecież nie postradaliśmy jeszcze rozumu; gdyby to, o co proszę, nie było możliwe, nie prosiłbym o to. Proszę teraz wyjść.

Opiekunka stała wyprostowana przy łóżku, całym ciałem zwrócona do wuja i jak się zdawało K., zaczęła gładzić rękę adwokata.

— Możesz mówić o wszystkim przy Leni — rzekł chory tonem, w którym wyraźnie pobrzmiewała stanowcza prośba.

— Sprawa nie dotyczy mnie. To nie moja tajemnica — odparł wuj i odwrócił się, jakby nie zamierzał dłużej wdawać się w żadne dyskusje, jednak zostawiając krótką chwilę do namysłu.

— Kogo więc dotyczy? — zapytał adwokat gasnącym głosem i znów się położył.

— Mojego siostrzeńca — powiedział wuj — przyprowadziłem go zresztą ze sobą. To on, prokurent Josef K.

— Och — powiedział chory z ożywieniem i wyciągnął rękę do K. — Proszę wybaczyć, w ogóle pana nie zauważyłem. Idź już, Leni — zwrócił się do opiekunki, która już dłużej nie oponowała, i podał jej dłoń, jakby żegnał się z nią na bardzo długo. — Nie przyszedłeś więc — odezwał się wreszcie do wuja, który udobruchany podszedł do niego bliżej — złożyć mi wizyty jako choremu, lecz sprowadzają cię interesy.

Jakby dotąd paraliżowała go sama myśl, że goście odwiedzili go jako chorego, tak teraz nagle zaczął sprawiać wrażenie znacznie żywszego: odtąd cały czas leżał oparty na jednym łokciu, co musiało być dość męczące, i raz po raz pociągał za środkowy kosmyk zarostu.

— Odkąd ta jęzda stąd wyszła, wyglądasz znacznie zdrowiej — skonstatował wuj, po czym urwał, a po chwili dodał szeptem: — Założę się, że nas podsłuchuje — i skoczył do drzwi.

Ale nikogo za nimi nie było, wuj wrócił, bynajmniej nie rozczarowany, lecz wyraźnie rozgoryczony; jakby to, że nie podsłuchiwała, wydało mu się tym większą złośliwością z jej strony.

— Masz na jej temat niewłaściwe zdanie — odrzekł adwokat, nie stając jednak dłużej w obronie opiekunki; być może chciał przez to wyrazić, że dziewczyna wcale jej nie potrzebuje. Po chwili kontynuował już znacznie bardziej współczującym tonem: — Jeśli chodzi o sprawę twojego siostrzeńca, to uznałbym się za naprawdę szczęśliwego, jeśli by mi starczyło sił na to niezwykle trudne zadanie. Obawiam się jednak, że mi ich zabraknie. W każdym razie nie chciałbym zaniedbać żadnych starań. Jeśli jednak okażą się niewystarczające, będzie można zaciągnąć do pomocy kogoś jeszcze. Szczerze mówiąc, ta sprawa jest dla mnie zbyt intrygująca, by z niej całkiem zrezygnować. Jeśli jednak moje serce tego nie wytrzyma i odmówi mi posłuszeństwa, to przynajmniej nie stanie się to bez uzasadnionej przyczyny.

K. miał wrażenie, że z całej tej mowy nie zrozumiał ani jednego słowa; spojrzał na wuję, chcąc uzyskać od niego jakiegokolwiek wyjaśnienie. Ten jednak ze świecą w rękę siedział na stoliku nocnym, z którego butelka z lekiem zdążyła już stoczyć się na dywan; kiwał

głową na znak zgody przy każdym słowie adwokata, i tylko od czasu do czasu spoglądał na K. z niemym wezwaniem, by i on przyłączył się do tego potakiwania.

Czyżby wuj już wcześniej opowiadał adwokatowi o tym procesie? Było to przecież niemożliwe; wszystko, co zaszło przed chwilą, przemawiało przeciwko temu.

— Nie rozumiem — powiedział więc K.

— Ach tak? To może ja pana źle zrozumiałem? — spytał adwokat z równym zdumieniem i zakłopotaniem co K. — Może byłem zbyt pochopny w swoich domysłach. O czym wobec tego chciał pan ze mną rozmawiać? Sądziłem, że o pańskim procesie.

— Oczywiście — rzekł wuj, po czym zapytał K.: — Co ty właściwie knujesz?

— Tak, ale skąd pan w ogóle wie o mnie i o moim procesie? — spytał K.

— Ach — odparł z uśmiechem adwokat. — Przecież jestem adwokatem, obracam się w kręgach sądowych, rozmawiamy o różnych procesach, a te bardziej niezwykle, zwłaszcza gdy dotyczą siostrzeńca przyjaciela, zapadają w pamięci. Nie ma w tym nic dziwnego.

— Co ty właściwie knujesz? — powtórzył swoje pytanie wuj. — Ależ z ciebie nerwus!

— Obraca się pan mecenas w tych kręgach? — dopytał K.

— Tak.

— Pytasz niczym dziecko — skwitował wuj.

— A gdzież bym się miał obracać, jeśli nie w kręgach ludzi mojego fachu? — dodał adwokat. Brzmiało to jak fakt nie do podważenia, więc K. w ogóle nie odpowiedział na te słowa.

„Przecież pan pracuje w sądzie, w pałacu sprawiedliwości, nie na jakimś poddaszu”, miał ochotę odeprzeć, nie zdołał się jednak zdobyć na wypowiedzenie tego na głos.

— Musi pan zważyć — ciągnął adwokat, jakby mimochodem i z pewnym znużeniem objaśniał coś najoczywistszego na świecie. — Musi pan zważyć, że z takich stosunków czerpię wielkie korzyści także dla mojej klienteli, i to pod wieloma względami, o których nie zawsze wolno mi mówić. Oczywiście teraz, wskutek choroby, jestem nieco ograniczony, ale mimo wszystko odwiedzają mnie dobrzy znajomi z sądu, dowiadują się od nich co nieco. Może nawet więcej niż niejeden człowiek, który w najlepszym zdrowiu spędza całe dni w sądzie. Ot, choćby teraz mam u siebie bardzo miłego gościa. — Tu wskazał na pogrążony w mroku kąt pokoju.

— Gdzie? — zapytał K. tonem z zaskoczenia niemal gburowatym.

Rozejrzał się niepewnie; blask świecy w ogóle nie docierał do przeciwległej ściany. Ale w kącie rzeczywiście coś się poruszyło. Wuj uniósł świecę, dzięki której dostrzegł siedzącego przy stoliku starszego pana. Musiał chyba dotąd niemal nie oddychać, skoro udało mu się tak długo pozostać niezauważonym. Teraz jednak wstał, z trudem i wyraźnym niezadowoleniem, że ktoś w ogóle zwrócił na niego uwagę. Sprawiał wrażenie, jakby machaniem rąk przypominających teraz krótkie skrzydła, chciał zapobiec wszelkiej próbie do przywitania się i przedstawienia, jakby za żadną cenę nie chciał pozostałym swoją obecnością przeszkadzać i jakby usilnie prosił o przeniesienie go z powrotem do ciemności i wymazanie go z pamięci. Na coś takiego jednak nie można było przystać.

— Po prostu zaskoczyliście nas swoją wizytą — powiedział adwokat celem wyjaśnienia i skinął na mężczyznę, zachęcając go, by podeszedł nieco bliżej, co tamten uczynił: powoli, nie bez oporów, rozglądając się na wszystkie strony, a jednak z pewną godnością. — Pan dyrektor... Ach no tak, proszę wybaczyć, nie przedstawiłem... oto mój przyjaciel Albert K., to jego siostrzeniec, prokurent Josef K., a to pan dyrektor kancelarii... Pan dyrektor był tak uprzejmy, że zechciał mi złożyć wizytę. Jej właściwą wagę potrafi docenić tylko ten, kto wie, jak bardzo nasz szanowny pan dyrektor jest obłożony pracą. A jednak udało mu się przyjść. Rozmawialiśmy sobie na tyle przyjemnie, na ile pozwalało mi moje osłabienie. Co prawda nie zabroniliśmy Leni wpuszczać gości, bo też nikogo się tu dziś nie spodziewaliśmy, jednakowoż uznaliśmy, że będziemy sami. Gdy nagle rozległy się twoje uderzenia pięścią do drzwi, Albercie, pan dyrektor wycofał się z krzesłem i stolikiem do kąta, ale teraz okazuje się, że być może, to znaczy jeśli takie jest wasze życzenie, będziemy mieli do omówienia wspólną sprawę i możemy zasiąść razem. Panie dyrektorze — zwrócił się do niego, pochylając się z wiernopoddanym uśmiechem i wskazując na fotel w pobliżu łóżka.

— Niestety mogę zostać jeszcze tylko kilka minut — powiedział uprzejmie dyrektor, rozsiadając się wygodnie w fotelu, po czym zerknął na zegarek. — Obowiązki mnie wzywają. Nie chciałbym jednak przepuścić okazji poznania przyjaciela mojego przyjaciela.

Lekko skłonił głowę w stronę wuja, który wyglądał na bardzo usatysfakcjonowanego z zawarcia tej nowej relacji, z natury jednak nie potrafił okazywać kornego posłuszeństwa i na słowa dyrektora zareagował pełnym zażenowania, acz głośnym śmiechem. Widok był doprawdy żalony!

K. mógł wszystko obserwować ze spokojem, bo nikt się nim nie zajmował. Dyrektor kancelarii zawładnął rozmową; wyglądało na to, że miał w zwyczaju, kiedy już raz wyciągnięto go z cienia, natychmiast całkowicie przejmować jej tok. Adwokat słuchał uważnie, z ręką przy uchu; jego wcześniejsze osłabienie — być może służące jedynie temu, by pozbyć się gości — całkowicie, jak mogło się zdawać, ustąpiło. Do wuja należało trzymanie świecy, balansował nią więc na udzie, na co adwokat co chwilę zerkał z niepokojem. Wuj wkrótce wyżył się poczucia zażenowania i z zachwytem podążał za słowami dyrektora kancelarii oraz łagodnymi, falującymi ruchami jego rąk, towarzyszącymi tym wypowiedziom. K., oparty o słupek łóżka, być może nawet celowo ignorowany przez dyrektora, służył obu starszym panom wyłącznie za słuchacza. Poza tym nie bardzo wiedział, o czym właściwie mowa, jego myśli krążyły to wokół opiekunki i złego traktowania, jakiego doznała od wuja, to znów zastanawiał się, czy nie miał okazji kiedyś spotkać dyrektora kancelarii, być może nawet podczas pierwszego przesłuchania. Nawet jeśli się mylił, dyrektor znakomicie pasował do starszych panów z przerzedzonymi brodami, siedzących podówczas w pierwszym rzędzie.

Wtem z przedpokoju dobiegł obecnych brzęk przywodzący na myśl tłukącą się porcelaną i wszyscy nadstawili uszu.

— Sprawdź, co się stało — powiedział K. i wyszedł powoli, jak gdyby chciał dać pozostałym sposobność, by go jeszcze zatrzymali.

Wszedłszy do przedpokoju, usiłował rozeznac się w ciemnościach, gdy na ręce, którą wciąż przytrzymał otwarte drzwi, poczuł dotyk niewielkiej, dużo mniejszej od jego, dłoni, która pomogła mu je cicho domknąć. Była to ręka czekającej tu na niego opiekunki.

— Nic się nie stało — szepnęła. — Rzuciłam talerzem o ścianę tylko po to, by ściągnąć tu pana.

— Ja też o pani myślałem — odrzekł skrzepowany K.

— Tym lepiej, chodźmy.

Po kilku krokach stanęli przed drzwiami z matową szybą, które opiekunka otworzyła przed K.

— Proszę wejść — powiedziała.

To musiał być gabinet adwokata; z tego, co można było dostrzec w blasku księżycy, który teraz mocno rozjaśniał tylko niewielkie, prostokątne kawałki podłogi przy dwóch wielkich oknach, pokój był urządzone ciężkimi, starymi meblami.

— Tu, proszę — rzekła opiekunka, wskazując na ciemną, drewnianą skrzynię z rzeźbionym oparciem.

K. usiadł na niej, rozglądając się po pokoju; było to wysokie, przestronne pomieszczenie, uboga klientela adwokata musiała czuć się w tym miejscu zagubiona. K. zobaczył oczami wyobraźni kroczyki, jakimi odwiedzający podchodzili do olbrzymiego biurka. Potem jednak o tym zapomniał i skupił całą uwagę na opiekunce, która siedziała tuż obok niego, niemal wciskając go w oparcie z boku.

— Myślałam — powiedziała — że sam pan do mnie wyjdzie, że nie będę musiała pana wołać. To było doprawdy osobliwe. Najpierw od samego wejścia nie spuszcza pan ze mnie wzroku, a potem każe mi pan czekać. Nawiasem mówiąc, mam na imię Leni, tak proszę do mnie mówić — dodała znienacka, zupełnie bez związku, jakby nie chciała uronić ani chwili tej rozmowy.

— Chętnie — odparł K. — Co się zaś tyczy tej osobliwości, Leni, to mogę ją łatwo wyjaśnić. Po pierwsze musiałem przecież wysłuchać tej paplaniny starszych panów i nie mogłem ot tak, bez powodu, stamtąd uciec, po drugie zaś nie jestem takim chojrakiem, jestem raczej nieśmiały, a i pani, Leni, wcale nie wyglądała na osobę, którą można zdobyć jednym ruchem.

— To nie tak — powiedziała Leni, przerzucając ramię przez oparcie i spoglądając na K. — Po prostu się panu nie spodobałam i pewnie teraz też się panu nie podobam.

— Nie w samym podobaniu rzecz — odparł wymijająco K.

— Och! — zawołała z uśmiechem i dzięki uwadze K. oraz temu krótkiemu okrzykowi zyskała pewną przewagę. Dlatego też K. na chwilę zamilkł.

Gdy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, zaczął rozróżniać różne detale wyposażenia. Jego uwagę przyciągał w szczególności okazały obraz wiszący po prawej stronie drzwi; wychylił się więc, by mu się lepiej przyjrzeć. Przedstawiał mężczyznę w todze sędziowskiej siedzącego na wysokim tronie, którego błyszcząca pozłota w licznych miejscach wyraźnie wysuwała się na pierwszy plan. Niezwykle było to, że ów sędzia nie siedział tam ze spokojem i dostojnością, lecz lewe ramię mocno wciskał w oparcie, podpierając się dłonią o poręcz, prawą zaś miał zupełnie swobodną i obejmował nią poręcz, jakby w następnej chwili miał się gwałtownym, może nawet pełnym oburzenia ruchem zerwać z miejsca i powiedzieć coś rozstrzygającego albo wręcz wygłosić wyrok. Oskarżonego należało sobie zapewne wyobrazić u stóp schodów, z których najwyższe, wyłożone żółtym dywanem stopnie były jeszcze ujęte na obrazie.

— Może to mój sędzia — powiedział K., wskazując palcem na wizerunek mężczyzny.

— Znam go — rzekła Leni, podnosząc wzrok na obraz. — Często tu bywa. To obraz z jego młodości, ale nawet wtedy nie mógł choćby w przybliżeniu wyglądać podobnie, bo jest drobny, niemal całkiem mały. Mimo to kazał się na tym obrazie tak wydłużyć, bo jest niedorzecznie próżny, jak każdy tutaj. Ja też jestem próżna i bardzo niezadowolona z tego, że się panu w ogóle nie podobam.

Na tę ostatnią uwagę K. odpowiedział jedynie w ten sposób, że ją objął i przyciągnął do siebie; Leni oparła ze spokojem głowę na jego ramieniu. Co do reszty zaś zapytał:

— Jaką ma rangę?

— Jest sędzią śledczym — odparła, chwytając rękę K., którą ją obejmował, po czym zaczęła się bawić jego palcami.

— Znowu tylko sędzia śledczy — stwierdził rozczarowany K. — Wyżsi urzędnicy pozostają w ukryciu. A przecież ten tu siedzi na tronie.

— To wszystko wymyśli — rzekła Leni, pochylając twarz nad dłonią K. — W rzeczywistości siedział na starej derce końskiej złożonej na stolku kuchennym. Ale czy pan naprawdę nie potrafi myśleć o niczym innym jak o swoim procesie? — spytała, rozwlekając słowa.

— Ależ skąd! Chyba myślę o nim wręcz za mało.

— Nie na tym polega pański błąd. Słyszałam, że jest pan zbyt nieustępliwy.

— Kto tak powiedział? — spytał K., czując jej ciało przy swojej piersi i spoglądając w dół na jej bujne, ciemne, mocno skręcone pukle włosów.

— Gdybym panu odpowiedziała, za dużo bym zdradziła. Proszę nie wypytywać o nazwiska, a raczej naprawić swój błąd i porzucić tę nieustępliwość; przeciw temu sądowi i tak nie można się bronić, trzeba się przyznać. Niech pan to zrobi przy najbliższej okazji. Dopiero wtedy pojawi się możliwość, by się z tego wypłatać, dopiero wtedy. Jednak bez niczyjej pomocy się nie obejdzie, ale o tę pomoc nie musi się pan martwić, sama chcę jej panu udzielić.

— Dobrze się pani orientuje w sprawach tego sądu i oszustw, bez których nie sposób tu działać — rzekł K. i, ponieważ za mocno na niego napierała, posadził ją sobie na kolana.

— Tak jest dobrze. — Dziewczyna usadowiła się wygodnie, wyglądając spódnice i poprawiając bluzkę. Potem objęła go oburącz za szyję, odchyliła się i rzuciła mu długie spojrzenie.

— A jeśli się nie przyznam, to nie zdoła mi pani pomóc? — spytał K., próbując wysondować dziewczynę.

„Zjednuję sobie pomocniczki”, pomyślał niemal ze zdumieniem K. „Najpierw pannę Bürstner, potem żonę woźnego sądowego, a wreszcie tę młodą opiekunkę, która zdaje się czuć wobec mnie jakiś niepojęty pociąg. A teraz siedzi na moich kolanach, jakby to było jedyne właściwe dla niej miejsce!”

— Nie — odparła Leni i powoli pokręciła głową. — Nie mogłabym panu wtedy pomóc. Zresztą pan wcale nie chce mojej pomocy, w ogóle panu na niej nie zależy, jest pan uparty i nie da się przekonać. — Zamilkła i po chwili spytała: — Ma pan ukochaną?

Sąd, Wina

— Nie.

— Ależ tak!

— No i proszę — rzekł K. — Właśnie się jej wyparłem, a przecież nawet ciągle noszę przy sobie jej fotografię.

Wyciągnął zdjęcie Elsy na prośbę Leni, która skulona na jego kolanach zaczęła się w nie wpatrywać. Była to fotografia migawkowa: Elsę uchwycono tuż po tym, jak wirowała tańcu, co tak uwielbiała robić w winiarni; fałdy jej spódnicy wciąż jeszcze unosiły się wokół niej, ręce wsparła na swoich krzepkich biodrach, śmiała się, odchylając głowę do tyłu i spoglądając w bok. Nie można było zobaczyć, do kogo właściwie skierowany był ten śmiech.

— Mocno ją zasznurowali — stwierdziła Leni, wskazując miejsce, gdzie jej zdaniem było to widoczne. — Nie podoba mi się, jest niezdarne i nieokrzęsane. Może wobec pana bywa łagodna i uprzejma, jak można wnosić z tego zdjęcia. Takie wielkie, krzepkie dziewczyny często nie potrafią niczego poza byciem łagodnymi i miłymi. Ale czy ona potrafiłaby się dla pana poświęcić?

— Nie. Nie jest ani łagodna, ani uprzejma, ani też nie potrafiłaby się dla mnie poświęcić. Zresztą niczego takiego od niej dotąd nie wymagałem. Ba, nawet nie przyglądałem się temu zdjęciu tak dokładnie jak pani.

— Więc w gruncie rzeczy niewiele panu na niej zależy. W takim razie wcale nie jest pana ukochaną.

— Owszem — rzekł K. — Słowa nie cofam.

— Niech więc panu będzie, że jest pana ukochaną. Tylko że nie bardzo by pan za nią tęsknił, gdyby ją pan stracił albo wymienił na kogoś innego, na przykład na mnie.

— Można by tak z pewnością pomyśleć, ale ona ma nad panią wielką przewagę: nic nie wie o moim procesie, a nawet gdyby się o nim dowiedziała, wcale by o nim nie myślała. Nie próbowałaby mnie nakłaniać do ustępliwości.

— Żadna to zaleta. Jeśli nie ma innych, nie tracę nadziei. Ma jakąś niedoskonałość fizyczną?

— Niedoskonałość fizyczną? — powtórzył K.

— Tak. Ja na przykład mam taką drobną niedoskonałość, proszę spojrzeć.

I rozstawiła środkowy i serdeczny palec prawej ręki; błona łącząca te krótkie palce sięgała niemal najwyższego stawu. K. nie od razu zorientował się w ciemności, co właściwie dziewczyna chce mu pokazać, więc poprowadziła jego rękę tak, by mógł to wyczuć dotykiem.

— Cóż za wybryk natury — rzekł K., a po zbadaniu dotykiem całej dłoni dodał: — Jaki piękny pazur! Leni z niejaką dumą patrzyła, jak K. raz po raz z zadziwieniem rozsuwa, to znów zbliża do siebie jej dwa palce, aż w końcu musnął je pocałunkiem, po czym wypuścił z ręki.

— Och! — zawołała natychmiast. — Pocałował mnie pan!

Z rozchyłonymi ustami prędko weszła kolanami na jego uda; K. popatrzył na nią niemal z konsternacją, teraz, gdy była tak blisko niego, bił od niej gorzki, rozpalający zapach, o ostrej, pieprznej nucie; przyciągnęła ku sobie jego głowę, pochyliła się nad nim i zaczęła gryźć i całować jego szyję, kąsała nawet jego włosy.

— Wymienił ją pan na mnie — wołała raz po raz. — Widzi pan? Jednak ją pan na mnie wymienił!

Wtem kolano się jej omsknęło, z krzykiem omal nie runęła na dywan, K. objął ją, by ją jeszcze podtrzymać, co ściągnęło go ku niej w dół.

— Teraz już jesteś mój — rzekła. — Tu masz klucz, przychodź, kiedy tylko zechcesz.

— To były jej ostatnie słowa i na odchodne dostał jeszcze zbłąkany pocałunek w plecy.

Gdy wychodził przez bramę, siąpiła mżawka; chciał przejść na środek ulicy, by może jeszcze zobaczyć Leni w oknie, gdy nagle ze stojącego przed domem samochodu, którego K. w swoim roztargnieniu zupełnie nie zauważył, wyskoczył wuj, chwycił go za barki i przycisnął do bramy, jakby chciał go do niej przygwoździć.

— Chłopcze — zawołał. — Jak mogłeś to zrobić?! Straszliwie zaszkoziłeś swojej sprawie, która już była na dobrej drodze. Zaszycasz się z jakąś małą, brudną istotą, na dodatek najwyraźniej kochanką mecenasa, i znikasz na całe godziny. Nawet się nie fatygujesz, żeby zmyślić wymówkę, z niczym się nie kryjesz, nie, wszystko robisz jawnie, pędzisz

do niej i tam zostajesz. Gdy tymczasem twój wuj dokłada w twojej sprawie wszelkich starań, siedzi z mecenasem, którego trzeba dopiero dla ciebie pozyskać, a przede wszystkim z dyrektorem kancelarii, z tym wielkim panem, który wręcz włada twoją sprawą w jej obecnym stadium. Chcemy się naradzić, jak ci można pomóc, muszę się z mecenasem obchodzić jak z jajkiem, ten znów tak samo z dyrektorem kancelarii; miałbyś doprawdy wystarczająco powodów, by mnie choć wesprzeć. A zamiast tego znikasz. W końcu nie można było tego dłużej ukrywać; cóż, to mężczyźni pełni oglady i taktu, nie poruszają tego tematu, oszczędzają mnie, ale w końcu i oni nie są już w stanie dłużej udawać, a skoro nie mogą mówić o sprawie, milkną. Siedzieliśmy tak przez długie minuty w milczeniu, nasłuchując, czy wreszcie przyjdiesz. Wszystko na próżno. W końcu dyrektor kancelarii, który i tak został o wiele dłużej, niż pierwotnie zamierzał, wstaje, żegna się, wyraźnie mi współczuje, choć nie może mi pomóc, czeka jeszcze przez jakiś czas z wręcz niezrozumiałą uprzejmością w drzwiach, po czym wychodzi. Oczywiście byłem szczęśliwy, że wreszcie poszedł, bo już niemal zaczynało mi brakować tchu. Na chorego mecenasa wszystko to podziałało jeszcze gorzej, ten zacny człowiek nie był w ogóle w stanie wydobyć z siebie ani słowa, kiedy się z nim żegnałem. Najpewniej przyczyniłeś się do załamania jego stanu zdrowia i tym samym przyspieszysz śmierć człowieka, na którego jesteś zdany. A mnie, swojemu wujowi, każesz tu całymi godzinami czekać na deszczu; no, dotknij tylko, całkiem przemokłem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Adwokat — Fabrykant — Malarz

Pewnego ponurego zimowego przedpołudnia — na zewnątrz padał śnieg — K., mimo wczesnej godziny, siedział już skrajnie wyczerpany w swoim biurze. Aby uchronić się przynajmniej przed najniższymi urzędnikami, polecił woźnemu, by żadnego z nich do niego nie wpuszczał, wymawiając się nadmiarem pracy. Zamiast jednak pracować, wiercił się na fotelu, przesuwając niespiesznie różne przedmioty na swoim biurku, po czym bez świadomości tego, co robi, wyciągnął w końcu rękę na blat, spuścił głowę i znieruchomiał na dłużej.

Myśl o procesie nie opuszczała go ani na chwilę. Niejednokrotnie rozważał, czy nie opracować pisma obrończego, by je potem przedłożyć w sądzie. Chciał w nim zawrzeć swój zwięzły życiorys, a przy każdym potencjalnie znaczącym wydarzeniu wyjaśnić, z jakich powodów postąpił w taki, a nie inny sposób i czy wedle jego obecnego osądu należałoby to postępowanie potępić czy pochwalić, oraz jakie racje można przytoczyć na poparcie jednego i drugiego. Zalety takiego pisma obrończego wobec samej tylko obrony z pomocą adwokata, który nawiasem mówiąc nie był też pod innymi względami całkiem bez zarzutu, były niewątpliwe. K. właściwie nie wiedział, co dokładnie adwokat przedsięwziął; w każdym razie na pewno niewiele; od miesiąca nie wzywał go do siebie, a i podczas żadnej z wcześniejszych rozmów K. nie odniósł wrażenia, że ten człowiek mógłby dla niego wiele zdziałać. Przede wszystkim prawie w ogóle go o nic nie wypytywał. A przecież było tyle pytań do zadania. To one były tu sprawą najważniejszą. K. miał poczucie, że sam mógłby sobie zadać wszystkie nieodzowne pytania. Adwokat natomiast, zamiast pytać, snuł swoje opowieści albo też siedział naprzeciw niego w milczeniu, pochylony nad biurkiem, zapewne z powodu swojego słabego słuchu, pociągał za środkowy kosmyk zarostu i wpatrywał się w dywan, być może dokładnie w to miejsce, w którym K. leżał z Leni. Od czasu do czasu adwokat dawał K. parę pustych napomnień, jakich zwykło się udzielać dzieciom. Równie bezużytecznych, co nudne przemowy, za które K. nie zamierzał w końcowym rozrachunku zapłacić ani grosza. Gdy adwokat uznawał, że dość go już upokorzył, zwykle zaczynał go znów nieco podnosić na duchu. Opowiadał wtedy, że wiele podobnych procesów wygrał zupełnie lub częściowo. Procesów, które, choć może w rzeczywistości nie tak trudne jak ten, wydawały się jednak jeszcze bardziej beznadziejne. Wykaz tych procesów miał tu, w szufladzie; pukał wtedy w jedną z szuflad; dokumentów tych jednak niestety nie mógł pokazać, gdyż stanowiły tajemnicę urzędową. Mimo to całe to ogromne doświadczenie, jakie zdobył w trakcie tych wszystkich procesów, miało teraz wyjść K. na

dobrze. Rzecz jasna adwokat natychmiast zabrał się do pracy i wkrótce niemal ukończył pierwsze podanie. Było ono bardzo ważne, ponieważ pierwsze wrażenie zrobione przez obronę często wyznaczało cały kierunek postępowania. Niestety, na co adwokat musiał zwrócić K. uwagę, czasami się zdarza, że pierwsze podania w ogóle nie są w sądzie czytane. Po prostu odkłada się je do akt i wskazuje, że od tego, co zostało tam spisane, na razie ważniejsze jest przesłuchanie i obserwacja oskarżonego. A gdy petent się upiera, dodaje się, że po zebraniu całego materiału oczywiście wszystkie akta, w tym także to pierwsze podanie, zostaną przejrane przed wydaniem decyzji. Niestety i to najczęściej nie dochodzi do skutku, gdyż i tak najczęściej ktoś je zawieruszy albo nawet całkiem zgubi, a nawet jeśli dokument dotrwa do końca, rzadko kiedy ktoś go przeczyta, czego adwokat dowiedział się z pogłosek. Bardzo to wszystko przykre, choć nie do końca bezzasadne. K. powinien zważyć, że postępowanie nie jest jawne; owszem, może stać się jawne, jeśli sąd uzna to za konieczne, ustawa jednak nie przewiduje nakazu jawności. W konsekwencji dokumenty sądowe, a zwłaszcza akt oskarżenia, pozostają dla oskarżonego i jego obrońcy niedostępne, toteż na ogół nie wiadomo, a w każdym razie nie do końca wiadomo, o co dokładnie wnosi się w pierwszym podaniu, i dlatego właściwie tylko przypadkiem może się w nim znaleźć coś, co będzie miało znaczenie dla sprawy. Prawdziwie zasadne i poparte dowodami podania można będzie stworzyć dopiero wtedy, gdy w toku przesłuchań oskarżonego poszczególne punkty oskarżenia i ich uzasadnienie zarysują się wyraźniej lub będzie można je choćby po części odgadnąć. W obliczu tych okoliczności obrona znajduje się rzecz jasna w położeniu bardzo niekorzystnym i trudnym. Ale i to jest zamierzone. Obrona bowiem w świetle ustawy w gruncie rzeczy w ogóle nie jest dopuszczona; jest jedynie tolerowana, a i tak toczą się spory o to, czy z odpowiedniego przepisu w ogóle da się wyprowadzić tak daleko idącą tolerancję. Toteż, jeśli trzymać się ścisłości, przy tym sądzie w ogóle nie ma adwokatów uznanych urzędowo; wszyscy, którzy przed nim występują jako obrońcy, są w istocie tylko adwokatami pokątnymi; nic dziwnego, że to tak uderza w godność całego stanu, a gdy K. wybierze się w najbliższym czasie do kancelarii sądowych, będzie mógł obejrzeć pokój adwokatów, a warto choć raz go zobaczyć. Zapewne przerazi się na widok towarzystwa, jakie się tam zbiera. Już sam fakt, że przydzielono im tak ciasne i niskie pomieszczenie, świadczy o pogardzie, z jaką są traktowani przez sąd. Światło wpada tam jedynie przez mały lufcik, położony tak wysoko, że jeśli ktoś chce przez niego wyjrzeć na zewnątrz, gdzie dym z komina tuż obok uderza go prosto w twarz i pokrywa ją sadzą, musi najpierw znaleźć kolegę, gotowego wziąć go na plecy. W podłodze tej komórki — żeby podać jeszcze tylko jeden przykład tych warunków — od ponad roku jest dziura, nie na tyle wielka, by mógł w nią wpaść człowiek, ale wystarczająca, by zapaść się w nią jedną nogą. Pokój adwokatów znajduje się na drugim piętrze poddasza; jeśli więc ktoś się tam zapadnie, jego noga zwisa z sufitu na pierwszym piętrze poddasza — dokładnie w miejscu na korytarzu, gdzie czekają strony. Nie jest przesadą uznać takie warunki w kręgach adwokackich za haniebne. Skargi do administracji nie przynoszą najmniejszego skutku, natomiast adwokatom zabroniono pod surową karą dokonywać jakichkolwiek przeróbek na własny koszt. Lecz i ten sposób traktowania adwokatów ma swoje uzasadnienie. Dąży się do tego, by obronę jak najskuteczniej wyeliminować, tak aby wszystko spadło na samego oskarżonego. W gruncie rzeczy wcale nie jest to aż tak złe podejście, błędem byłoby jednak wyciągnięcie z tego wniosku, że przed tym sądem oskarżony nie potrzebuje adwokatów. Wręcz przeciwnie, przed żadnym innym sądem ich obecność nie jest tak niezbędna. Gdyż postępowanie jest z reguły utajnione nie tylko przed opinią publiczną, lecz także przed oskarżonym. Naturalnie jedynie w granicach możliwości, ale te granice są, jak się okazuje, bardzo rozległe. Również oskarżony nie ma bowiem wglądu do akt sądowych, a bardzo trudno jest wnioskować z przesłuchań o aktach, które się na nich opierają, zwłaszcza dla oskarżonego, który przecież jest stronnicy i ma sporo różnych rozprasających go zmartwień. I tu właśnie wkracza obrona. Obrońcy z reguły nie mogą być obecni na przesłuchaniach, muszą więc zaraz po nich, a najlepiej jeszcze w progu pokoju przesłuchań, wypytywać oskarżonego o ich przebieg, i z tego już często bardzo zatartego obrazu relacji wydobywać to, co może się okazać przydatne dla obrony. Nie to jest jednak najważniejsze, gdyż w ten sposób niewiele można się dowiedzieć, choć rzecz jasna i tu, jak wszędzie, człowiek wytrzymały jest w stanie uzyskać

więcej informacji niż inni. Najważniejsze pozostają mimo wszystko kontakty osobiste adwokata, to one przesądają o rzeczywistej wartości obrony. K. mógł już z własnych doświadczeń wywnioskować, że najniższe szczeble sądownictwa dalekie są od doskonałości, występują tam urzędnicy nierzetelni i skorumpowani, co sprawia, że ten rygorystycznie zamknięty system sądowy tu i ówdzie niejako się rozszczeblnia. Tu się kogoś przekupi, tam wyciągnie jakieś informacje, w przeszłości zdarzały się nawet przypadki kradzieży akt. Nie da się zaprzeczyć, że w ten sposób można doraźnie uzyskać zaskakująco korzystne dla oskarżonego rezultaty, którymi ci mali adwokaci lubią się potem chlępić i wabić nowych klientów, lecz dla dalszego toku procesu nie wnoszą one niczego, tudzież niczego dobrego. Prawdziwą wartość mają natomiast jedynie uczciwe kontakty osobiste, i to z wyższymi urzędnikami, przy czym chodzi tu oczywiście wyłącznie o wyższych urzędników niższych szczebli. Tylko z ich pomocą da się wpływać na bieg procesu, początkowo w ledwie dostrzegalny sposób, później jednak coraz wyraźniejszy. Naturalnie potrafią to tylko nieliczni adwokaci i pod tym względem wybór dokonany przez K. okazał się bardzo korzystny. Podobnymi kontaktami jak doktor Huld mogłoby się pochwalić jeszcze najwyżej dwóch mecenasów, ci jednak wcale nie dbają o towarzystwo w pokoju adwokatów i nie mają z nim nic wspólnego, natomiast tym ściślejsze łączą ich powiązania z urzędnikami sądowymi. Nie zawsze nawet jest konieczne, by doktor Huld chodził do sądu, wyczekiwał w przedpokojach sędziów śledczych na ich przypadkowe pojawienie się i — zależnie od ich humoru — osiągał zazwyczaj jedynie pozorny sukces, a nieraz nawet i tego nie. Nie, K. przecież sam to widział: urzędnicy, nawet dość wysokiej rangi, przychodzą sami, chętnie udzielają informacji, jawnych albo przynajmniej łatwych do wywnioskowania, omawiają dalszy bieg procesów, a w pojedynczych wypadkach bywają nawet skłonni dać się przekonać i przyjmują czyjś punkt widzenia. Nie wolno im jednak w tym ostatnim względzie zbyt ufać; choćby z największą stanowczością wypowiadali swój nowy, korzystny dla obrony zamysł, zaraz potem mogą wrócić do swojej kancelarii i nazajutrz wydać postanowienie sądu, które będzie jego całkowitym przeciwieństwem, a dla oskarżonego może być jeszcze surowsze niż ich pierwotny zamiar, od którego rzekomo zupełnie odstąpili. Przeciwno temu oczywiście nie da się bronić, z tego bowiem, co powiedzieli w cztery oczy, nie można wyciągnąć żadnych jawnych konsekwencji, nawet gdyby obrona i poza tym nie musiała zabiegać o zachowanie przychylności tych panów. Z drugiej jednak strony prawdą jest również, że panowie ci nie z samej miłości bliźniego czy sympatii kontaktują się z obrońcami, rzecz jasna jedynie z biegłymi obrońcami, lecz że są na nich także w pewnym sensie zdani. I tu właśnie ujawnia się wada tej organizacji sądownictwa, który od początku opiera się na tajności. Urzędnicy są całkowicie oderwani od społeczeństwa. Do zwykłych, przeciętnych procesów są dobrze przygotowani, takie procesy toczą się niemal same po wyznaczonych torach, wymagają jedynie tu i ówdzie jakiegoś popchnięcia we właściwym kierunku. Lecz wobec spraw całkiem prostych, jak i wobec szczególnie trudnych, bywają często bezradni, gdyż tkwią nieustannie, dniem i nocą, w klatce swojego prawa, nie mają właściwego wycucia stosunków międzyludzkich, a właśnie w takich przypadkach najdotkliwiej odczuwają ten brak. Wtedy przychodzą po radę do adwokata, a za nimi jakiś woźny wnosi akta, skądinąd tak tajne. Przy tym oknie można by było nieraz spotkać panów, po których najmniej można by się tego spodziewać, jak niemal z rozpaczą wyglądają na ulicę, podczas gdy adwokat studuje akta za swoim biurkiem, by im udzielić właściwej rady. Zresztą właśnie w takich momentach można zobaczyć, z jak niesłychaną powagą owi panowie traktują swój zawód i jak wielką rozpacz wywołują w nich przeszkody, których oni sami z powodu swojej natury pokonać nie potrafią. Ich położenie i bez tego nie jest łatwe, dlatego uznawanie ich sytuacji za lekką byłoby wobec nich dodatkowo krzywdzące. Nawet dla wtajemniczonych system hierarchii sądowej wydaje się rozrastać w nieskończoność, i to w sposób zupełnie nieprzewidywalny. Postępowanie przed sądami wyższych instancji jest jednak z reguły tajne także dla niższych urzędników, toteż biegu spraw, którymi się zajmują, niemal nigdy nie mogą śledzić do końca; dana sprawa sądowa pojawia się więc w ich polu widzenia, często bez ich wiedzy, skąd przychodzi, i toczy się dalej, zanim zdążą się dowiedzieć, dokąd zmierza. Wiedza, jaką daje studiowanie poszczególnych stadiów procesu oraz ostatecznego rozstrzygnięcia i jego motywów, całkowicie tym urzędnikom umyka. Wolno im zajmować się jedynie tą częścią procesu, którą ustawa przewiduje właśnie dla

nich, a o dalszym biegu sprawy, a więc o wynikach własnej pracy, wiedzą zwykle mniej niż obrona, która przecież z reguły pozostaje w kontakcie z oskarżonym niemal aż do samego zakończenia procesu. Również pod tym względem mogą więc od obrony uzyskać wiele cennych informacji. Czy K., mając to wszystko na względzie, może się jeszcze dziwić rozdrażnieniu urzędników, które czasem — każdy zapewne ma podobne doświadczenia — przybiera wobec stron wyraz obraźliwy? Wszyscy urzędnicy są rozdrażnieni, choćby sprawiali wrażenie spokojnych. Oczywiście mali adwokaci cierpią z tego względu szczególnie dotkliwie. Krąży na ten temat następująca historia, która sprawia wrażenie jak najbardziej prawdziwej. Pewnego razu jeden z urzędników, poczciwy, spokojny starszy pan, przez dzień i noc bez przerwy studiował — tacy urzędnicy są w istocie pracowici jak rzadko kto — trudną sprawę sądową, wyjątkowo zagmatwaną, w szczególności z powodu podań składanych przez adwokata. Tak więc nad ranem, po dwudziestu czterech godzinach prawdopodobnie niezbyt owocnej pracy, poszedł do drzwi wejściowych, zaczął się tam i każdego adwokata, który chciał wejść, strącał ze schodów. Adwokaci zbierali się u stóp schodów i naradzali, co począć. Z jednej strony właściwie w ogóle nie przysługiwało im prawo domagać się wpuszczenia, toteż na tej drodze nie mogli niemal nic przedsięwziąć przeciw owemu urzędnikowi, a nadto — jak już wspomniano — musieli bardzo uważać, by nie zrazić do siebie wszystkich urzędników. Z drugiej jednak strony każdy dzień, którego nie spędzali w sądzie, był dla nich dniem straconym, więc bardzo zależało im na tym, by się dostać do środka. W końcu uzgodnili, że postarają się starszego pana zmęczyć. Wysyłano po kolei adwokatów, którzy wbiegali po schodach, po czym pozwalali się strącić w dół, stawiając przy tym możliwie największy, choć całkiem bierny opór, po czym koledzy na dole go łapali. Trwało to mniej więcej godzinę, zanim starszy pan — zresztą i tak już wyczerpany pracą w nocy — naprawdę się zmachał i zmęczony wrócił do swojej kancelarii. Adwokaci na dole z początku nie chcieli dać temu wiary i najpierw wysłali jednego na zwiady, by sprawdził, czy za drzwiami na pewno nikogo nie ma. Dopiero wtedy zaczęli wchodzić do środka, najpewniej nie ośmielając się pisać ani słowa sprzeciwu. Bo adwokaci, a nawet najdrobniejszy z nich przynajmniej częściowo rozeznaje się w stosunkach panujących w sądzie, w ogóle nie myślą o tym, by wprowadzać tam czy próbować forsować jakiegokolwiek ulepszenia, podczas gdy — co jest niezwykle znamienne — niemal każdy oskarżony, choćby był najprostszym człowiekiem, już przy pierwszym zetknięciu się z procesem zaczyna snuć projekty usprawnień i często trwoni na nie czas oraz siły, które mógłby wykorzystać o wiele lepiej w inny sposób. Jedynym słusznym rozwiązaniem jest pogodzić się z panującymi stosunkami. Nawet gdyby można było poprawić pewne szczegóły — wiara w taką możliwość jest jednak tylko niedorzecznym przesądem — w najlepszym razie co najwyżej przyniosłoby to pożytek jedynie w przyszłych, cudzych sprawach, sobie zaś wyrządziłoby się niezmierną szkodę, ściągając na siebie uwagę żądnych zemsty urzędników. Byłoby tylko nie zwracać na siebie uwagi! Należy zachować spokój, choćby ktoś miał przed tym nie wiadomo jakie opory! Trzeba spróbować zrozumieć, że w pewnym sensie ten wielki organizm sądowy trwa w stanie wiecznego zawieszenia i jeśli ktoś ze swojego miejsca próbuje na własną rękę coś zmienić, pozbawia się gruntu pod nogami i może sam runąć w dół, podczas gdy ten wielki organizm z powodu takiego drobnego zakłócenia bez trudu stworzy sobie w innym miejscu — wszystko w nim jest przecież ze sobą powiązane — ogniwo zastępcze i pozostanie niezmieniony, o ile nie stanie się nawet, co jest wręcz bardzo możliwe, jeszcze szczelniej zamknięty, jeszcze bardziej czujny, surowy i złowrogi. Trzeba pozostawić tę pracę adwokatowi, zamiast mu w niej przeszkadzać. Pretensje na niewiele się tu zdadzą — zwłaszcza gdy nie będzie można w pełni wyjaśnić ich przyczyny. Mimo to należy stwierdzić, że K. zachowaniem wobec dyrektora kancelarii bardzo zaszkodził swojej sprawie. Tego wpływowego człowieka można już niemal całkiem skreślić z listy osób, u których dałoby się cokolwiek wskórać w sprawie K. — wzmianki o procesie, nawet te rzucone mimochodem, zaczął świadomie puszczać mimo uszu. Pod wieloma względami urzędnicy są jak dzieci: często byle błahostką — do której zachowanie K. bynajmniej się nie zalicza — czują się zranieni tak głęboko, że przestają rozmawiać ze swoimi dobrymi przyjaciółmi, odwracają się od nich i na wszelkie możliwe sposoby działają na ich niekorzyść. Potem jednak niespodziewanie, bez żadnego szczególnego powodu, pozwalają się rozbroić drobnym żartem — na który człowiek zdobywa się dopiero wtedy, gdy cała

sprawa wygląda już na przegraną — wybuchają śmiechem i natychmiast przestają się gniewać. Stosunki z nimi są zarazem trudne i łatwe; prawie nie sposób sformułować tu jakichkolwiek ogólnych reguł. Czasem aż dziw bierze, że jedno przeciętne ludzkie życie wystarcza, by pojąć tyle, żeby udało się w ogóle odnosić w tej pracy jakiegokolwiek sukcesy. Zdarzają się wprawdzie mroczne godziny, jakie miewa każdy człowiek, kiedy mu się wydaje, że nie osiągnął absolutnie nic, kiedy wydaje mu się, że pomyślnego zakończenia doczekały się jedynie te procesy, którym od początku było ono przeznaczone — co stałoby się i bez jego udziału — podczas gdy wszystkie pozostałe się przegrało, mimo całej krzątaniny wokół nich, wszelkich starań i wszystkich tych drobnych, pozornych sukcesów, które dawały tyle satysfakcji. Wówczas takiemu człowiekowi wydaje się, że nic już nie jest pewne, nie ośmieliłby się nawet, zapytany wprost, zaprzeczyć, że procesy, ze swojej natury rokujące dobrze, swoim działaniem sprowadził na manowce. I to także jest jakimś rodzajem wiary w siebie, jedynym, jaki wówczas pozostaje. Na tego rodzaju chwile zwątpienia — bo są to oczywiście wyłącznie chwile, nic ponadto — adwokaci są szczególnie narażeni wówczas, gdy nagle odbiera im się proces, który już doprowadzili do wystarczająco zaawansowanego i — jak im się zdawało — zadowalającego stadium. To chyba najgorsza rzecz, jaka może spotkać adwokata. Proces nie zostaje mu zresztą odebrany przez oskarżonego — do tego raczej nie dochodzi nigdy. Oskarżony, który raz obrał sobie konkretnego adwokata, musi przy nim pozostać, cokolwiek by się nie działo. Jakże zdołałby sobie poradzić sam, skoro już raz skorzystał z pomocy? To po prostu niemożliwe; czasami natomiast zdarza się, że proces obiera taki kierunek, w którym adwokat nie może dłużej podążać. Proces, oskarżony — wszystko zostaje adwokatowi po prostu odebrane; wtedy nic mu już nie pomoże, nawet najlepsze stosunki z urzędnikami, bo i oni sami nic nie wiedzą. Proces po prostu wchodzi w stadium, w którym nie wolno dłużej udzielać pomocy, w którym zajmują się nim niedostępne sądy wyższej instancji, i nawet sam oskarżony staje się nieosiągalny dla adwokata. Pewnego dnia człowiek wraca do domu i znajduje na swoim biurku stos podań, które sporządził w swojej sprawie z największą pieczołowitością i nadzieją; wszystkie zostały odesłane z powrotem, gdyż nie wolno ich przenosić do nowego stadium procesu; teraz to nic niewarte skrawki papieru. Przy tym sam proces wcale nie musi być jeszcze przegrany, absolutnie, a przynajmniej nie ma żadnego rozstrzygającego uzasadnienia dla takiego założenia. Po prostu człowiek przestaje mieć wiedzę o procesie; niczego się więcej nie dowie. Na szczęście tego rodzaju przypadki należą do wyjątków, a nawet gdyby proces K. miał się okazać jednym z nich, na razie wciąż jest od takiego stadium daleki. Adwokat ma jeszcze szerokie pole do działania i K. może być pewien, że w pełni z niego skorzysta. Podanie, jak już wspomniano, nie zostało jeszcze złożone, ale nie ma też pośpiechu; o wiele ważniejsze są wstępne rozmowy z decydującymi urzędnikami, a te się już odbyły, nawet jeśli z różnym skutkiem, co należy otwarcie przyznać. Lepiej będzie na razie nie zdradzać szczegółów, które mogłyby tylko niekorzystnie wpłynąć na K., wzbudzając w nim zbytnie nadzieje lub lęki; dość powiedzieć, że niektórzy wyrażali się bardzo przychylnie i okazywali wielką chęć współpracy, inni zaś — mniej przychylnie, jednak bynajmniej nie odmawiali swojej pomocy. Wynik jest więc w całości bardzo pomyślny, nie wolno jednak wyciągać z niego zbyt daleko idących wniosków, ponieważ wszystkie wstępne pertraktacje zaczynają się podobnie, a o ich wartości rozstrzyga dopiero dalszy rozwój sprawy. W każdym razie nic jeszcze nie jest stracone, a jeśli mimo wszystko udałoby się jeszcze pozyskać dyrektora kancelarii — już podjęto w tym celu wielorakie kroki — wtedy cała sprawa byłaby, jak mawiają chirurdzy, czystą raną i można by spokojnie czekać na dalszy bieg wydarzeń.

Adwokat był niestrudzony w wygłaszaniu podobnych przemówień. Powtarzały się przy każdej wizycie. Zawsze opowiadał o postępach, nigdy jednak nie można było się dowiedzieć, jaki jest ich charakter. Bez ustanku pracował nad pierwszym podaniem i wciąż go nie kończył; podczas kolejnej wizyty taki stan rzeczy okazywał się korzystny, ponieważ ostatni okres, czego nie można było przewidzieć wcześniej, był na złożenie podania szczególnie niefortunny. Gdy K. czasem, znużony tymi wywodami, rzucał uwagę, że przecież nawet przy uwzględnieniu wszelkich przeszkód, sprawa posuwa się bardzo powoli do przodu, słyszał w odpowiedzi, że wręcz przeciwnie — zaszłaby o wiele dalej, gdyby K. zwrócił się do adwokata w porę. To jednak niestety zaniedbał, co niesie za sobą liczne niekorzystne skutki, i to nie tylko dotyczące czasu.

Jedyną chwilą wytchnienia dla K. w trakcie tych wizyt była Leni, która zawsze potrafiła tak wszystko zaplanować, żeby podczas jego obecności przynieść adwokatowi herbatę. Stawała wówczas za K., niby się przypatrując, jak adwokat z pewną zachłannością pochyla się głęboko nad filiżanką, nalewa herbaty i ją wypija, a tymczasem po kryjomu pozwalała K. ująć swoją dłoń. Wszystko odbywało się w absolutnym milczeniu: adwokat pił herbatę, K. ścisnął dłoń Leni, a ona ośmielała się czasem delikatnie musnąć włosy K.

— Wciąż tu jesteś? — pytał adwokat, kiedy kończył pić.

— Chciałam zabrać naczynia — mówiła Leni. Potem następował ostatni uścisk dłoni, adwokat wycierał sobie usta i z nową energią zaczynał ponownie zalewać K. swoimi wywodami.

Czy adwokat chciał w nim wzbudzić otuchę czy też rozpacz? Tego K. nie wiedział, ale wkrótce zaczął uważać za rzecz pewną, że jego obrona nie jest w dobrych rękach. Może i wszystko, co opowiadał adwokat, było prawdą, choć aż nazbyt wyraźnie było widać, że na pierwszy plan starał się wysunąć samego siebie i że prawdopodobnie jeszcze nigdy nie prowadził tak wielkiego procesu jak proces K., który w jego mniemaniu taki właśnie był. Nieustannie jednak podkreślał znaczenie swoich osobistych kontaktów z urzędnikami, co było podejrzane. Czy naprawdę wykorzystywał je wyłącznie z pożytkiem dla K.? Adwokat nigdy nie omieszkował nadmienić, że chodzi tylko o urzędników niższych, a więc podległych innym; pewne zwroty spraw sądowych mogły okazać się znaczące w ich karierze. A może wykorzystywali adwokata po to, by sprowokować określony obrót spawy, rzecz jasna zawsze niekorzystny dla oskarżonego? Być może nie czynili tego w każdym procesie; byłoby to raczej mało prawdopodobne, zapewne zdarzały się i takie procesy, w których toku za świadczone usługi przyznawali adwokatowi rozmaite korzyści, bo i im musiało przecież zależeć na utrzymaniu nieskazitelnej opinii o adwokacie. Ale jeśli rzeczywiście tak to wyglądało, w jaki sposób mieliby oni ingerować w proces K., który, jak twierdził adwokat, był procesem bardzo trudnym, a więc ważnym, i który już od samego początku wzbudzał w sądzie wielkie zainteresowanie? Wcale nie wydawało się tak niejasne, co zamierzają zrobić. Oznaki tego można było dostrzec już choćby w tym, że pierwsze podanie wciąż nie zostało złożone, mimo że proces trwał już od wielu miesięcy. Wszystko, jak twierdził adwokat, znajdowało się jeszcze w początkowej fazie, co oczywiście doskonale sprzyjało temu, by oskarżonego uspić i utrzymać w stanie bezradności, a potem móc nagle uderzyć go wyrokiem albo przynajmniej zawiadomieniem, że niekorzystny wynik zakończonego śledztwa w jego sprawie zostaje przekazany wyższym organom.

Było bezwzględnie konieczne, by K. sam przystąpił do działania. Nie mógł się pozbyć tego przeświadczenia zwłaszcza w chwilach wielkiego znużenia, jak owego zimowego przedpołudnia, kiedy najróżniejsze myśli przewijały się bezwiednie przez jego głowę. Nie było w nim już pogardy, jaką żywił kiedyś dla procesu. Gdyby był na świecie zupełnie sam, mógłby go z łatwością zacząć ignorować, choć przecież było pewne, że w takim wypadku w ogóle by do procesu nie doszło. Skoro jednak wuj już go zaciągnął do adwokata, w grę wchodziły względy rodzinne; jego położenie nie było już całkiem niezależne od biegu procesu, sam zresztą nierozważnie wspominał o nim znajomym z jakąś osobliwą, niewytłumaczalną satysfakcją, inni dowiedzieli się o wszystkim w im tylko wiadomy sposób. Jego stosunek do panny Bürstner zdawał się także zmieniać stosownie do biegu procesu — słowem, nie miał już niemal wyboru, czy proces przyjąć, czy go odrzucić, tkwił w nim i musiał się bronić. Najgorzej było wtedy, gdy czuł zmęczenie.

Powodu do przesadnego niepokoju jednak na razie nie miał. Zdołał przecież dzięki własnej pracy w stosunkowo krótkim czasie dojść do wysokiego stanowiska w banku i utrzymał je, ciesząc się powszechnym uznaniem: musiał teraz jedynie poświęcić sprawie procesu te same zdolności, dzięki którym tego dokonał, a bez wątpienia wszystko się ułoży. Jeśli chciał cokolwiek osiągnąć, w pierwszej kolejności musiał koniecznie z góry odrzucić wszelką myśl o jakiegokolwiek winie. Nie było żadnej winy. Proces nie był niczym innym jak wielką transakcją, podobną do tych, jakie wielokrotnie z zyskiem zawierał dla banku, z zasady związaną z rozmaitymi zagrożeniami, które po prostu trzeba odeprzeć. W tym celu nie można było jednak nawet igrzać z myślą o jakiegokolwiek winie; należało jak najmocniej trzymać się myśli o własnych korzyściach. Patrząc z tej perspektywy nie sposób było nie dojść do wniosku, że adwokatowi należy w najbliższym czasie, najlepiej jeszcze tego wieczoru, odebrać pełnomocnictwo. Według jego opowieści byłby to wpraw-

dzie krok niesłychany i zapewne bardzo obraźliwy, ale K. nie mógł dopuścić, by na drodze jego wysiłków w tym procesie stawały przeszkody, które być może stawiał mu właśnie jego własny adwokat. Gdy jednak raz na zawsze pozbędzie się adwokata, złoży natychmiast pierwsze podanie i — jeśli to będzie możliwe — będzie każdego dnia nalegał na jego rozpatrzenie. W tym celu oczywiście nie wystarczy przesiadywać w korytarzu z kapeluszem odłożonym pod ławkę, jak to robili inni oskarżeni. On sam albo kobiety czy inni posłańcy musieliby dzień w dzień krążyć po urzędnikach i przymuszać ich, by zamiast wyglądać przez kraty na korytarz, usiedli przy biurkach i przestudiowali podanie K. Nie można też było zarzucić tych starań, trzeba było wszystko zorganizować i nadzorować, sąd powinien choć raz trafić na oskarżonego, który wie, jak bronić swoich praw.

Nawet jeśli K. czuł, że mógłby się na to wszystko zdobyć, przytłaczał go ogrom trudności związanych ze sporządzeniem podania. Wcześniej, nawet i tydzień temu, myślał o tym, że mógłby zostać zmuszony do wykonania tego zadania samodzielnie, wywoływała w nim wyłącznie poczucie wstydu; w ogóle zaś nie zastanawiał się nad tym, że mogłoby to być też trudne. Przypomniawszy sobie, jak któregoś przedpołudnia mimo natłoku pracy odsunął nagle wszystko na bok, wziął notatnik, żeby na próbę naszkicować zarys takiego podania i być może przekazać go swojemu zgnuśniałemu adwokatowi, i jak właśnie w tamtej chwili otworzyły się drzwi gabinetu dyrektora i z wielkim śmiechem wszedł przez nie jego zastępca. K. poczuł zażenowanie, choć wicedyrektor oczywiście śmiał się nie z podania, o którym nic nie wiedział, lecz z dopiero co usłyszanego dowcipu o giełdzie, którego zrozumienie wymagało rysunku; naszkicował go teraz, pochylony nad biurkiem K., ołówkiem wyjętym z jego ręki — nigdzie indziej jak w notatniku, który K. zamierzał przeznaczyć na podanie.

W obliczu konieczności sporządzenia podania K. musiał dziś zapamiętać o tamtym zażenowaniu. Jeśli nie znajdzie na to czasu w biurze, co było wielce prawdopodobne, będzie musiał nad nim pracować w domu, po nocach. Gdyby i noce nie wystarczyły, musiałby wziąć urlop. Byle tylko nie zatrzymać się w pół drogi, to zawsze i wszędzie największa niedorzeczność; nie tylko w interesach. Podanie oznaczało jednak pracę bez końca. Nawet ktoś, kto się tego nie lęka, z łatwością dojdzie do wniosku, że ukończenie podania jest wręcz niemożliwe; nie z lenistwa czy wyrachowania, które jedynie adwokata mogły powstrzymać przed doprowadzeniem tego zadania do końca, lecz dlatego, że w obliczu nieznanego aktu oskarżenia, nie wspominając o jego ewentualnych rozszerzeniach, trzeba by było przywołać w pamięci całe swoje życie, aż po najdrobniejsze czyny i zdarzenia, opisać je i z każdej strony przebadać. Przy tym jakże smutna jest to praca. Może to rzecz dla kogoś, kto po przejściu na emeryturę chce zająć czymś zdzieciniały umysł i przetrwać długie dni. Lecz teraz, kiedy K. potrzebował wszystkich swoich myśli w pracy, kiedy tak szybko mijała każda godzina, podczas której jego pozycja wciąż rosła, stanowiąc zagrożenie dla wicedyrektora; teraz, kiedy jako młody człowiek chciał korzystać z krótkich wieczorów i nocy, właśnie teraz miał rozpocząć pisanie tego podania. Jego myśli znów skończyły się użalaniem. Niemał bezwiednie, tylko po to, by położyć temu kres, wyciągnął rękę i zaczął po omacku szukać palcem przycisku elektrycznego dzwonka do przedpokoju. Naciskając go, spojrzął na zegar na ścianie. Była jedenasta, zmarnotrawił na rozważania całe dwie godziny cennego czasu, po czym stał się oczywiście jeszcze bardziej znużony niż wcześniej. Mimo to czas ten nie był stracony, powziął postanowienia, które mogły mieć wielką wartość. Wózny prócz różnych listów przyniósł dwie wizytówki panów, czekających już dość długo na K. Byli to bardzo ważni klienci banku, którym właściwie pod żadnym pozorem nie należało kazać na siebie czekać. Czemuż to przychodzili o tak nieodpowiedniej porze? I czemuż to, zdawali się z kolei pytać panowie zza zamkniętych drzwi, sumienny K. poświęcał najlepsze godziny urzędowania na sprawy prywatne? Zmęczony tym, co było, i w obliczu tego, co go czeka, K. wstał, by przyjąć pierwszego z nich.

Był to niewysoki, żwawy mężczyzna, fabrykant, którego K. znał dość dobrze. Pan ubolewał, że przeszkodził K. w ważnej pracy, a K. z kolei wyraził ubolewanie, że kazał fabrykantowi tak długo czekać. To swoje ubolewanie wyraził już jednak w sposób tak machinalny i niemal fałszywym tonem, że gdyby fabrykant nie był zaabsorbowany wyłącznie swoją sprawą, musiałby to zauważyć. Tymczasem powyciągał pospiesznie ze wszystkich kieszeni rachunki i tabele, porozkładał je przed K., wyjaśnił poszczególne

pozycje, poprawił drobny błąd w obliczeniach, który zauważył przy pobieżnym przeglądaniu, przypomniał K. podobną transakcję, jaką zawarł z nim mniej więcej rok temu, wspomniał mimochodem, że tym razem zabiega o nią także inny bank, gotów na najdalej idące poświęcenia, i w końcu zamilkł w oczekiwaniu na opinię K.

Na początku K. w rzeczy samej śledził z uwagą wywód fabrykanta, myśl o ważnej transakcji w końcu porwała i jego, niestety jednak nie na długo; wkrótce przestał słuchać, przez jakiś czas jeszcze przytakiwał głośniejszym okrzykom fabrykanta, w końcu jednak zaniechał i tego, ograniczając się do przyglądania się jego tysej, pochylonej nad papierami głowie oraz do zastanawiania się, kiedy fabrykant wreszcie pojmie, że cały ten wywód jest daremny. W pierwszym momencie, gdy tamten zamilkł, K. wziął to za próbę dania mu sposobności, by przyznał, że nie potrafi słuchać. Z przykrością zauważył jednak w napiętym spojrzeniu fabrykanta, najwyraźniej gotowego na wszelkie reakcje, że będzie musiał kontynuować rozmowę o interesach. Skłonił więc głowę, jakby na rozkaz, i zaczął wolno wodzić ołówkiem po papierach na wszystkie strony, tu i ówdzie się zatrzymując i wpatrując w jakąś liczbę.

Fabrykant domyślał się zastrzeżeń; może rzeczywiście liczby nie były ostateczne, może nie były rozstrzygające? W każdym razie położył rękę na papierach i przysuwając się do K., zaczął od nowa opisywać całą transakcję.

— Trudna sprawa — powiedział K., ściągając usta, a ponieważ papiery jako jedyna uchwytyna podstawa były właśnie zakryte, osunął się bezwiednie na boczne oparcie.

Podniósł nieznacznie wzrok, gdy otworzyły się drzwi gabinetu dyrektora i ukazał się w nich wicedyrektor; niewyraźnie, jakby za firanką. K. nie zareagował na to, obserwował jedynie bezpośredni skutek tej sceny, bardzo zresztą dla niego pomyślny: fabrykant natychmiast zerwał się z krzesła i pospieszył do wicedyrektora. K. najchętniej jeszcze wielokrotnie przyspieszyłby jego kroki, obawiał się bowiem, że wicedyrektor za chwilę zniknie. Była to jednak obawa zbyt czarna: panowie się spotkali, podali sobie ręce i podeszli razem do biurka K.

Fabrykant poskarżył się, że nie spotkał się ze zbytnią przychylnością dla swojej transakcji u prokurenta. Tu wskazał na K., który pod spojrzeniem wicedyrektora ponownie schylił głowę nad papierami. Kiedy zaraz potem obaj oparli się o biurko i fabrykant przystąpił do zjednywania sobie wicedyrektora, K. miał wrażenie, jakby nad jego głową dwaj mężczyźni, których sobie wyobrażał jako przesadnie wielkich, rozprawiali o nim samym. Ostrożnie i powoli podniósł wzrok, próbując sprawdzić, co się dzieje tam u góry; sięgnął bez patrzenia po jeden z papierów na biurku, położył go sobie na rozłożonej dłoni i wstając, pomału uniósł go w stronę mężczyzn. Nie myślał przy tym o niczym szczególnym, kierowało nim poczucie, że właśnie tak by się zachował, gdyby kiedyś zdołał ukończyć swoje wielkie podanie, które by go całkiem odciążyło. Wicedyrektor, który całą uwagę skupiał na rozmowie, zerknął tylko na papier, wziął go od K i nawet nie przebiegł wzrokiem jego treści. Dla niego nie miało przecież znaczenia to, co było ważne dla prokurenta.

— Dziękuję, wszystko już wiem — powiedział i ze spokojem odłożył papier z powrotem na biurko.

K. zerknął na niego z boku rozgoryczonym wzrokiem. Wicedyrektor jednak albo tego wcale nie zauważył, albo — jeśli zauważył — tylko go to jeszcze bardziej rozczłowiło: częściej wybuchał głośnym śmiechem, wprawił fabrykanta pewną błyskotliwą ripostą w wyraźne zakłopotanie, z którego go jednak natychmiast wyciągnął, wysuwając argument przeciw samemu sobie, i wreszcie zaprosił go do swego gabinetu, gdzie mogliby dobić targu.

— Doskonale rozumiem, że to sprawa niezwyklej wagi — rzekł, po czym kolejne słowa skierował wyłącznie do fabrykanta: — Pan prokurent z pewnością będzie rad, jeśli go od niej uwolnimy. Sprawa wymaga spokojnego namysłu. On zaś wygląda dziś na dość przeciążonego, a poza tym w przedpokoju czekają na niego od paru godzin klienci.

K. miał jeszcze dość opanowania, by odwrócić się od wicedyrektora — nie reagując w inny sposób na jego słowa — i skierować swój uprzejmy, lecz sztuczny uśmiech wyłącznie do fabrykanta; lekko pochylony oparł się tylko obiema rękami o biurko, niczym subiekt za ladą, i patrzył, jak obaj panowie, wciąż rozprawiając, zabierają papiery ze stołu i znikają w gabinecie dyrektora. Stojąc już w drzwiach, fabrykant odwrócił się i powie-

dział, że na razie się jeszcze nie żegna i oczywiście złoży panu prokurentowi sprawozdanie z przebiegu rozmowy oraz że ma mu również do przekazania krótką wiadomość.

K. nareszcie został sam. W ogóle nie przyszło mu do głowy, by wpuścić jakąkolwiek kolejną stronę, jedynie jak przez mgłę docierała do niego przyjemna świadomość, że ludzie za drzwiami są przekonani, że wciąż prowadzi pertraktację z fabrykantem i że z tego powodu nikt, nawet woźny, nie wejdzie tu teraz do niego. Podeszedł do okna, przysiadł na parapecie i przytrzymując się jedną ręką klamki, wyjrzał na plac. Śnieg wciąż padał, ani trochę się nie przejaśniło.

Siedział tam długo, nie wiedząc nawet dokładnie, co właściwie go martwi; zerkał tylko nieco przestraszony przez ramię na drzwi do przedpokoju, skąd, jak mu się wydawało, dobiegł go jakiś odgłos. Ponieważ jednak nikt nie wchodził do środka, uspokoił się, podeszedł do umywalki, obmył twarz zimną wodą i z nieco lżejszą głową wrócił na swoje miejsce przy oknie. Decyzja, by wziąć obronę we własne ręce, wydawała mu się teraz o wiele poważniejsza, niż początkowo zakładał. Dopóki zrzucił ciężar obrony na adwokata, sam proces właściwie nie bardzo go dotyczył: K. obserwował go z dystansu, proces właściwie nie dosięgał go bezpośrednio, mógł w każdej chwili zajrzeć do swojej sprawy i zobaczyć, jak się rzeczy mają, lecz gdyby tylko chciał, mógł się także wycofać. Teraz natomiast, gdy będzie prowadził swoją obronę sam, będzie się musiał przynajmniej na jakiś czas całkowicie oddać w ręce sądu, czego rezultat miał mu co prawda w przyszłości przynieść całkowite i ostateczne uwolnienie, ale aby to osiągnąć, musiał się choćby chwilowo narazić na dużo większe niebezpieczeństwo niż do tej pory.

Gdyby chciał to podawać w wątpliwość, dzisiejsze spotkanie z wicedyrektorem i fabrykantem przekonałoby go aż nadto, że rzecz ma się przeciwnie. Jakże tam siedział, całkiem oszołomiony już samym postanowieniem, że weźmie obronę we własne ręce! A jak to będzie wyglądało później? Jakie dni go jeszcze miały czekać? Czy na pewno uda mu się znaleźć drogę, która poprowadzi go przez to wszystko do pomyślnego końca? Czy rzetelna obrona — a każda inna byłaby pozbawiona sensu — nie oznaczała zarazem konieczności odcięcia się od wszystkiego? Czy on sam zdoła to szczęśliwie przetrwać? I w jaki sposób ma temu podołać w banku? Nie chodziło przecież o samo podanie, do którego sporządzenia może wystarczyłby urlop, choć prośba o urlop właśnie w tym momencie byłaby posunięciem nader ryzykownym, szło wszak o cały proces, którego długości nie sposób było przewidzieć. Jakaż to przeszkodę rzucono mu nagle pod nogi na jego zawodowej drodze!

I teraz miałby zajmować się pracą dla banku? Spojrzał na biurko. Miałby teraz przyjmować strony i pertraktować z nimi, prowadzić interesy banku, gdy jego proces się toczył, a urzędnicy sądowi siedzieli wysoko na poddaszu nad aktami jego sprawy? Czyż to wszystko nie przypominało tortury — akceptowanej przez sąd, związanej ściśle z procesem i towarzyszącej mu? I czy jego szczególna sytuacja w ogóle zostanie uwzględniona w banku przy wydawaniu osądu o jego pracy? Przenigdy! Proces K. nie był przecież całkiem nieznanym, nawet jeśli nadal nie było jasne, kto i ile o nim wiedział. Pogłoska, miejmy nadzieję, jeszcze nie dotarła do wicedyrektora, inaczej można by już zapewne zobaczyć, jak bez cienia koleżeństwa i zwykłej ludzkiej przyzwoitości obraca ją przeciw K.

A dyrektor? Owszem, był przychylny K. i gdyby dowiedział się o procesie, zapewne próbowałby w miarę swoich możliwości ułatwić mu rozmaite rzeczy; a jednak i tak by mu się to nie udało, bo teraz, gdy przeciw waga w osobie K. zaczynała słabnąć, sam coraz mocniej ulegał wpływowi wicedyrektora, który dodatkowo wykorzystywał fakt, że dyrektor był schorowany, by umacniać własną władzę. Na co więc K. mógł liczyć? Być może takimi rozważaniami tylko osłabiał własną odporność, lecz nie wolno mu było ulegać złudzeniom, musiał widzieć wszystko tak klarownie, jak tylko było to w tym momencie możliwe.

Bez szczególnej przyczyny, jedynie po to, by choć przez chwilę jeszcze nie wracać do biurka, otworzył okno, co wcale nie było takie łatwe; musiał użyć siły obu rąk, by przekręcić klamkę. I wtedy na całą szerokość i wysokość otwartego okna do pokoju wdarła się z zewnątrz mgła zmieszana z dymem, napełniając wnętrze wonią delikatnej spalenizny. Wpadło też parę płatków śniegu.

— Paskudna ta jesień — odezwał się za plecami K. fabrykant, który, wracając od wicedyrektora, niepostrzeżenie wszedł do pokoju.

K. skinął głową i z niepokojem spojrzął na teczkę, z której fabrykant pewnie zamierzał za chwilę wyjąć papiery, by się z nim podzielić wynikiem rozmów z wicedyrektorem. Fabrykant jednak podążył za jego spojrzeniem, postukał w teczkę, lecz jej nie otworzył, po czym rzekł:

— Chce się pan dowiedzieć, jak wypadły rozmowy? W teczce mam niemal zawartą umowę. Uroczy człowiek z tego wicedyrektora, ale bynajmniej nie jest niegroźny. — Fabrykant roześmiał się, uściśnął dłoń K., chcąc rozweselić także i jego. K. jednak wydało się podejrzane, że fabrykant nie chce mu pokazać papierów, a w jego słowach nie znalazł nic śmiesznego.

— Panie prokurencie — odezwał się ponownie fabrykant — chyba źle pan znosi tę pogodę. Wygląda pan dziś na przygnębionego.

— Tak — odparł K., przykładając dłoń do skroni. — Ból głowy, kłopoty rodzinne.

— Zgadza się — rzekł fabrykant, będący człowiekiem w nieustannym pośpiechu, niezdolny nikogo w spokoju wysłuchać. — Każdy nosi swój krzyż.

K. mimowolnie zrobił krok w kierunku drzwi, jakby chciał odprowadzić fabrykanta, ten jednak dodał:

— Miałbym jeszcze dla pana, panie prokurencie, drobną wiadomość. Bardzo się obawiam, że właśnie dziś dodatkowo pana nią obciążę, ale byłem u pana w ostatnim czasie już dwukrotnie i za każdym razem o niej zapomniałem. Jeśli wciąż będę zostawiał jej przekazanie na później, sprawa może stracić na aktualności. A byłoby szkoda, bo w gruncie rzeczy być może nie jest całkiem bezwartościowa.

Zanim K. zdążył odpowiedzieć, fabrykant zbliżył się do niego na niewielką odległość, popukał go lekko palcem w klatkę piersiową i spytał cicho:

— Ma pan proces, prawda?

K. natychmiast się cofnął i zawołał:

— Powiedział panu o tym wicedyrektor.

— Ależ nie! — zaprzeczył fabrykant. — Skądże niby wicedyrektor miałby o tym wiedzieć?

— A pan? — spytał K., już znacznie bardziej opanowany.

— Dochodzą mnie czasem tu i ówdzie jakieś wieści z sądu — rzekł fabrykant. — Właśnie tego dotyczy wiadomość, którą chciałem panu przekazać.

— Tyłu ludzi ma powiązania z sądem! — powiedział K. ze spuszczoną głową, po czym zaprowadził fabrykanta z powrotem do swojego biurka, przy którym usiedli jak wcześniej.

Fabrykant rzekł:

— Niestety nie mogę panu przekazać zbyt wiele. W takich sprawach nie należy jednak zaniedbywać choćby najdrobniejszych szczegółów. Poza tym mam potrzebę, by w jakiś sposób udzielić panu pomocy, nawet jeśli będzie skromna. Wszak dotąd byliśmy dobrymi partnerami w interesach, prawda? No więc właśnie. — K. chciał przeprosić za swoje zachowanie podczas wcześniejszej rozmowy, ale fabrykant nie pozwalał sobie przerwać, wsunął teczkę wysoko pod pachę, jakby chciał pokazać, że mu się spieszy, i ciągnął dalej: — O pańskim procesie wiem od niejakiego Titorellego. Jest malarzem, to jego pseudonim artystyczny, jego prawdziwego nazwiska nie znam. Od lat przychodzi czasem do mojego biura z niewielkimi obrazami, za które płacę mu zawsze coś w rodzaju jałmużny, jest niemal żebrakiem. Są to zresztą całkiem ładne obrazy, wrzosowiska i tym podobne widoki. Obaj zdążyliśmy przywyknąć do tych naszych transakcji, zazwyczaj przebiegają dość gładko. Od pewnego momentu wizyty te zaczęły się jednak powtarzać zbyt często, zrobiłem mu z tego powodu wymówki, zagłębiliśmy się w rozmowę, ciekawiło mnie, jak udaje mu się utrzymywać wyłącznie z malowania, i ku swojemu zdumieniu dowiedziałem się, że jego głównym źródłem dochodu jest malowanie portretów. Stwierdził, że pracuje dla sądu. Zapytałem, dla jakiego sądu. I wtedy opowiedział mi o nim. Może pan sobie wyobrazić, jak bardzo te opowieści mnie zdumiały. Od tego czasu przy każdej wizycie słyszę jakieś nowinki z sądu, zyskując stopniowo coraz szerszy wgląd w jego sprawy.

Titorelli⁹ jest wprawdzie gadułą i często muszę go zbywać, nie tylko dlatego, że pewnie kłamie, lecz przede wszystkim dlatego, że taki kupiec jak ja, który ugina się pod ciężarem własnych interesów, nie może dodatkowo zbyt się przejmować cudzymi. Ale to tylko tak na marginesie. Przyszło mi do głowy, że Titorelli mógłby panu trochę pomóc, zna wielu sędziów i nawet jeśli sam nie należy do osób wpływowych, mógłby panu udzielić rad, jak do nich dotrzeć. A nawet gdyby te rady same w sobie nie okazały się kluczowe, to uważam, że w pańskich rękach mogłyby zyskać spore znaczenie. Jest pan przecież niemal adwokatem. Zwykle mawiać: prokurent K. to prawie adwokat. Och, ja się o pański proces wcale nie martwię. A więc, zamierza się pan wybrać do tego Titorellego? Z moim pismem polecającym z pewnością zrobi wszystko, co będzie w jego mocy. Naprawdę uważam, że powinien pan się do niego wybrać. Oczywiście nie musi to być już dziś, może kiedyś, przy okazji. Chcę jednak dodać, że w najmniejszym stopniu nie musi się pan czuć zobowiązany do złożenia Titorellemu wizyty przez to, iż właśnie tak panu doradzam. Nie, jeśli pan sądzi, że może się bez Titorellego obyć, bez wątpienia będzie lepiej darować sobie tę wizytę. Może ma pan już swój plan działania, a Titorelli mógłby panu w tym jedynie przeszkodzić. W takim wypadku, rzecz jasna, niech pan pod żadnym pozorem do niego nie idzie. Pewnie trzeba się przemóc, żeby być gotowym na przyjmowanie rad od takiego osobnika. No, jak tam pan chce. Tu ma pan pismo polecające, a tu adres.

Rozczarowany K. wziął od niego pismo i schował je do kieszeni. Nawet w najpomyślniejszym przypadku korzyść, jaką mógłby odnieść z tej rekomendacji, była niewspółmiernie mniejsza niż szkoda związana z tym, że fabrykant wiedział o jego procesie, a malarz to rozpowiadał. Ledwie zdołał się zmusić, by w paru słowach podziękować fabrykantowi, który już kierował się do wyjścia.

— Wybiorę się do niego — powiedział, żegnając się w drzwiach z fabrykantem. — Albo, ponieważ jestem teraz bardzo zajęty, napiszę do niego, żeby kiedyś przyszedł do mojego biura.

— Wiedziałem, że znajdzie pan najlepsze rozwiązanie. Wydawało mi się tylko, że wolałby pan uniknąć zapraszania do banku kogoś takiego jak Titorelli, by tu z nim rozmawiać o procesie. Nie zawsze też jest dobrze wysyłać samemu listy do takich osób. Ale z pewnością wszystko pan przemyślał i wie pan, na co może sobie pozwolić.

K. skinął głową i odprowadził fabrykanta przez przedpokój do wyjścia.

Mimo pozornego spokoju był głęboko przerażony samym sobą. Właściwie powiedział, że napisze do Titorellego tylko po to, by w jakiś sposób pokazać fabrykantowi, iż docenia jego pismo polecające i od razu wziął pod uwagę możliwość skontaktowania się z malarzem, ale gdyby rzeczywiście uznał, że warto skorzystać z jego pomocy, nie zahałaby się do niego napisać. Dopiero po uwadze fabrykanta dotarło do niego, z jakimi zagrożeniami mogłoby się to wiązać. Czyżby tak mało mógł się już zdać na własny rozum? Skoro było możliwe, że zaprosi do banku jednoznacznym listem człowieka wątpliwej reputacji, by, oddzielony od wicedyrektora zaledwie drzwiami, prosić go o rady w sprawie swojego procesu, czyż nie było możliwe, a wręcz nawet bardzo prawdopodobne, że przeczyłby także i inne niebezpieczeństwa albo wprost by w nie wpadł? Nie zawsze przecież miał obok siebie kogoś, kto mógłby go przed tym ostrzec. Że też właśnie teraz, kiedy zamierzał wyżyć wszelkie siły, musiały się w nim pojawić tego rodzaju — dotąd mu obce — wątpliwości co do przytomności własnego umysłu! Czyżby trudności, jakich doświadczał podczas pracy w biurze, miały teraz dotyczyć także procesu? Po chwili już mu się nie mieściło w głowie, jak to możliwe, że w ogóle zamierzał napisać do Titorellego, by go zaprosić do banku.

K. wciąż kręcił nad tym głową, kiedy podszedł do niego woźny i zwrócił mu uwagę na trzech panów, którzy siedzieli na ławce w przedpokoju. Czekali tu już od dawna na przyjęcie przez K. Teraz, gdy woźny rozmawiał z K., podnieśli się z miejsc i każdy z nich próbował podejść do niego przed pozostałymi. Skoro bank potraktował ich z taką bezwzględnością, każąc im marnować czas w poczekalni, oni również nie zamierzali liczyć się z nikim.

— Panie prokurencie — zwrócił się do niego pierwszy z nich.

⁹Titorelli — stylizowane nazwisko o włoskim brzmieniu, przypominające pseudonim artystyczny; komentatorzy wiążą je zwłaszcza ze skojarzeniem z Tintorettem, malarzem wielkich scen religijnych, w tym *Sądu Ostatniego*, oraz portrecistą ludzi władzy. [przypis tłumacza]

Ale K. już kazał woźnemu przynieść sobie zimowy płaszcz, a wkładając go z pomocą woźnego, zwrócił się do całej trójki:

— Panowie wybaczą, w tej chwili niestety nie mam czasu panów przyjąć. Najmocniej proszę szanownych panów o wybaczenie, ale mam do załatwienia pilną sprawę służbową i muszę natychmiast wyjść. Sami panowie widzieli, jak długo zatrzymywały mnie tu inne obowiązki. Czy byliby panowie uprzejmi przyjść jutro albo w jakimś innym terminie? A może omówimy te sprawy przez telefon? Czy też zechcą mi panowie teraz tylko krótko nakreślić, o co chodzi, a ja udzielię panom szczegółowej odpowiedzi na piśmie? Najlepiej byłoby jednak, gdyby panowie zjawili się tu ponownie w najbliższych dniach.

Wnosząc ze słów K., że najwidoczniej czekali nadaremno, panowie tak osłupieli na tę propozycję, że teraz tylko spojrzeli po sobie w milczeniu.

— A zatem jesteśmy umówieni? — zapytał K., odwracając się do woźnego, który właśnie przyniósł mu także kapelusz.

Przez otwarte drzwi do pokoju K. widać było, że śnieg na zewnątrz zaczął sypać jeszcze mocniej. K. postawił więc kołnierz płaszcza i zapiął się pod samą szyję.

W tej samej chwili z sąsiedniego pokoju wyszedł wicedyrektor i spojrzął z uśmiechem na K. rozmawiającego z panami w swoim zimowym płaszczu.

— Już pan wychodzi, panie prokurencie? — zapytał.

— Tak — odparł K., prostując się. — Mam do załatwienia pewną sprawę służbową.

Wicedyrektor odwrócił się w stronę panów.

— A panowie? — spytał. — Zdaje się, że czekają panowie już długo.

— Jesteśmy już umówieni — rzekł K.

Tym razem jednak panowie nie pozwolili się powstrzymać, obstąpili K. i oświadczyli, że nie czekali tu od paru godzin, gdyby ich sprawy nie były pilne i nie wymagały omówienia właśnie teraz, i to ze wszystkimi szczegółami, w cztery oczy. Wicedyrektor przez chwilę im się przysłuchiwał, zerkając jednocześnie na K., otrzepującego swój kapelusz z kurzu, po czym rzekł:

— Szanowni panowie, przecież istnieje bardzo proste rozwiązanie. Jeśli panowie zechcą się zadowolić moją osobą, chętnie podejmę z panami rozmowy zamiast pana prokurenta. To oczywiście, że sprawy panów należy omówić niezwłocznie. Wszyscy jesteśmy ludźmi interesu i wysoko cenimy czas. Zechcą panowie wstąpić do mnie? — zapytał, otwierając drzwi do przedpokoju swojego gabinetu.

Jakżeż ten wicedyrektor potrafił przywłaszczać wszystko, z czego K. zmuszony był teraz zrezygnować! Czy jednak K. nie zrezygnował z czegoś więcej, niż było to konieczne? Pędził do nieznanego malarza z nieokreślonymi i, jak sam musiał przed sobą przyznać, bardzo nikłymi nadziejami, podczas gdy jego reputacja doznawała w tym miejscu nieodwracalnego uszczerbku. O wiele lepiej byłoby zapewne zdjąć płaszcz i odzyskać dwóch panów, którzy być może wciąż czekali w sąsiednim pokoju.

K. być może spróbowałby tak właśnie zrobić, gdyby dokładnie w tym momencie nie zobaczył we własnym pokoju wicedyrektora, który szukał czegoś na regale z książkami, jakby ten mebel należał do niego. Gdy zdenerwowany K. podszedł do drzwi, tamten zawołał:

— Ach, jeszcze pan nie wyszedł — rzekł, zwracając ku niemu twarz pooraną licznymi, głębokimi bruzdami, które zdawały się świadczyć nie o wieku, lecz o jego sile, i natychmiast wrócił do swoich poszukiwań. — Szukam odpisu umowy. Przedstawiciel naszego klienta twierdzi, że dokument powinien znajdować się u pana. Nie pomógłby mi go pan znaleźć? — K. zrobił krok w jego stronę, lecz wicedyrektor dodał: — Dziękuję, już znalazłem.

I wrócił do swojego gabinetu z wielką stertą akt, wśród których znajdował się zapewne nie tylko odpis umowy, lecz także wiele innych dokumentów.

„Teraz nie mogę się z nim mierzyć”, powiedział sobie K. „Ale gdy tylko uporam się z moimi osobistymi trudnościami, będzie pierwszym, który to odczuje, i to możliwie najdotkliwiej”.

Nieco uspokojony tą myślą K. zlecił woźnemu, który już od dawna przytrzymywał dla niego otwarte drzwi na korytarz, by ten przy sposobności zgłosił dyrektorowi, że K. wyszedł w sprawie służbowej, po czym niemal szczęśliwy, że przez jakiś czas będzie mógł w pełni poświęcić się swojej sprawie, opuścił bank.

Od razu pojechał do malarza, który mieszkał na przedmieściach leżących po przeciwnej stronie miasta od tych, w których mieściły się kancelarie sądowe. Okolice były tu jeszcze uboższe, budynki jeszcze ciemniejsze, a uliczki pełne brudu spływającego wraz z rozmokłym śniegiem.

W kamienicy, w której mieszkał malarz, było otwarte tylko jedno skrzydło wielkiej, obmurowanej bramy, w drugim zaś przy ziemi była wyrwa, przez którą w chwili, gdy K. się do niej zbliżał, trysnęła odrażająca, żółta, dymiąca ciecz, przed którą jakiś szczur umykał właśnie do kanału. U podnóża schodów leżało na brzuchu i płakało małe dziecko, lecz ledwo je było słyhać z powodu ogłuszającego huku dobiegającego z warsztatu blacharskiego po drugiej stronie bramy. Drzwi warsztatu były otwarte, trzech pomocników stało w półokręgu wokół jakiejś części, w którą uderzali młotkami. Wielki arkusz białej blachy, wiszący na ścianie, odbijał blade światło, które przedzierało się między dwoma pomocnikami, rozświetlając twarze i fartuchy robocze pozostałych.

K. obrzucił to wszystko tylko szybkim spojrzeniem; chciał jak najprędzej załatwić swoją sprawę, w paru słowach wybać malarza i natychmiast wrócić do banku. Jeśli udałoby mu się odnieść choćby najmniejszy sukces, miałyby to korzystny wpływ na jego dzisiejszą pracę w banku.

Na trzecim piętrze musiał zwolnić kroku, był już zupełnie bez tchu; zarówno stopnie, jak i kondygnacje były nieproporcjonalnie wysokie, a malarz mieszkał ponoć na samej górze, w mansardzie. Ponadto panował tu wielki zaduch, nie było wolnej przestrzeni pośrodku klatki; wąskie schody były otoczone ścianami, dopiero niemal pod samym sufitem wykuto w nich parę lufcików. K. przystanął na chwilę; z jednego z mieszkań wypadło parę dziewczynek i ze śmiechem pobiegło na górę.

K. ruszył za nimi powoli. Jedna z dziewczynek potknęła się i została za pozostałymi w tyle. Dogonił ją i gdy tak szli obok siebie po schodach, zapytał:

— Mieszka tu malarz Titorelli?

Dziewczynka, ledwie trzynastoletnia, nieco garbata, trąciła go łokciem i podniosła na niego z ukosa wzrok. Ani jej młody wiek, ani ułomność ciała nie zdołały przeszkodzić w jej kompletnym zepsuciu. Nie uśmiechnęła się nawet, tylko z powagą spojrzała przyszywającym, wyzywającym wzrokiem na K., który udał, że nie zauważył, jak się zachowuje, i zapytał:

— Znasz malarza Titorellego?

Skinęła głową, ale odpowiedziała mu pytaniem:

— A czego pan od niego chce?

K. doszedł do wniosku, że warto byłoby zasięgnąć na temat Titorellego informacji:

— Chcę, żeby mnie namalował — rzekł.

— Namalował? — powtórzyła za K., przesadnie rozdziawiła usta, uderzyła go lekko dłonią, jakby powiedział coś nadzwyczajnie zaskakującego albo niestosownego, uniosła oburącz swoją i tak już niezwykle krótką spódniczkę i pobiegła, ile sił w nogach, za pozostałymi dziewczynkami, których wrzaski nikły już gdzieś na górze.

Na następnym zakręcie schodów K. ponownie natknął się na wszystkie dziewczynki. Najwyraźniej garbata zdążyła je już powiadomić o planach K., więc postanowiły tam na niego zaczekać. Ustawily się po obu stronach schodów, przywierając do ścian, żeby K. mógł wygodnie przejść między nimi, i wygładzały dłońmi fartuszki. Wszystkie ich twarze, podobnie jak utworzony przez nie szpaler, wzbudzały wrażenie mieszanki dziecięcości i zepsucia. U góry, na czele dziewczynek, które ze śmiechem zbiły się w gromadkę za plecami K., stała garbata, przejmując prowadzenie. To jej K. zawdzięczał, że tak prędko odnalazł właściwą drogę. Chciał bowiem wchodzić dalej prosto, tymczasem ona wskazała mu boczne schody prowadzące do Titorellego: bardzo wąskie, długie, pozbawione zakrętów, widoczne na całej długości aż po same drzwi do mieszkania malarza na samej górze. W porównaniu ze schodami drzwi te były stosunkowo dobrze oświetlone, przede wszystkim dzięki małemu, ukośnie nad nimi osadzonemu okienku nadświetla; składały się z niebielonych desek, na których szerokimi pociągnięciami pędzla wymalowano czerwoną farbą nazwisko Titorelli.

K. dotarł wraz ze swoim orszakiem zaledwie do połowy schodów, gdy drzwi na górze, zapewne z powodu odgłosu wywołanego przez tyle stóp, uchylily się nieco i ukazał się w nich mężczyzna, prawdopodobnie ubrany jedynie w koszulę nocną.

— Och! — zawołał na widok nadciągającej gromadki, po czym zniknął.

Garbata z radości klasnęła w dłonie, a pozostałe dziewczynki napały od tyłu na K., by pchnąć go szybciej do przodu. Nie zdążyli dojść na górę, gdy malarz rozwarł drzwi na oścież i głębokim ukłonem zaprosił K. do środka. Dziewczynki natomiast odganiał; nie chciał wpuścić do siebie żadnej z nich, nieważne, jak go prosiły i próbowały wdrzeć się do środka, jeśli już nie za jego zgodą, to wbrew jego woli. Tylko garbatej udało się przemknąć pod jego wyciągniętą ręką, lecz malarz zaraz rzucił się za nią, złapał za spódnicę, zakręcił dziewczynkę wokół siebie i odstawił za drzwi do pozostałych, które, choć malarz na chwilę opuścił swoje stanowisko, nie odważyły się ponownie przekroczyć jego progu.

K. nie bardzo wiedział, co o tym sądzić, cała ta scena sprawiała bowiem wrażenie, jakby wszystko działo się w przyjaznym porozumieniu. Przy drzwiach dziewczynki jedna za drugą wyciągały szyje, wykrzykiwały do Titorellego w żartach różne słowa, których K. nie rozumiał, a malarz z garbatą w rękach śmiał się, gdy ta niemal frunęła.

Potem zamknął drzwi, jeszcze raz skłonił się przed K., podał mu rękę i przedstawił się:

— Malarz artysta Titorelli.

K. wskazał na drzwi, zza których dobiegał szept dziewczynek, i powiedział:

— Zdaje się, że cieszy się pan w tej kamienicy wielką popularnością.

— Ach, te smarkule! — powiedział malarz, usiłując daremnie zapiąć koszulę nocną pod samą szyję. Był zresztą bosy i miał na sobie tylko szerokie, kremowe, płócienne spodnie przewiązane paskiem, którego dłuższy koniec zwisał swobodnie i kołysał się na wszystkie strony. — Te smarkule są mi prawdziwym ciężarem — ciągnął, rezygnując z dalszej walki z koszulą nocną, której ostatni guzik właśnie się urwał, po czym przyniósł krzesło i niemal zmusił K., by na nim usiadł. — Jedną z nich, akurat dziś jej nie ma, raz namalowałem i od tej pory wszystkie mnie prześladują. Kiedy tu jestem, wchodzi tylko za moim pozwoleniem, ale gdy wychodzę, zawsze przyjdzie tu przynajmniej jedna. Dorobiły sobie klucz do moich drzwi i pożyczają go sobie nawzajem. Trudno sobie w ogóle wyobrazić, jakie to utrapienie. Przychodzę na ten przykład do domu z jakąś damą, którą chciałbym sportretować, otwieram kluczem drzwi, i zastaję przy stoliku garbatą, która czerwieni sobie pędzlem usta, podczas gdy jej młodsze rodzeństwo, którego powinna pilnować, kręci się po pokoju i paskudzi w każdym kącie. Albo wracam wczorajszego wieczora do domu, pan wybaczy ten dzisiejszy wygląd i nieporządek w pokoju, wracam zatem późnym wieczorem, już zamierzam się położyć, i nagle czuję, że coś mnie szczypie w nogę; zaglądam pod łóżko i znów stamtąd wyciągam jedną z nich. Nie wiem, czemu tak się do mnie garną; sam bynajmniej nie staram się ich do siebie wabić, mógł pan to zresztą zauważyć. Rzecz jasna przeszkadza mi to również w pracy. Gdyby nie to, że mogę korzystać z tego atelier za darmo, dawno już bym się stąd wyniósł.

Zza drzwi dobiegał właśnie cichy, lękliwy głosik:

— Titorelli, możemy już wejść?

— Nie — odparł malarz.

— A tylko ja sama? — spytał jeden głosik.

— Nie — powiedział malarz, podszedł do drzwi i zamknął je na klucz.

K. zdążył się tymczasem rozejrzeć po pokoju; sam nigdy nie wpadłby zresztą na pomysł, by tę podłą klitkę nazywać atelier. Z trudem można tu było zrobić dwa dłuższe kroki wzdłuż i w szerz. Wszystko było z drewna, podłoga, ściany i sufit, a między deskami widać było wąskie szpary. Przy ścianie na wprost K. stało łóżko zawalone różnobarwną pościelą najrozmaitszego rodzaju. Pośrodku pokoju stała sztaluga z obrazem zasłoniętym koszulą, której rękawy zwisały do samej podłogi. Za plecami K. było okno, przez które z powodu mgły nie można było sięgnąć wzrokiem dalej niż do pokrytego śniegiem dachu sąsiedniego budynku.

Dźwięk przekręcane go w zamku klucza przypomniał K., że przecież chciał stąd szybko wyjść. Wyjął więc z kieszeni pismo fabrykanta, wręczył je malarzowi i rzekł:

— Powiedział mi o panu pański znajomy, za którego radą tu przyszedłem.

Malarz przeleciał wzrokiem treść pisma i rzucił je na łóżko. Gdyby fabrykant w sposób tak jednoznaczny nie wypowiadał się o Titorellim jako o swoim znajomym, o biedaku zdanym na jego jałmużnę, można by teraz naprawdę pomyśleć, że malarz w ogóle nie zna fabrykanta albo przynajmniej nie przypomina go sobie. Co więcej, malarz zapytał:

— Chce pan kupić jakieś obrazy czy mam wykonać pański portret?

K. spojrział ze zdumieniem na malarza. Co też właściwie fabrykant napisał w tej rekomendacji? K. przyjął za oczywistość, że mógł tam jedynie uprzedzić malarza, iż K. pragnie tylko zasięgnąć informacji w sprawie swojego procesu. Zbyt pochopnie i nazbyt pospiesznie tu przybył! Teraz jednak musiał malarzowi jakoś odpowiedzieć, więc, zerkając na sztalugę, rzekł:

— Pracuje pan nad obrazem?

— Tak — rzekł malarz, ciskając wiszącą dotąd na sztaludze koszulę na łóżko, tuż obok pisma. — To portret. Dobra robota, ale jeszcze niedokończona.

Przypadek sprzyjał K., trafiła mu się niemal idealna okazja, by poruszyć temat sądu, gdyż był to najwyraźniej portret sędziego. Zresztą uderzająco przypominający obraz w gabinecie adwokata. Co prawda ten przedstawiał zupełnie innego sędziego, otyłego mężczyznę z czarną, krzaczastą brodą, która po bokach zachodziła wysoko na policzki; lecz o ile tamten był namalowany farbami olejnymi, ten był ledwie delikatnie i niewyraźnie naszkicowany pastelami. Ale pod innymi względami obrazy były do siebie podobne, bo i tu sędzia miał się właśnie groźnym ruchem podnieść ze swojego tronu, przytrzymując się poręczy.

„Przecież to sędzia!”, cisnęło się na usta K., lecz udało mu się powstrzymać przed wypowiedzeniem tej myśli na głos. Zbliżył się do obrazu, jakby zamierzał przestudiować jego szczegóły. Nie potrafił zrozumieć, kim jest wielka postać stojąca pośrodku, tuż nad oparciem tronu, zapytał więc o nią malarza.

Titorelli odparł, że trzeba ją jeszcze nieco dopracować, po czym sięgnął po pastele leżące na stoliku i paroma kreskami poprawił zarys postaci, nie czyniąc jej jednak dla K. ani trochę wyraźniejszą czy zrozumialszą.

— To sprawiedliwość — rzekł w końcu malarz.

— Teraz ją rozpoznaję — powiedział K. — Tu ma przepaskę na oczach, a tu wagę. A czy nie ma tu skrzydeł przy stopach? Czyż nie jest w biegu?

— Owszem — odparł malarz. — Na polecenie zleceniodawcy musiałem ją przedstawić właśnie w ten sposób: właściwie to zarazem sprawiedliwość i bogini zwycięstwa.

— Niezbyt dobre połączenie — rzekł z uśmiechem K. — Sprawiedliwość musi trwać niewzruszona, inaczej waga się waha i nie sposób wydać sprawiedliwego wyroku.

— W tej mierze stosuję się do życzeń zleceniodawcy — odparł malarz.

— No tak, oczywiście. — K. bynajmniej nie zamierzał nikogo urazić swoją uwagą. — Namalował pan tę postać tak, jakby rzeczywiście stała na tronie.

— Nie. Nie widziałem ani tej postaci, ani tronu; wszystko to jest wymyślone, powiedziano mi tylko, co mam namalować.

— Jak to? — spytał K., umyślnie udając, że niezupełnie rozumie malarza. — Przecież to sędzia na swoim fotelu.

— Tak, ale nie jest to sędzia wysokiej rangi, a ten nigdy nie siedział na takim tronie.

— A mimo to kazał się sportretować w tak uroczystej pozie? Siedzi tu niczym prezes sądu we własnej osobie.

— Tak, próżni z nich panowie — rzekł malarz. — Ale dostali od przełożonych zgodę na takie wizerunki. Każdemu z nich dokładnie się narzuca, jak powinien wyglądać ich portret. Lecz niestety na podstawie właśnie tego obrazu nie sposób wydać osądu na temat szczegółów stroju i samego fotelu, pastele nie nadają się do oddawania takich detali.

— W rzeczy samej. Trochę dziwne, że to akurat pastele.

— To życzenie sędziego. Obraz jest przeznaczony dla pewnej damy.

Widok obrazu zdawał się obudzić w Titorellim zapał do pracy: zakasał więc rękawy koszuli, wziął do ręki parę kredek i K. mógł obserwować, jak pod ich drżącymi końcówkami tuż przy głowie sędziego powstaje czerwony cień, którego promienie rozchodzą się ku brzegom obrazu. Ta gra cieni otoczyła stopniowo całą głowę niczym ozdoba lub oznaka wysokiej godności. Natomiast otoczka postaci sprawiedliwości, poza ledwie dostrzegalnym zabarwieniem, pozostawała jasna; szczególnie przez tę poświęconą figurę wydawała się występować z obrazu, niemal nie przypominając już bogini sprawiedliwości ani bogini zwycięstwa, przywodziła na myśl boginię łowów.

Praca malarza przyciągała uwagę K. bardziej, niżby sobie tego życzył; w końcu jednak zaczął robić sobie wyrzuty, że jest tu już tak długo, a jeszcze niczego w swojej sprawie nie przedsięwziął.

— Jak nazywa się ten sędzia? — zapytał nagle.

— Tego powiedzieć mi nie wolno — odparł malarz, który głęboko pochylony nad obrazem wyraźnie zaniedbywał swojego gościa, choć przecież z początku przyjął K. z taką życzliwością.

K. uznał to za przykład fanaberii i zirytował się, że tylko stracił przez to czas.

— Jest pan zapewne zaufanym sądu? — spytał K.

Titorelli natychmiast odłożył pastele, wyprostował się, potarł dłonie o siebie i spojrzął z uśmiechem na K.

— Najlepiej zawsze od razu wyjść z prawdą — rzekł. — Chce się pan czegoś dowiedzieć o sędzie, jak to zresztą stoi w pańskim liście polecającym, a rozprawia pan od początku o moich obrazach, żeby mnie sobie zjednać. Ale nie mam panu tego za złe, przecież nie mógł pan wiedzieć, że w moim przypadku to sposób zupełnie nietrafiony. Ależ bardzo pana proszę! — zawołał nagle ostro, widząc, że K. chce coś wtrącić. A po chwili ciągnął dalej: — Poza tym ma pan całkowitą rację: jestem zaufanym sądu.

Zamilkł na chwilę, jakby chciał dać K. czas na oswojenie się z tym faktem. Zza drzwi znów dobiegały głosy dziewcząt. Zapewne tłoczyły się wokół dziurki od klucza, może nawet zaglądały przez szpary do środka. K. powstrzymał się od wszelkich usprawiedliwień, nie chcąc odwracać uwagi malarza od sedna sprawy, lecz jednocześnie nie zamierzał dopuścić do tego, by ten się zanadto wyniósł i przez to w pewnym sensie przestał być dla niego dostępny, dlatego zapytał:

— Czy to oficjalnie uznane stanowisko?

— Nie — odparł krótko malarz, jakby tym jednym słowem odjęło mu mowę.

K. nie chciał jednak dopuścić do tego, by Titorelli całkiem zamilkł, więc rzekł:

— Czasami takie stanowiska wiążą się z większymi wpływami niż oficjalne.

— Tak jest właśnie w moim przypadku — rzekł malarz i pokiwał głową, marszcząc brwi. — Rozmawiałem wczoraj z fabrykantem o pańskiej sprawie; zapytał mnie, czy nie zechciałbym panu pomóc. Odpowiedziałem: „Ten człowiek może przecież kiedyś do mnie przyjść”. Cieszę się, że zobaczyłem tu pana tak szybko. Sprawa zdaje się leżeć panu bardzo na sercu, co, rzecz jasna, wcale mnie nie dziwi. Nie zechciałby pan najpierw zdjąć płaszcz?

Choć K. zamierzał pozostać tu krótko, to zaproszenie malarza było mu bardzo na rękę. Powietrze w pokoju stopniowo stawało się dla niego przytłaczająco ciężkie; co rusz spoglądał ze zdumieniem na niewielki, bez wątpienia nieopalany żelazny piecyk w kącie; ta duchota w pokoju była wprost niewytłumaczalna. Kiedy zdjął płaszcz, a potem rozpiął także marynarkę, malarz rzekł tytułem usprawiedliwienia:

— Muszę mieć ciepło. Robi się tu wtedy bardzo przytulnie, nie sądzi pan? Pod tym względem pokój jest naprawdę znakomicie usytuowany.

K. nic nie odpowiedział, w zasadzie nie tyle ciepło sprawiało, że poczuł się gorzej, ile zatęchłe powietrze, które wręcz uniemożliwiałoby mu oddychanie; pokój musiał już od dawna nie być wietrzony. Niedogodność ta wzmogła się dla K. jeszcze przez to, że malarz go poprosił, by zajął miejsce na łóżku, podczas gdy on sam zajął jedyne krzesło w pokoju, stojące na wprost sztalug. Ponadto malarz najwyraźniej nie rozumiał, czemu K. został na krawędzi łóżka, i poprosił go, by ten się na nim wygodnie rozsiadł, a widząc, że K. się do tego nie kwapi, podszedł do niego i popchnął go w głąb pościeli. Potem wrócił na swoje krzesło i zadał wreszcie pierwsze rzeczowe pytanie, które sprawiło, że K. zapomniał o wszystkim innym:

— Jest pan niewinny? — zapytał.

— Tak — odparł K. Odpowiedź na to pytanie sprawiła mu wprost radość, zwłaszcza że wypowiedział ją wobec osoby prywatnej, a więc bez żadnej odpowiedzialności. Nikt dotąd nie pytał go o to tak wprost. Aby przedłużyć swoją radość, dodał jeszcze: — Jestem absolutnie niewinny.

— Ach — rzekł malarz i opuścił głowę, jakby zatapiając się w swoich rozmyślaniach. Nagle podniósł wzrok i rzekł: — Skoro jest pan niewinny, to sprawa będzie bardzo prosta.

Spojrzenie K. zasępiło się; ten rzekomy zaufany człowiek sądu mówił jak nieświadome dziecko.

— Moja niewinność bynajmniej sprawy nie upraszcza — powiedział K. Mimo wszystko uśmiechnął się i pokręcił powoli głową. — Tu chodzi o niezliczone subtelności, w których sąd się gubi. A na końcu i tak wyciąga wielką winę skądś, gdzie wcześniej niczego nie było.

— Tak, tak, z pewnością — mruknął malarz, jakby K. niepotrzebnie wybijał go z toku myśli. — Ale jest pan przecież niewinny?

— No tak — odparł K.

— To najważniejsze — rzekł malarz. Pozostawał niewzruszony wobec wszelkich kontrargumentów, choć mimo tej stanowczości nie było jasne, czy mówi tak z przekonania, czy z czystej obojętności.

K. zamierzał to najpierw rozstrzygnąć, więc powiedział:

— Z pewnością zna pan sąd o wiele lepiej niż ja, ja nie wiem o nim zbyt wiele ponad to, co zasłyszałem, co prawda od najrozmaitszych osób. Wszyscy jednak byli zgodni co do jednego: że pochopnych oskarżeń się nie wnosi, a jeśli sąd kogoś oskarża, to musi być głęboko przekonany o winie oskarżonego i bardzo trudno go od tego odwieść.

— Trudno? — spytał malarz, unosząc rękę. — Sąd nigdy nie pozwala się od tego odwieść. Gdybym tu, na tym jednym płótnie, namalował obok siebie wszystkich sędziów, a pan miałby się przed tym płótnem bronić, osiągnąłby pan więcej niż przed prawdziwym sądem.

— Tak — mruknął do siebie K., zapominając, że chciał przecież tylko wypytać malarza.

Za drzwiami ponownie odezwała się jedna z dziewczynek:

— Titorelli, a on to sobie niedługo pójdzie?

— Cicho! — krzyknął malarz w stronę drzwi. — Nie widzicie, że prowadzę z panem ważną rozmowę?

Ale dziewczynka nie chciała dać za wygraną, więc ponownie zapytała:

— Będziesz go malował? — A gdy malarz nie odpowiadał, dodała: — Nie maluj go, brzydki z niego człowiek.

Po tych słowach rozległ się chaotyczny zgiew niezrozumiałych, lecz jednogłośnie przytakujących okrzyków. Malarz skoczył ku drzwiom, nieco je uchylił — widać było przez nie wyciągnięte, złożone błagalnie dłonie dziewcząt — i rzekł:

— Jeśli natychmiast nie zapanuje tu spokój, zrzucę was wszystkie ze schodów. Macie sięść na stopniach i zachowywać się cicho. — Najwyraźniej dziewczynki go nie posłuchały, bo zaraz potem rozkazał: — Na stopnie, już!

I dopiero wtedy zapadła cisza.

— Proszę wybaczyć — rzekł malarz, wracając do K.

K. nawet się nie obrócił do drzwi, pozostawił całkiem w gestii malarza, czy i w jaki sposób chce go chronić. Teraz też prawie się nie poruszył, gdy malarz nachylał się nad nim i szeptał mu cicho do ucha, by nie zostać usłyszanym na zewnątrz:

— Te dziewczynki należą do sądu.

— Jak to? — spytał K., odchylając głowę, żeby spojrzeć na malarza.

Ten jednak znów usiadł na krześle i półzartem, a po części celem wyjaśnienia rzekł:

— Przecież wszystko należy do sądu.

— Ten fakt był mi dotąd nieznan — odparł krótko K.; ta ogólnikowa uwaga malarza odebrała wzmiance o dziewczętach jej niepokojący wydźwięk.

Mimo to K. jeszcze przez chwilę spoglądał na drzwi, za którymi dziewczęta siedziały teraz cicho na schodach. Tylko jedna wsunęła przez szczelinę między belkami źdźbło słomy i powoli przesuwiała je w górę i w dół.

— Pan zdaje się nie mieć jeszcze rozeznania w sprawach sądu — stwierdził malarz, siedząc z szeroko rozstawionymi nogami i stukając palcami w podłogę. — Ale skoro jest pan niewinny, nie będzie pan też tego potrzebował. Sam pana stamtąd wyciągnę.

— Jak chce pan tego dokonać? — spytał K. — Przed chwilą sam pan mówił, że sąd jest całkowicie zamknięty na wszelkie środki dowodowe.

— Tylko na te, które są przedkładane w sądzie — odparł malarz, unosząc palec wskazujący, jakby K. przeoczył tę subtelną różnicę. — Inaczej ma się rzecz z tym, co w tej mierze próbuje się uzyskać poza sądem jawnym, a więc w kularach, w pokojach narad, czy choćby tutaj, w moim atelier.

Słowa malarza nie brzmiały już dla K. tak nieprawdopodobnie, przeciwnie, wykazywały dużą zgodność z tym, co słyszał także od innych. Ba, wręcz obudziły w nim nadzieję. Jeżeli na sędziego rzeczywiście dało się tak łatwo wpłynąć poprzez osobiste układy, jak utrzymywał adwokat, wówczas stosunki malarza z próżnymi sędziami nabierały szczególnej wagi i z całą pewnością nie należało ich lekceważyć. Titorelli doskonale wpisywał się więc w krąg pomocników, których K. stopniowo gromadził wokół siebie. Kiedyś w banku wychwalano jego talent organizacyjny; tutaj, gdzie był zdany wyłącznie na siebie, nadarzała się doskonała okazja, by wystawić go na najwyższą próbę. Malarz przez chwilę obserwował, jakie wrażenie jego wywód zrobił na K., po czym rzekł z pewnym niepokojem:

— Nie zauważył pan, że ja już niemal mówię jak prawnicy? To nieustanne obcowanie z tymi panami z sądu tak na mnie wpłynęło. Mam z tego rzecz jasna sporo korzyści, ale w dużej mierze cierpi na tym mój artystyczny rozmach.

— W jaki sposób nawiązał pan pierwsze kontakty z sędziami? — zapytał K.; chciał najpierw zyskać zaufanie malarza, zanim zaprzęgnie go do działania na swoją korzyść.

— To akurat było dość proste — odparł malarz. — Ja je po prostu odziedziczyłem. Mój ojciec był malarzem sądowym. To stanowisko zawsze przechodzi z ojca na syna. Nie zatrudnia się nowych osób, gdyż ustanowiono tyle różnych, złożonych, a przede wszystkim tajnych reguł dotyczących portretowania każdej z rang urzędników, że poza kręgiem pewnych rodzin nie mogą być nikomu znane. W tamtej szufladzie mam na przykład zapiski ojca, których nikomu nie pokazuję. Tylko ich znajomość zapewnia zdobycie odpowiednich kwalifikacji do portretowania sędziów. A nawet gdybym zapiski ojca zgubił, mam jeszcze tyle zasad w głowie, że i tak nikt nie mógłby podważyć moich kwalifikacji do zajmowanego przeze mnie stanowiska. Każdy sędzia chce mieć przecież portret w takim samym stylu, w jakim kiedyś malowano wielkich sędziów, a tego dokonać potrafię tylko ja.

— Godne pozazdroszczenia — powiedział K., myśląc o własnym stanowisku w banku. — A więc pana stanowisko jest nie do ruszenia?

— Tak, nie do ruszenia — odparł malarz i wzruszył z dumą ramionami. — Dlatego też mogę sobie pozwolić, by od czasu do czasu pomóc jakiemuś biedaczysku, który ma proces.

— A jak pan to robi? — spytał K., ignorując fakt, że to jego malarz przed chwilą nazwał biedaczyskiem. Titorelli ciągnął swój wywód, ignorując pytanie:

— Na przykład w pańskim wypadku, jako że jest pan całkowicie niewinny, przedsięwzięmę następujące kroki.

K. zaczynały już irytować te ciągłe wzmianki o jego niewinności. Miewał chwilami wrażenie, jakby malarz przez te aluzje czynił pomyślny wynik procesu warunkiem swojej pomocy, przez co oczywiście gubił się jej sens. Mimo tych wątpliwości K. zapanował nad sobą i nie przerwał malarzowi. Nie zamierzał rezygnować z jego pomocy, co do tego był zdecydowany, a poza tym konieczność tej pomocy wcale nie wydawała mu się mniej przekonująca niż pomoc adwokata. Wręcz przedkładał ją nad tamtą, bo była oferowana w sposób o wiele mniej szkodliwy i bardziej otwarty.

Malarz przysunął swoje krzesło bliżej łóżka i ciągnął dalej przytłumionym głosem:

— Zapomniałem najpierw zapytać, jakiego rodzaju uwolnienia od zarzutów pan sobie życzy. Są trzy możliwości: uniewinnienie rzeczywiste, uniewinnienie pozorne i przewlekanie. Najlepsze jest oczywiście uniewinnienie rzeczywiste, tylko że ja nie mam najmniejszego wpływu na taki sposób zakończenia sprawy. Moim zdaniem w ogóle nie ma osoby, która sama w sobie miałaby wpływ na uniewinnienie rzeczywiste. Prawdopodobnie rozstrzyga o tym wyłącznie niewinność oskarżonego. Mógłby się pan w istocie na niej oprzeć, skoro jest pan niewinny. Nie potrzebowałby pan wówczas ani mojej, ani niczyjej pomocy.

Wobec tego uporządkowanego wywodu K. z początku poczuł się zbity z tropu, lecz w końcu odezwał się równie cicho jak malarz:

— Zdaje mi się, że sam pan sobie przeczy.

— W czym? — zapytał malarz cierpliwie i z uśmiechem odchylił się na oparcie.

Ten uśmiech wywołał w K. wrażenie, jakby miał teraz doszukiwać się sprzeczności nie tyle w słowach malarza, co w samym funkcjonowaniu sądu. Nie wycofał się jednak i wyjaśnił:

— Zauważył pan wcześniej, że sąd jest całkowicie zamknięty na wszelkie środki dowodowe, potem ograniczył pan to do sądu jawnego, a teraz pan nawet twierdzi, że niewinny w ogóle nie potrzebuje pomocy w sądzie. Już tylko w tym tkwi sprzeczność. Poza tym powiedział pan też, że na sędziów można wpływać osobiście, a teraz zaprzecza pan, by można było przez wpływy osobiste osiągnąć uniewinnienie rzeczywiste, jak pan to nazywa. Na tym polega druga sprzeczność.

— Sprzeczności te można łatwo wyjaśnić — powiedział malarz. — Mowa tu bowiem o dwóch różnych sprawach: o tym, co stanowi prawo, i o tym, co wiem z własnego doświadczenia, nie może pan tego ze sobą mylić. Przepisy prawa, choć przyznaję, sam ich nie czytałem, stanowią z jednej strony, że osobę niewinną uwalnia się od zarzutów, z drugiej zaś nie ma tam oczywiście mowy o tym, by można wywierać wpływ na sędziów. Tymczasem ja doświadczyłem dokładnie czegoś przeciwnego. Nie znam ani jednego przypadku uniewinnienia rzeczywistego, miałem natomiast wielokrotnie do czynienia z wywieraniem wpływu na sędziów. Rzecz jasna jest możliwe, że wszystkie znane mi sprawy nie dotyczyły przypadków niewinności. Tylko czy nie jest to mało prawdopodobne? W tylu sprawach ani jednego niewinnego? Już jako dziecko słuchałem w skupieniu ojca, kiedy w domu opowiadał o procesach, także sędziowie przychodzący do jego atelier opowiadali o sądzie; w naszych kregach zresztą o niczym innym się nie rozprawia. Kiedy tylko miałem sposobność, by udać się do sądu, zawsze z niej korzystałem, przysłuchiwałem się ważnym etapom niezliczonych procesów i jeśli tylko były jawne, śledziłem je do końca; i muszę wyznać, że nie byłem świadkiem ani jednego uniewinnienia rzeczywistego.

— A więc ani jednego uniewinnienia rzeczywistego — powtórzył K., jakby do siebie samego i własnych nadziei. — To tylko potwierdza moje dotychczasowe zdanie o tym sądzie. Z tej strony więc również wszystko okazuje się bezcelowe. Jeden kat mógłby zastąpić cały ten sąd.

— Nie może pan tak uogólniać — rzekł z niezadowoleniem Titorelli. — Mówię przecież wyłącznie o tym, co znam z własnego doświadczenia.

— Przecież to wystarczy — odparł K. — Chyba że słyszał pan o dawnych uniewinnieniach?

— Podobno rzeczywiście do nich dochodziło — odparł Titorelli. — Lecz bardzo trudno to ustalić. Ostateczne decyzje sądu nie są nigdzie publikowane, nie udostępnia się ich nawet sędziom, na skutek czego zachowały się wyłącznie legendy o dawnych sprawach. W większości tych legend faktycznie pojawiają się uniewinnienia rzeczywiste; można im wierzyć, lecz nie sposób ich udowodnić. Mimo to nie należy ich lekceważyć; z pewnością zawierają ziarenko prawdy, a przy tym są bardzo piękne, sam się nimi inspirowałem przy paru obrazach.

— Same legendy nie zmieniają mojego zdania — powiedział K. — Przecież nie można się na nie powołać przed sądem?

Malarz się zaśmiał.

— Nie, tego zrobić nie można.

— W takim razie rozmowa o nich nie ma najmniejszego sensu — stwierdził K. Postanowił na razie uznać zasadność wszystkich opinii malarza, nawet jeśli wydawały mu się nieprawdopodobne czy też sprzeczne z relacjami innych. Nie miał teraz czasu na sprawdzanie czy też obalanie prawdziwości każdego z jego stwierdzeń; i tak osiągnąłby największy sukces, gdyby uzyskał od malarza jakąkolwiek pomoc, choćby nie była rozstrzygająca. Dlatego dodał: — Zostawmy więc uniewinnienie rzeczywiste. Mówił pan także o dwóch innych możliwościach.

— O uniewinnieniu pozornym i o przewlekaniu. Tylko o nie może tu chodzić — odparł malarz. — Ale czy nie zechciałby pan najpierw, zanim o tym porozmawiamy, zdjąć marynarkę? Musi być panu gorąco.

— Owszem — przyznał K., który dotąd skupiał się wyłącznie na wywodach malarza, ale teraz, gdy malarz przypomniał mu o tym zaduchu, poczuł, jak jego czoło pokrywa się potem. — To się powoli staje nie do zniesienia.

Malarz pokiwał głową, jakby doskonale rozumiał złe samopoczucie K.

— Nie można by otworzyć okna? — zapytał K.

— Nie — odparł malarz. — Ta szyba jest przytwierdzona na stałe, nie da się jej uchylić.

Dopiero teraz K. uświadomił sobie, że przez cały czas w duchu miał nadzieję na to, że on sam albo malarz nagle podejdzie do okna i otworzy je na oścież. Byłby gotów wdychać otwartymi ustami nawet mgłę. Sama świadomość, że jest całkowicie odcięty od świeżego powietrza, wywołała u niego zawroty głowy. Uderzył lekko dłonią w pierzynę obok siebie i wyszeptał:

— Przecież to niewygodne i niezdrowe.

— Ależ skąd — odrzekł malarz, broniąc swojego okna. — Przez to, że ta pojedyncza szyba się nie otwiera, trzyma ciepło lepiej niż podwójna. A jeśli chcę tu przewietrzyć, co zresztą niespecjalnie jest konieczne, bo przez szczeliny między belkami wpada do środka świeże powietrze, mogę otworzyć jedno, a nawet dwoje drzwi.

Nieco uspokojony tą informacją, K. rozejrzał się w poszukiwaniu drugich drzwi. Malarz to zauważył.

— Są za panem. Musiałem zastawić je łóżkiem. — Dopiero teraz K. dostrzegł niewielkie drzwi w ścianie. — Za mało tu miejsca jak na atelier — powiedział malarz, jakby chcąc uprzedzić krytykę, której się spodziewał. — Urządziłem się najlepiej, jak potrafiłem. Łóżko przed drzwiami to oczywiście fatalne rozwiązanie. Sędzia, którego teraz maluję, zawsze wchodzi właśnie tymi drzwiami. Dałem mu klucz, żeby mógł tu na mnie zaczekać, kiedy wychodzę z domu. Zwykle zjawia się bardzo wcześnie, kiedy jeszcze śpię. Otwiera drzwi tuż przy łóżku, czym naturalnie wrywa mnie z każdego, nawet najgłębszego snu. Straciłby pan cały szacunek dla sędziów, gdyby pan słyszał te przekleństwa, którymi go witam, kiedy przechodzi o świecie nad moim łóżkiem. Mógłbym mu ten klucz odebrać, ale to by tylko pogorszyło sprawę, wszystkie drzwi bardzo łatwo można wyważać.

Podczas tej wypowiedzi malarza K. zastanawiał się, czy zdjąć marynarkę, lecz w końcu zrozumiał, że nie zdoła tu długo wytrzymać, jeśli tego nie zrobi. Zdjął ją więc i położył sobie na kolanach, żeby móc ją szybko włożyć, gdy tylko rozmowa dobiegnie końca.

Ledwie zdążył to zrobić, gdy jedna z dziewczynek zawołała:

— Już zdjął marynarkę!

Słysząc było, jak wszystkie cisną się do szpar, tak bardzo każda z nich chciała zobaczyć to widowisko.

— Dziewczynki myślą, że będą pana malował i dlatego się pan rozbiera — wyjaśnił malarz.

— Aha — mruknął K., którego nie bardzo to bawiło; nie poczuł się też ani odrobinę lepiej niż przed chwilą, choć siedział już w samej koszuli. Zapytał ponurym głosem: — Jak pan nazywał te dwie pozostałe możliwości?

— Uniewinnienie pozorne i przewlekanie — powiedział malarz. — W pana gestii leży ten wybór, z moją pomocą uda się panu uzyskać każdą z nich, choć oczywiście nie bez pewnego wysiłku. Różnica polega na tym, że uniewinnienie pozorne wymaga sporego jednorazowego wysiłku, przewlekanie zaś znacznie mniejszego, za to nieustającego. Zaczniemy więc od uniewinnienia pozornego. Jeśli pan je wybierze, poświadczę na piśmie pańską niewinność. Wzór takiego pisma dostałem w spadku po ojcu, jest ono absolutnie niekwestionowalne. Z tym zaświadczeniem odwiedziłem wszystkich znajomych sędziów. Na przykład dziś wieczorem, kiedy sędzia, którego teraz maluję, przyjdzie na posiedzenie, przedstawię mu to zaświadczenie, wyjaśnię, że jest pan niewinny, i poręcę za pana. Nie jest to zwykła formalność, lecz prawdziwe, wiążące poręczenie. — Titorelli spojrział na K. wzrokiem, w którym pojawiła się nuta wyrzutu, jakby to K. nakładał na niego ciężar takiej odpowiedzialności.

— To byłoby bardzo uprzejme z pana strony — rzekł K. — Czyli wówczas sędzia uwierzyłby panu, a mimo to nie orzekłby uniewinnienia rzeczywistego, tak?

— Jak już mówiłem — odparł malarz. — Poza tym wcale nie jest pewne, że każdy sędzia dałby mi wiarę. Któryś zażądałby ode mnie, bym pana do niego przyprowadził. Wtedy musiałby się pan do niego wybrać. W takich przypadkach sprawa byłaby na wół wygrana, zwłaszcza że wcześniej dokładnie bym pana poinstruował, jak się zachować

w obecności danego sędziego. Gorzej z tymi, którzy mnie z góry odprawiają, co się czasem zdarza. Z takich trzeba w końcu zrezygnować, choć spróbowałbym podejść do nich nie jeden raz, bo też i pojedynczy sędziowie nie są tu rozstrzygający. Kiedy już zdobędę wystarczającą liczbę podpisów pod swoim zaświadczeniem, wybiorę się z nim do sędziego, który będzie prowadził pańską sprawę. Możliwe, że jego podpis też zdobędę, i wtedy wszystko potoczy się nieco szybciej. Z reguły zostaje wtedy niewiele przeszkód. To dla oskarżonych czas największych nadziei na pomyślne zakończenie. Co osobliwe, ludzie patrzą na wszystko z większą pogodą ducha niż po uniewinnieniu. Na tym etapie sprawa nie wymaga już większego trudu: sędzia ma w ręku poręczenie grona innych sędziów, może więc pana bezpiecznie, oczywiście po dopełnieniu szeregu formalności, uniewinnić z zarzutów, świadcząc przysługę zarówno mnie, jak i swoim innym znajomym. A pan wyjdzie z sądu i będzie wolny.

— I będę wówczas naprawdę wolny? — spytał K. z wahaniem.

— Tak — powiedział malarz. — Ale tylko pozornie, ściślej mówiąc, wolny prowizorycznie. Najniżsi sędziowie, do których należą moi znajomi, nie mają prawa do orzekania o uniewinnieniu ostatecznym. To prawo przysługuje wyłącznie najwyższemu sądowi, całkowicie niedostępnemu dla pana, dla mnie, dla nas wszystkich. Jak tam się rzeczy mają, nie wiemy, ale też nawet wiedzieć nie chcemy. Tego najwyższego prawa do orzekania o uwolnieniu od oskarżenia nasi sędziowie więc nie mają, mają natomiast prawo prowizorycznego wyłączenia pana spod oskarżenia. Oznacza to, że jeśli zostanie pan uniewinniony w ten sposób, przez pewien czas będzie pan wyjęty spod oskarżenia, ale ono nadal będzie nad panem wisiało i może w każdej chwili ponownie odzyskać natychmiastową moc prawną, gdy tylko nadejdzie z góry odpowiedni nakaz. Ponieważ pozostaję w dobrych stosunkach z sądem, mogę panu również wyjawić, jak ta różnica między uniewinnieniem rzeczywistym a pozornym przejawia się na zewnątrz, w przepisach dla kancelarii sądowych. W przypadku uniewinnień rzeczywistych akta procesu całkowicie się wycofuje: z postępowania znika w zupełności nie tylko akt oskarżenia, lecz także cały proces, a nawet samo uniewinnienie, wszystko zostaje zniszczone. Inaczej ma się rzecz w przypadku uniewinnienia pozornego. W aktach nie zachodzi żadna zmiana poza tą, że zostają one uzupełnione o zaświadczenie o niewinności oraz o orzeczenie o uniewinnieniu wraz z uzasadnieniem. W pozostałej części akta nie zostają wycofane z postępowania, lecz krążą dalej, jak wymaga tego nieustanny obieg dokumentacji między kancelariami, do wyższych instancji i z powrotem do niższych, przechodzą to w górę, to w dół, to bliżej, to dalej, pozostając w różnych miejscach to krócej, to dłużej. Ścieżki, którymi wędrują, są nie do przewidzenia. Patrząc z zewnątrz, można by nieraz odnieść wrażenie, że o sprawie dawno zapomniano, akta zaginęły, a uniewinnienie ma charakter ostateczny. Nikt wtajemniczony w te sprawy nie da temu wiary. Bo w sądzie nigdy nie giną żadne akta, sąd nie zna zapomnienia. Pewnego dnia, kiedy nikt się tego nie będzie spodziewał, któryś sędzia weźmie akta do ręki, zainteresuje się nimi, stwierdzi, że oskarżenie w danej sprawie wciąż zachowuje żywotność, i zarządzi natychmiastowe aresztowanie. Założyłem tu, że między uniewinnieniem pozornym a nowym aresztowaniem mija długi czas; a jest to możliwe, znam takie przypadki. Ale równie dobrze może być tak, że uniewinniony wraca z sądu, a w domu już czekają na niego wysłannicy, by go ponownie aresztować. Wtedy, rzecz jasna, następuje koniec jego wolności.

— I proces zaczyna się od nowa? — zapytał K. z pewnym niedowierzaniem.

— Oczywiście — odparł malarz. — Zaczyna się od nowa i znów istnieje możliwość starania się o uniewinnienie pozorne. Trzeba tylko zmobilizować wszystkie siły i nie wolno się poddawać. — To ostatnie zdanie malarz powiedział być może dlatego, że K., nieco się zapadłszy, sprawiał wrażenie przybitego.

— Czy uzyskanie powtórnego uniewinnienia nie jest trudniejsze od pierwszego? — zapytał K., jakby chciał sprowokować malarza do wywodów, zanim ten sam do nich dojdzie.

— Nic, co można w tej mierze powiedzieć, nie jest pewne. Ma pan zapewne na myśli, że przy drugim aresztowaniu sędziowie stają się w swoim orzekaniu mniej przychylni oskarżonemu? Tak nie jest. Sędziowie przewidują ponowne aresztowanie już w chwili uniewinnienia. Ten fakt więc niemal w ogóle na nich nie wpływa. Natomiast z niezli-

Sąd, Urzędnik,
Niebezpieczeństwo

czonych innych powodów nastawienie sędziów, a wraz z nim ich ocena prawna sprawy, może się zmienić, wobec czego starania o ponowne uniewinnienie należy dostosować do zmienionych okoliczności i mówiąc ogólnie, nie zmieniać ich intensywności w stosunku do tych sprzed pierwszego uniewinnienia.

— Ale i to drugie uniewinnienie nie jest przecież ostateczne — rzekł K., kręcąc z niezadowolaniem głową.

— Oczywiście, że nie — odparł malarz. — Po drugim uniewinnieniu następuje trzecie aresztowanie, po trzecim uniewinnieniu czwarte aresztowanie i tak dalej. Jest to już niejako zawarte w samym pojęciu uniewinnienia pozornego. — K. milczał. — Widzę, że uniewinnienie pozorne nie bardzo pana przekonuje — rzekł malarz. — Może odpowiadałoby panu bardziej przewlekanie. Wyjaśnić panu, na czym polega?

K. skinął głową. Malarz rozsiadł się wygodnie na krześle, nocna koszula rozchyliła mu się na piersi, a on wsunął pod nią rękę i przesuwając ją po piersi i bokach.

— Przewlekanie... — zaczął, wbijając przed siebie wzrok, jakby szukał w głowie najtrafniejszej definicji. — Przewlekanie polega na ciągłym podtrzymywaniu procesu w jego najniższym stadium. Żeby to osiągnąć, konieczne jest, by oskarżony i jego pełnomocnik, a zwłaszcza ten drugi, pozostawali w nieustającym osobistym kontakcie z sądem. Powtórzę: nie potrzeba tu aż tak wielkiego wysiłku, jak przy uzyskaniu uniewinnienia pozornego, natomiast przewlekanie wymaga o wiele większej uwagi. Nie wolno tracić procesu z oczu, trzeba w równych odstępach czasu, a także przy szczególnych okazjach, zjawiać się u odpowiedniego sędziego i na wszelkie sposoby starać się zachować jego życzliwość względem siebie; jeśli nie zna się go osobiście, trzeba próbować wpływać na niego za pomocą znajomych sędziów, nie rezygnując jednak z rozmów osobistych. Jeśli się w tym względzie niczego nie zaniedba, można ze sporą pewnością założyć, że proces nie wyjdzie poza pierwsze stadium; nie zakończy się wprawdzie, lecz oskarżony będzie niemal równie dobrze zabezpieczony przed skazaniem, jak gdyby był wolny. W porównaniu z uniewinnieniem pozornym przewlekanie ma tę zaletę, że przyszłość oskarżonego jest mniej niepewna; jest on chroniony przed grozą nagłych aresztowań i nie musi się obawiać, że w chwilach, gdy okoliczności życiowe będą ku temu najmniej sposobne, przyjdzie mu znosić trudy i znoje uniewinnienia pozornego. Oczywiście również przewlekanie pociąga za sobą dla oskarżonego pewne niedogodności, których nie należy lekceważyć. Nie mam tu na myśli tego, że oskarżony nigdy nie jest wolny, bo w ścisłym sensie nie jest wolny także w przypadku uniewinnienia pozornego. Chodzi o inną niedogodność. Proces nie może zastygnąć w bezruchu, jeśli choćby z pozoru nie istniały ku temu przesłanki. Dlatego w procesie musi się dziać coś widocznego na zewnątrz. Trzeba więc od czasu do czasu wydać różne zarządzenia, przesłuchać oskarżonego, przeprowadzić czynności dochodzeniowe i tak dalej. Proces musi się ciągle obracać w małym kręgu, do którego się go sztucznie zawężyło. Wiąże się to rzecz jasna z pewnymi uciążliwościami dla oskarżonego, jednak i ich nie należy sobie wyobrażać jako zbyt dotkliwych. Wszystko to ma wyłącznie charakter powierzchowny, przesłuchania na przykład są bardzo krótkie; jeśli się nie ma czasu czy ochoty, żeby się na któreś stawić, można się usprawiedliwić czy nawet zawczasu ustalić z niektórymi sędziami wszystkie dyspozycje na dłuższy okres; chodzi w gruncie rzeczy o to, że jako oskarżony należy się od czasu do czasu zgłosić do swojego sędziego.

Już podczas tych ostatnich słów Titorellego K. wziął płaszcz na ramię i wstał.

— Już wstaje! — rozległo się natychmiast za drzwiami.

— Już pan wychodzi? — zapytał malarz, który również się podniósł. — Pewnie przez to powietrze. Tak mi przykro. Miałem panu jeszcze niejedno do powiedzenia. Musiałem się bardzo streszczać. Mam jednak nadzieję, że wyjaśniłem to panu w sposób zrozumiały.

— Och, tak — rzekł K., którego od wysiłku, z jakim zmuszał się do słuchania, rozboleła głowa.

Mimo tego zapewnienia malarz raz jeszcze streścił wszystko, jakby chciał dać K. coś na pokrzepienie na drogę do domu:

— Obie te metody mają tę cechę wspólną, że zapobiegają skazaniu oskarżonego.

— Ale zarazem uniemożliwiają uniewinnienie rzeczywiste — powiedział K. cicho, jakby zawstydzony tą konstatacją.

— Trafił pan w sedno — stwierdził natychmiast malarz.

K. położył rękę na płaszczu, lecz nie mógł zdobyć się nawet na to, by go włożyć. Najchętniej złapałby wszystkie swoje rzeczy i wybiegł stąd jak najszybciej na świeże powietrze. Nawet dziewczynki nie zdołały go nakłonić do tego, by się ubrał, choć przedwcześnie wołały jedna przez drugą, że to robi.

Malarzowi bardzo zależało na tym, by jakoś wytłumaczyć sobie nastrój K., dlatego rzekł:

— Pewnie nie zdecydował się pan na żadną z moich propozycji. I słusznie. Nawet bym panu odradzał tak szybką decyzję. Zalety i wady niemal co do joty się równoważą. Wszystko trzeba dokładnie rozważyć. Ale też nie należy tracić zbyt dużo czasu.

— Niedługo wrócę — rzekł K., który w nagłym postanowieniu włożył marynarkę, narzucił płaszcz na ramiona i pospieszył ku drzwiom, za którymi zaraz rozległ się wrzask dziewczynek. K. miał wrażenie, jakby je widział przez zamknięte drzwi.

— Ale musi pan dotrzymać słowa — odezwał się malarz, który wcale za nim nie podążył. — Inaczej zjawię się w banku, by się przypomnieć.

— Proszę otworzyć drzwi — powiedział K. i szarpnął za klamkę, którą dziewczynki, jak wyczuł po oporze, trzymały mocno na zewnątrz.

— Chce pan, żeby dziewczynki pana napastowały? Proszę lepiej skorzystać z drugiego wyjścia. — I wskazał drzwi za łóżkiem.

K. się zgodził i doskoczył tam z powrotem. Malarz jednak, zamiast otworzyć drzwi, wszedł pod łóżko i odezwał się stamtąd:

— Jeszcze momencik. Nie zechciałby pan zobaczyć jakiegoś obrazu, który mógłbym panu sprzedać?

K. nie chciał być nieuprzejmy: malarz naprawdę się nim zajął, zaoferował mu też pomoc w przyszłości, poza tym wskutek roztargnienia K. w ogóle omieszkiał poruszyć kwestię wynagrodzenia za tę pomoc. Nie mógł tak po prostu zbyć malarza, pozwolił więc pokazać sobie obraz, choć aż się w nim gotowało, by jak najprędzej opuścić atelier.

Malarz wyciągnął spod łóżka stertę nieoprawionych obrazów, tak bardzo pokrytych kurzem, że gdy go zdmuchnął z wierzchniego, wzbila się chmura pyłu i przez dłuższą chwilę wirowała przed K., nie pozwalając mu zacerpnąć tchu.

— Wrzosowisko — rzekł malarz, podając K. obraz.

Przedstawiał dwa oddalone od siebie rachityczne drzewka rosnące pośrodku ciemnej trawy na tle wielobarwnego zachodu słońca.

— Ładny. Kupuję — stwierdził K. z nieprzemyślaną lakonicznością, więc się ucieszył, gdy zaraz potem malarz, zamiast poczuć się tym urażony, sięgnął po drugi obraz leżący na podłodze.

— To *pendant* do tamtego — rzekł.

Mógł być pomyślany jako *pendant*, lecz nie sposób było dostrzec choćby najmniejszej różnicy w stosunku do pierwszego: tu były drzewka, tu trawa, a tam zachód słońca. K. było to jednak obojętne.

— Ładne pejzaże — powiedział. — Wezmę oba i powieszę je w swoim biurze.

— Chyba motyw przypadł panu do gustu — odparł malarz i wyciągnął trzeci obraz. — Dobrze się składa, mam tu jeszcze jeden podobny.

Wcale nie był do poprzednich podobny, tylko taki sam; przedstawiał dokładnie w ten sam sposób to samo wrzosowisko. Malarz chciał wykorzystać okazję i pozbyć się starych obrazów.

— Wezmę i ten — rzekł K. — Ile kosztują wszystkie trzy?

— O tym porozmawiamy innym razem. W tej chwili się panu spieszy, a przecież pozostaniemy w kontakcie. Poza tym cieszy mnie, że obrazy się panu podobają, dam panu wszystkie, jakie tu mam. Same wrzosowiska, sporo ich namalowałem. Niektórzy są im niechętni, takie widoki są dla nich zbyt mroczne, ale inni, a pan najwidoczniej do nich należy, kochają je właśnie za to.

— Proszę te wszystkie obrazy spakować — przerwał mu K., nie mając już głowy do rozważań o zawodowych doświadczeniach malarza-żebra. — Jutro przyślę tu po nie mojego woźnego.

— Nie trzeba — rzekł malarz. — Postaram się zaraz o tragarza, który pójdzie razem z panem. — I wreszcie pochylił się nad łóżkiem i otworzył drzwi. — Niech się pan nie krępuje i śmiało przejdzie po łóżku. Każdy, kto tędy wychodzi, tak robi.

K. i bez tej zachęty się nie krępował: już postawił stopę pośrodku pierzyny, gdy spojrział przez otwarte drzwi i cofnął nogę.

— Co to? — zapytał K.

— Co pana tak zdziwiło? — zdziwił się także malarz. — To kancelarie sądowe. Nie wiedział pan, że tu są? Przecież kancelarie mieszczą się niemal na każdym poddaszu, czemu miałyby ich nie być akurat tutaj? Zresztą moje atelier właściwie też do nich należy, tyle że sąd mi je udostępnił.

K. przeraził się nie tyle tym, że i tu natknął się na kancelarie sądowe, ile samym sobą, swoją niewiedzą w sprawach sądu. Jako podstawową zasadę dotyczącą zachowania oskarżonego uznał, że trzeba być zawsze przygotowanym, nigdy nie pozwolić się zaskoczyć, nie wpatrywać się bezmyślnie w prawo, kiedy po lewej ma się sędziego — i właśnie tę zasadę raz po raz łamał.

Przed nim rozciągał się długi korytarz i poczuł stamtąd powiew powietrza, które w porównaniu z zaduchem w atelier wydawało się rześkie. Po obu stronach korytarza stały ławki, dokładnie takie same jak w poczekalni kancelarii właściwej dla sprawy K. Najwidoczniej istniały bardzo ściśle przepisy dotyczące urządzania kancelarii.

W tej chwili nie panował tu zbyt duży ruch stron. Jakiś mężczyzna rozsiadł się w półleżącej pozycji na ławce z twarzą ukrytą w rękach: wyglądał, jakby spał; inny stał w półmroku na końcu korytarza.

K. przeszedł przez łóżko, a malarz podążył za nim z obrazami. Wkrótce spotkali woźnego sądowego — K. potrafił już rozpoznać woźnych sądowych po złotym guziku, który każdy z nich miał poniżej zwykłych guzików w marynarce cywilnej — i malarz kazał mu pomóc K. z obrazami.

Przyciskając chustkę do ust i zataczając się, K. zmierzał do wyjścia. Niemał do niego dotarli, kiedy z naprzeciwka podbiegły do nich dziewczynki. Więc jednak K. nie udało się uniknąć spotkania z nimi. Najwyraźniej zobaczyły, jak otwierają się drugie drzwi atelier, i nadłożyły drogi, żeby się tu dostać.

— Dalej nie mogę panu towarzyszyć — zawołał malarz ze śmiechem, otoczony przez dziewczynki. — Do widzenia. I proszę się nie zastanawiać zbyt długo!

K. nawet się za nim nie obejrzał. Wyszedłszy na ulicę, wsiadł do pierwszego powozu, który nadjechał. Zależało mu na tym, by pozbyć się woźnego, którego złoty guzik wciąż kłuł go w oczy, choć zapewne nikt poza nim nawet go nie zauważył. W swojej gorliwości woźny chciał jeszcze usiąść na koźle obok woźnicy, K. jednak przegonił go stamtąd.

Było już dawno po południu, gdy K. dotarł do banku. Najchętniej zostawiłby obrazy w powozie, obawiał się jednak, że przy jakiejś okazji malarz może go zmusić, by się nimi wobec niego wylegitymował. Z tego też powodu kazał je sobie przynieść do biura, gdzie zamknął je w najniższej szufladzie biurka, by przynajmniej w kolejnych dniach ustrzec je przed wzrokiem wicedyrektora.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kupiec Block — Wypowiedzenie pełnomocnictwa adwokatowi

W końcu K. zdecydował się jednak cofnąć adwokatowi pełnomocnictwo. Wprawdzie nie mógł się pozbyć wszystkich wątpliwości co do słuszności tego kroku, lecz zwyciężyło w nim przeświadczenie o jego konieczności. W dniu, w którym K. postanowił udać się do adwokata, samo podjęcie tej decyzji bardzo go wyczerpało; praca szła mu wyjątkowo wolno, musiał potem zostać do późna w biurze; było już po dwudziestej drugiej, gdy dotarł wreszcie pod drzwi adwokata. Jeszcze zanim do nich zadzwonił, zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby złożyć wypowiedzenie telefonicznie albo listownie; spodziewał się, że osobista rozmowa będzie nieprzyjemna. Mimo to K. nie chciał z niej zrezygnować: w przypadku każdego innego sposobu wypowiedzenia zostałoby ono przyjęte milczeniem albo kilkoma oficjalnymi słowami, a jeśli Leni nie zdołałaby go wybadać, K. nigdy by się nie dowiedział, jak adwokat przyjął to wypowiedzenie oraz jakie konsekwencje wedle opinii adwokata, która bynajmniej nie była bez znaczenia, mogłoby mieć ono dla K. Jeśli jednak K. będzie miał adwokata przed sobą i to wypowiedzenie go zaskoczy, nawet jeśli

nie będzie zbyt wylewny, K. bez trudu zdoła wyczytać z jego twarzy i zachowania to, co go interesuje. Nie było nawet wykluczone, że K. da się przekonać, iż mimo wszystko dobrze będzie pozostawić obronę w rękach adwokata, i że wówczas wycofa swoje wypowiedzenie.

Pierwszy dzwonek do drzwi adwokata pozostał jak zwykle bez odpowiedzi. „Leni mogłaby się zbierać szybciej”, pomyślał K. Może jednak tym razem żadna ze stron się nie wtrąci, jak to zazwyczaj bywało, ani żaden mężczyzna w szlafroku, ani nikt inny, kto zacząłby mu się naprzykrzać, może tym razem się uda. Gdy K. zadzwonił do drzwi po raz drugi, obejrzał się za siebie; ale drzwi sąsiadów pozostawały zamknięte. W okienku w drzwiach adwokata ukazała się wreszcie para oczu, nie były to jednak oczy Leni. Ktoś odsunął zasuwę i uchylił drzwi, lecz jednocześnie zaparł się o nie, i zawołał w głąb mieszkania:

— To on! — I dopiero po tych słowach otworzył je na oścież i, jako że K. już napierał na drzwi, słysząc, że za jego plecami ktoś pospiesznie obraca klucz w drzwiach innego mieszkania, natychmiast wpadł do przedpokoju, dostrzegając jeszcze kątem oka, jak między pokojami ucieka w koszuli Leni, do której mężczyzna otwierający drzwi skierował ostrzegający okrzyk. K. przez chwilę patrzył za nią, po czym skierował wzrok na niskiego, wymizerowanego, brodatego mężczyznę ze świecą w ręku.

— Pan tu pracuje? — spytał K.

— Nie, jestem klientem mecenasa, przyszedłem tu w swojej sprawie.

— Pan bez marynarki? — zapytał K. i gestem wskazał na skąpy strój mężczyzny.

— Ach, proszę wybaczyć — rzekł mężczyzna i rozjaśnił swoją sylwetkę płomieniem świecy, jakby dopiero teraz chciał zobaczyć swój stan.

— Leni to pana kochanka? — zapytał lakonicznie K. Stał w lekkim rozkroku ze splecionymi za plecami dłońmi, w których trzymał kapelusz. Już przez sam fakt posiadania grubego płaszcza czuł przewagę nad tym chuchrem.

— O Boże! — wystraszył się tamten i uniosł jedną rękę w geście obrony przed twarzą. — Nie, nie! Co też panu przychodzi do głowy?

— Wygląda pan na człowieka szczerego — rzekł K. z uśmiechem. — A jednak... niech pan idzie. — Pomachał kapeluszem do mężczyzny, dając mu do zrozumienia, żeby ten szedł przodem. — Jak się pan nazywa? — spytał K., podążając za nim.

— Block¹⁰, kupiec Block — przedstawił się mężczyzna, odwracając się do K., ale ten nie pozwolił mu się zatrzymać.

— To pańskie prawdziwe nazwisko? — zapytał K.

— Oczywiście. Dlaczego pan w to wątpi?

— Pomyślałem, że mógłby pan mieć powód, by je przede mną zataić.

K. czuł tę szczególną swobodę, z jaką niekiedy w obcych stronach rozmawia się z ludźmi stojącymi niżej w hierarchii, a to, co dotyczy jego samego, zachowuje dla siebie, z obojętną miną snując opowieści o sprawach innych osób, przez co wynosi się ich niejako we własnych oczach, ale też w każdej chwili można ich, gdy się tylko zechce, strącić z piedestału.

K. zatrzymał się pod gabinetem adwokata, otworzył drzwi i zawołał do kupca, który posłusznie podążył dalej:

— Nie tak prędko! Proszę mi tu poświecić.

K. pomyślał, że Leni mogła się gdzieś tam schować; kazał kupcowi przeszukać wszystkie kąty, lecz gabinet był pusty. Przed portretem sędziego K. zatrzymał kupca, chwytając go od tyłu za szelki.

— Zna go pan? — zapytał, wskazując palcem w górę.

Kupiec uniosł świecę, podniósł głowę i mrużąc oczy, powiedział:

— To sędzia.

— Wysoki sędzia? — zapytał K. i stanął bokiem przed kupcem, żeby obserwować, jakie wrażenie wywrze na nim obraz.

Kupiec spoglądał w górę z podziwem.

— Tak, to wysoki sędzia — powiedział.

¹⁰Block — część badaczy widzi w tej postaci wyraźniejszy trop żydowski lub sygnał obcości; u niektórych komentatorów Block staje się zarazem figurą lektury pozostającej przy samej literze prawa, bez dostępu do jego ukrytych sensów. [przypis tłumacza]

— Nie ma pan wielkiego rozeznania — powiedział K. — Wśród niskich sędziów śledczych on jest najniższy.

— Teraz sobie przypominam — powiedział kupiec i opuścił świecę. — Słyszałem o tym.

— No oczywiście! — zawołał K. — Zapomniałem... To oczywiste, że musiał pan o nim słyszeć.

— Ale dlaczego? No, dlaczego? — zapytał kupiec, popychany przez K. w stronę drzwi.

— Przecież pan wie, gdzie ukryła się Leni — powiedział K., stojąc w korytarzu.

— Ukryła się? — powtórzył kupiec. — Nie, pewnie jest w kuchni i gotuje zupę dla mecenasa.

— Czemu nie mówił pan tak od razu? — zapytał K.

— Chciałem tam pana zaprowadzić, ale pan mnie zawołał z powrotem — odparł Block, jakby zbity z tropu przez te sprzeczne polecenia.

— Ma się pan za takiego spryciarza? No to prowadź pan!

W kuchni K. jeszcze nigdy nie był; była zaskakująco duża i bogato wyposażona. Sam piec był trzy razy większy niż zazwyczaj, a reszty szczegółów nie bardzo można było dostrzec, gdyż kuchnia była oświetlona tylko jedną małą lampką wiszącą przy wejściu. Przy piecu stała Leni, jak zwykle w białym fartuszkach, wbijając do garnka stojącego na palniku spirytusowym jajka.

— Dobry wieczór, Josefie — powiedziała, zerkając na niego z ukosa.

— Dobry wieczór — odparł K. i wskazał ręką na stojący w rogu pokoju fotel, na którym miał usiąść kupiec i w istocie to zrobił. K. zaś stanął blisko za plecami Leni, pochylił się nad jej ramieniem i zapytał: — Kim jest ten mężczyzna?

Leni jedną ręką mieszała trzepaczką zupę, drugą objęła K., przyciągnęła go ku sobie i rzekła:

— To człowiek godny pożalowania, biedny kupiec, niejaki Block. Spójrz tylko na niego.

Oboje obejrzelik się za siebie. Kupiec siedzący na fotelu wskazanym przez K. zgasił płomień, którego światło było już zbyt duże, i przycisnął palcami knot świecy, żeby nie poszedł z niej dym.

— Byłaś w koszuli — stwierdził K. i dłonią obrócił głowę Leni w stronę pieca. Milczała. — To twój kochanek? — zapytał K. Dziewczyna chciała sięgnąć po garnek z zupą, ale K. złapał jej rękę i krzyknął: — No, odpowiadaj!

— Chodź do gabinetu, wszystko ci wyjaśnię.

— Nie — odparł K. — Chcę, żebyś to wyjaśniła tutaj.

Przyłgnęła do niego i chciała go pocałować. K. odsunął ją od siebie.

— Nie chcę, żebyś mnie teraz całowała.

— Josefie... — powiedziała Leni i spojrzała w oczy K. prosząco, a jednocześnie szczerze. — Przecież nie możesz być zazdrosny o Blocka. — Następnie zwróciła się do kupca: — Rudi, pomóż mi, widzisz przecież, że jestem podejrzewana, zostaw już tę świecę.

Mogłoby się wydawać, że nie słuchał uważnie, a jednak we wszystkim się w pełni orientował.

— Nie mam pojęcia, z jakiego powodu miałby pan być zazdrosny — powiedział niezbyt błyskotliwie.

— Właściwie ja też nie — rzekł K., spoglądając z uśmiechem na kupca.

Leni roześmiała się głośno i korzystając z chwilowej nieuwagi K., wsunęła rękę pod jego ramię i wyszeptwała:

— Zostaw go już, widzisz przecież, jaki z niego człowiek. Po prostu trochę się nim zajęłam, bo to ważny klient mecenasa; i tyle. A ty? Chcesz jeszcze dziś porozmawiać z mecenasem? Jest bardzo chory, ale jeśli chcesz, to cię zaanonsuję. Ale i tak na pewno zostaniesz u mnie na noc. Tak dawno już u nas nie byłeś, ostatnio nawet sam mecenas o ciebie pytał. Nie zaniedbuj procesu! I ja mam ci do przekazania różne rzeczy, o których się dowiedziałam. A teraz przede wszystkim zdejmij ten płaszcz!

Leni pomogła K. się rozebrać, wzięła od niego kapelusz i pobiegła powiesić wszystko w przedpokoju. Gdy wróciła, zamieszała zupę w garnku.

— Mam cię najpierw zaanonsować czy zanieść mu zupę? — zapytała.

— Najpierw mnie zaanonsuj — rzekł K. Był podenerwowany; w pierwotnych planach zamierzał dokładnie omówić z Leni swoją sprawę, zwłaszcza kwestię wypowiedzenia pełnomocnictwa, obecność Blocka sprawiła jednak, że z tego zrezygnował. Teraz jednak uznał swoją sprawę za zbyt ważną, by ten nędzny sklepikarz mógł w ogóle mieć na nią rozstrzygający wpływ, toteż zawrócił Leni, która już była w korytarzu. — Zanieś mu najpierw supkę — powiedział. — Niech nabierze sił przed naszą rozmową, będzie ich potrzebował.

— Pan też jest klientem mecenasa — skonstatował ze swojego kąta kupiec, co nie zostało zbyt dobrze przyjęte.

— A co to pana obchodzi? — zapytał K.

— Ty już tam siedź cicho — powiedziała Leni do Blocka, a potem zwróciła się do K.: — A więc najpierw zanieś mu supkę. — I naląła ją na talerz. — Tylko żeby potem nie zasnął; zaraz po jedzeniu zasypia.

— To, co mu powiem, nie pozwoli mu zasnąć — stwierdził K.

Wciąż próbował jej dać do zrozumienia, że zamierza z mecenasem pomówić o czymś ważnym; chciał, by Leni go zapytała, co to takiego, i dopiero wtedy prosić ją o radę. Ona jednak spełniała wyłącznie polecenia wypowiedziane na głos. Gdy przechodziła obok niego z talerzem, umyślnie trąciła go lekko i szepnęła:

— Zaanonsuj swoją wizytę, zanim zje supkę, żebyś cię potem jak najszybciej mogła mieć dla siebie.

— Idźże już — rzekł K. — No idź!

— Grzeczniej, proszę — powiedziała i w drzwiach jeszcze odwróciła się do niego z talerzem w ręku.

K. odprowadził ją wzrokiem; powziął ostateczną decyzję, że zwolni adwokata, chyba nawet lepiej, że nie porozmawiał o tym z Leni; nie miała pełnego oglądu całości, pewnie by mu odradzała, a może nawet udałoby się jej powstrzymać K. przed wypowiedzeniem pełnomocnictwa, choć pewnie wątpliwości i tak nie dawałyby mu potem spokoju i w końcu wypełniłby swoje postanowienie, co było aż nazbyt konieczne. Im szybciej to zrobi, tym większą szkodę powstrzyma. Może zresztą kupiec mógłby mu coś na ten temat powiedzieć.

K. odwrócił się; kupiec ledwie to dostrzegł, a już chciał się podnieść.

— Niech pan nie wstaje — powiedział K. i przysunął do niego krzesło. — Jest pan stałym klientem mecenasa?

— Tak — odparł kupiec. — Już od dawna.

— Od ilu lat pana reprezentuje?

— Nie wiem, co dokładnie pan ma na myśli. Mecenas prowadzi sprawy związane z moimi interesami, a handluję zbożem, odkąd przejąłem interes, czyli od jakichś dwudziestu lat; a w moim własnym procesie, o który panu zapewne chodzi, reprezentuje mnie też od samego początku, czyli już od ponad pięciu lat. Tak, grubo od ponad pięciu lat — dodał, wyciągając stary portfel. — Mam tu wszystko zapisane; jeśli pan chce, podam panu dokładne daty. Trudno to wszystko spamiętać. Zresztą mój proces trwa zapewne jeszcze dłużej; zaczął się krótko po śmierci żony, czyli ponad pięć i pół roku temu.

K. przysunął się do niego.

— Czyli mecenas podejmuje się również prowadzenia zwykłych spraw? — zapytał. To powiązanie interesów i prawa wydało się K. niezwykle krzepiące.

— Owszem — rzekł kupiec, a potem szepnął do K.: — Mawiają nawet, że w tych sprawach działa sprawniej niż w tamtych. — Lecz zaraz położył K. rękę na ramieniu, jakby pożałował swoich słów, i dodał: — Tylko niech mnie pan nie wyda, bardzo pana proszę.

K. poklepał go uspokajająco po udzie i powiedział:

— Nie, nie zdradzę pana.

— Bo jest mściwy — powiedział kupiec.

— Tak wiernemu klientowi z pewnością nie mógłby zaszkodzić.

— Oj, mógłby! — rzekł kupiec. — Kiedy się zdenerwuje, nie robi mu to różnicy; zresztą właściwie nie do końca jestem mu wierny.

— Jak to?

— Zwierzyć się panu? — zapytał Block niepewnym głosem.

— Proszę bardzo — odparł K.

— Cóż. Zdradzę panu coś o sobie, ale pan również musi podzielić się ze mną jakimś sekretem, żebyśmy się wobec mecenasa wzajemnie trzymali w szachu.

— Jest pan bardzo ostrożny. Ale zdradzę panu taki sekret, który pana w zupełności uspokoi. Na czym więc polega pańska niewierność wobec mecenasa?

— No... — zaczął z wahaniem kupiec, takim tonem, jakby przyznawał się do czegoś niegodziwego. — Prócz niego mam jeszcze innych adwokatów.

— Przecież to nic strasznego — rzekł K. z niejakim rozczarowaniem.

— Nie w tym przypadku — powiedział kupiec, który od chwili wyznania oddychał z trudem, lecz po odpowiedzi K. nabrał większej śmiałości. — To niedozwolone. A tym bardziej niedozwolone jest, by prócz tak zwanego adwokata dodatkowo zatrudniać adwokatów pokątnych. A to właśnie zrobiłem: oprócz Hulda mam jeszcze pięciu adwokatów pokątnych.

— Pięciu?! — zawołał K., gdyż dopiero ich liczba wprawiła go w osłupienie. — Pięciu adwokatów prócz Hulda?

Kupiec skinął głową i dodał:

— Właśnie prowadzę negocjacje z szóstym.

— Ale po co panu tylu adwokatów? — spytał K.

— Potrzebuję ich wszystkich — odparł kupiec.

— Zechciałby pan to wyjaśnić?

— Bardzo chętnie. Przede wszystkim nie chcę przegrać procesu, to przecież oczywiste. Nie mogę więc zaniechać niczego, co mogłoby się okazać dla mnie korzystne; nawet jeśli nadzieje w danym przypadku są nikłe, nie mogę ich porzucić. Dlatego przeznaczam na proces wszystkie środki, jakie posiadam. Przykładowo wycofałem z mojego interesu wszystkie pieniądze; dawniej moje biura handlowe zajmowały niemal całe piętro, dziś wystarcza mi mały pokój w oficynie, gdzie pracuję z jednym praktykantem. Oczywiście do tego upadku nie przyczyniło się wyłącznie wycofanie pieniędzy, lecz w jeszcze większym nawet stopniu spadek moich sił do pracy. Jeśli człowiek chce coś zrobić dla swojego procesu, na pozostałe sprawy pozostaje niewiele czasu i sił.

— Więc działa pan też w sądzie sam? — zapytał K. — Właśnie chciałbym zasięgnąć języka na ten temat.

— O tym akurat niewiele mogę powiedzieć. Podejmowałem z początku pewne próby, ale szybko z tego zrezygnowałem. To aż nadto wyczerpujące, a pożytku z tego mało. Zarówno działanie, jak i prowadzenie rozmów okazało się, przynajmniej w moim przypadku, zupełnie niemożliwe. Już samo siedzenie i czekanie wiąże się z wielkim wysiłkiem. Pamięta pan przecież to ciężkie powietrze w kancelariach.

— Skąd pan wie, że tam byłem? — zapytał K.

— Siedziałem w poczekalni, kiedy pan tamtędy przechodził.

— Cóż za zbieg okoliczności! — zawołał z przejęciem K., zupełnie zapominając o wcześniejszej śmieszności kupca. — Więc mnie pan widział! Był pan w poczekalni, kiedy tamtędy przechodziłem. Tak, raz tamtędy przeszedłem.

— To nie aż taki wielki zbieg okoliczności — powiedział kupiec. — Jestem tam niemal codziennie.

— Pewnie też się tam będą musiał wybierać częściej. Tylko raczej nie przyjmą mnie już tak szacunkowo jak wtedy. Wszyscy wstawali z miejsc. Chyba myśleli, że jestem jakimś sędzią.

— Nie. Kłanialiśmy się woźnemu. Wiedzieliśmy, że pan jest oskarżonym. Takie wiadomości rozchodzą się bardzo szybko.

— A więc wiedzieliście. W takim razie moje zachowanie mogło wam się wydać nieco wyniosłe. Mówiono o tym potem?

— Nie, wręcz przeciwnie. Ale to tylko głupoty.

— Jakie głupoty? — zapytał K.

— I po co pan pyta? — odparł z irytacją kupiec. — Nie zna pan tych ludzi, mógłby pan ich jeszcze zrozumieć opacznie. Musi pan pamiętać, że w tym postępowaniu wciąż wracają różne kwestie, za którymi rozum nie nadąża; człowiek jest po prostu zbyt wyczerpany i rozkojarzony, a wtedy łatwo zawiera przesądom. Mówię o innych, ale sam

wcale nie jestem lepszy. Takim przesądem jest na przykład zgadywanie wyniku procesu z twarzy oskarżonego, zwłaszcza z linii ust. No więc ci ludzie stwierdzili, że, sądząc po pańskich ustach, wkrótce zostanie pan skazany. Powtarzam, ten przesąd jest wręcz niedorzeczny, w większości wypadków całkowicie obalony przez fakty, ale gdy się przebywa w tym towarzystwie, trudno uwolnić się od takich opinii. Musi pan zważyć, jak silnie zakorzeniony może być taki przesąd. Zagadnął pan tam pewnego mężczyznę, prawda? Ledwie zdołał panu coś odpowiedzieć. Oczywiście jest wiele powodów, by czuć się w tym miejscu skołowanym, lecz jednym z nich był widok pańskich ust. Mężczyzna ten stwierdził potem, że dostrzegł na pańskich ustach nawet znak własnego skazania.

— Na moich ustach? — zapytał K., wyjął lusterko kieszonkowe i przejrzał się w nim.

— Nie widzę w moich ustach niczego szczególnego. A pan?

— Ja też nie — powiedział kupiec. — Absolutnie niczego.

— Ależ oni są przesądni!

— A nie mówiłem?

— I tak ze sobą przestają, wymieniając się poglądami? Do tej pory trzymałem się całkiem na uboczu.

— Na ogół wcale ze sobą nie przestają — odparł kupiec. — To byłoby niemożliwe, tyłu ich przecież jest. No i mają niewiele wspólnych interesów. Kiedy jakaś grupa zaczyna czasem wierzyć, że łączy ją wspólny interes, wkrótce potem okazuje się, że opierała się na błędnym założeniu. Z innymi niczego się nie da osiągnąć przeciwko temu sądowi. Każda sprawa jest tam badana z osobna, to przecież najskrupulatniejszy sąd. Wspólnie nic tam nie można osiągnąć; tylko jednostkom uda się czasem w tajemnicy coś uzyskać; a pozostali dowiadują się o tym dopiero po fakcie i nikt nie wie, jak tego dokonał. Nie ma więc żadnej wspólnoty wśród tych ludzi: owszem, czasem spotyka się kogoś częściej w poczekalniach, ale tam akurat rzadko kiedy się coś omawia. A przesady istnieją od dawien dawna i mnożą się niejako same z siebie.

— Widziałem tych panów w poczekalni — rzekł K. — Ich czekanie wydało mi się tak bezcelowe.

— Czekanie nie jest bezcelowe — odparł kupiec. — Bezcelowe jest jedynie działanie w pojedynkę. Mówiłem panu, że oprócz tego adwokata mam jeszcze pięciu innych. Można by sądzić, mnie samemu też się tak z początku wydawało, że mógłbym teraz całą sprawę zostawić w ich rękach. Byłby to jednak wniosek z gruntu fałszywy. Gdybym miał tylko jednego adwokata, tym mniej zasadne byłoby powierzenie mu całej tej sprawy. Pan chyba tego nie rozumie?

— Nie — odparł K. i by powstrzymać kupca przed zbyt szybkim wyrzucaniem z siebie kolejnego potoku słów, położył uspokajająco rękę na jego dłoni. — Prosiłbym tylko, żeby mówił pan nieco wolniej: wszystkie te sprawy są dla mnie bardzo ważne, a nie mogę za panem nadążyć.

— Dobrze, że pan mi o tym przypomina. Jest pan nowy, młody. Pański proces ma dopiero pół roku, prawda? Owszem, słyszałem o nim. To taki młody proces! Ja roztrząsałem te sprawy niezliczoną ilość razy, dla mnie są czymś najoczywistszym na świecie.

— Zapewne jest pan zadowolony, że pański proces posunął się tak dalece naprzód. — K. nie chciał pytać wprost, jak stoją sprawy kupca.

Nie uzyskał jednak jasnej odpowiedzi.

— Tak, ciągnę swój proces już od pięciu lat — powiedział kupiec i spuścił głowę. — Nie lada osiągnięcie!

Block zamilkł. K. nasłuchiwał, czy nie nadchodzi Leni. Z jednej strony nie chciał, by już przyszła, bo miał do kupca jeszcze sporo pytań, a uważał, że będzie lepiej, jak Leni nie przylapie ich na tak poufnej rozmowie; z drugiej strony był zły, że mimo jego obecności dziewczyna zabawia u mecenasa tak długo, o wiele dłużej, niż wymaga tego podanie zupy.

— Pamiętam dokładnie te czasy — odezwał się ponownie kupiec, a K. natychmiast skupił na nim całą uwagę. — Mój proces trwał już mniej więcej tyle czasu, co pański. Miałem wtedy tylko tego adwokata, ale nie byłem z niego specjalnie zadowolony.

„Teraz się wszystkiego dowiem”, pomyślał K. i z ożywieniem pokiwał głową, jakby mógł tym zachęcić kupca, żeby ten opowiedział mu wszystko, co było dla niego cenne.

— Mój proces nie posuwał się za bardzo do przodu — ciągnął Block. — Owszem, odbywały się przesłuchania, na każde z nich przychodziłem, zbierałem dokumenty, skła-

dałem w sądzie wszystkie księgi handlowe, co, jak się po niewczacie dowiedziałem, wcale nie było konieczne, wciąż bywałem u mecenasa, on wnosił też różne podania...

— Różne podania? — zapytał K.

— Tak, oczywiście.

— To dla mnie bardzo ważne — powiedział K. — W mojej sprawie mecenas wciąż przygotowuje pierwsze. Niczego jeszcze nie zrobił. Teraz widzę, że zaniedbuje mnie w sposób wręcz haniebnym.

— Za tym, że podanie nie jest jeszcze gotowe, mogą stać uzasadnione powody. Zresztą moje podania okazały się pozbawione wszelkiej wartości. Jedno z nich dzięki życzliwości pewnego urzędnika sądowego przeczytałem nawet sam. Sprawiało wprawdzie bardzo uczone wrażenie, lecz było pozbawione treści. Przede wszystkim mnóstwo łaciny, której nie rozumiałem, a także wielostronicowe ogólne inwokacje do sądu, potem pochlebstwa pod adresem poszczególnych urzędników, niewymienionych wprawdzie z nazwiska, ale takich, których nazwiska wtajemniczony z pewnością mógł odgadnąć, dalej pochwały na własną cześć mecenasa, który przy tym płaszczyl się przed sądem wręcz z psią uległością, i wreszcie analiza dawnych przypadków prawnych, które miały być podobne do mojego. Te analizy były, na ile je zdołałem prześledzić, sporządzone z wielką starannością. Nie chcę też przez to wszystko wydawać wyroku o pracy mecenasa; podanie, które czytałem, było tylko jednym z wielu; w każdym jednak razie, i to właśnie chcę powiedzieć, nie mogłem wówczas dostrzec w moim procesie żadnego postępu.

— Jaki postęp chciał pan zobaczyć? — zapytał K.

— Bardzo mądre pytanie — odparł z uśmiechem kupiec. — W tym postępowaniu rzadko kiedy można dostrzec jakikolwiek postęp. Ale wtedy tego jeszcze nie wiedziałem. Jestem kupcem, a wówczas byłem nim jeszcze bardziej niż dziś; chciałem namacalnych sukcesów, całość miała zmierzać ku końcowi albo przynajmniej przyjąć prawidłowy bieg. Tymczasem następowały wyłącznie przesłuchania, przeważnie o tej samej treści; odpowiedzi miałem już przygotowane w głowie niczym litanie; kilka razy w tygodniu gońcy z sądu przychodzili do mojej firmy, do domu czy do innych miejsc, w których mogli mnie zastać, co, rzecz jasna, bardzo mi przeszkadzało, dziś przynajmniej pod tym względem jest lepiej, telefony już tak nie przeszkadzają; wśród moich kontrahentów, lecz zwłaszcza wśród krewnych, zaczęły się szerzyć pogłoski o moim procesie; doznawałem więc szkód ze wszystkich stron, ale nic nie wskazywało na to, by w najbliższym czasie miała szansę odbyć się choćby pierwsza rozprawa. Udałem się więc do mecenasa, by się poskarżyć. Otrzymałem od niego wprawdzie obszernie wyjaśnienia, lecz stanowczo odmówił zrobienia czegokolwiek według moich życzeń: nikt przecież nie ma wpływu na wyznaczenie terminu rozprawy, a naleganie na to w podaniu, jak tego żądałem, byłoby rzeczą wprost niesłychaną i pogrzyłoby i mnie, i jego. Pomyślałem sobie, że jeśli ten adwokat nie chce czy nie może czegoś zrobić, z pewnością zdoła tego dokonać inny. Zacząłem się więc rozglądać za innymi obrońcami. Powiem od razu: żaden nie zażądał ani nie uzyskał wyznaczenia rozprawy głównej; jest to, z pewnym zastrzeżeniem, o którym zaraz powiem, rzeczywiście niemożliwe, pod tym względem mecenas więc nie wprowadził mnie w błąd; poza tym jednak nie było ani jednego powodu, dla którego miałbym żałować swojej decyzji o zwróceniu się także do innych adwokatów. Zapewne słyszał pan od doktora Hulda niejedno na temat adwokatów pokątnych; przypuszczalnie przedstawiał ich panu jako ludzi godnych pogardy, i rzeczywiście tacy są. A gdy o nich rozprawia, przyrównując ich do siebie i swoich kolegów, zawsze popełnia pewien drobny błąd, na który, tak na marginesie, chciałbym zwrócić pańską uwagę. Wtedy bowiem dla rozróżnienia zawsze nazywa adwokatów ze swego kręgu „wielkimi”. I tu się myli, naturalnie każdy może się nazwać „wielkim”, jeśli ma takie życzenie, ale rozstrzygające są jedynie zwyczaje sądowe. A według niego, poza adwokatami pokątnymi są jeszcze adwokaci mali i wielcy. Huld i jego koledzy to jednak jedynie mali adwokaci; ci wielcy natomiast, o których tylko słyszałem, a których nigdy nie widziałem, stoją rangą ponad małymi nieporównanie wyżej, niż ci górują nad adwokatami pokątnymi, wobec których czują taką pogardę.

— Wielcy adwokaci? — zapytał K. — Kim oni są? Jak się do nich dostać?

— A więc nigdy pan o nich nie słyszał — stwierdził kupiec. — Nie ma chyba oskarżonego, który, dowiedziawszy się o nich, nie żywiłby przez pewien czas nadziei, że uda mu się do nich dotrzeć. Lepiej nie ulegać tej pokusie. Kim są ci wielcy adwokaci, tego

nie wiem, chyba też w ogóle nie można się do nich dostać. Nie znam przypadku, o którym dałoby się z pewnością powiedzieć, że podjęli jakiegokolwiek kroki. Niektórych bronią, ale własną wolą nie można ich do tego skłonić: bronią tylko tych, których bronić chcą. Sprawa, której się podejmują, musi prawdopodobnie wyjść poza niski sąd. Zresztą lepiej o nich w ogóle nie myśleć, bo wtedy rozmowy z innymi adwokatami, ich rady i pomoc, a sam tego doświadczyłem, wydają się człowiekowi tak przebrzydłe i nic niewarte, że najchętniej porzuciłby wszystko, położył się do łóżka i nie chciał dłużej o niczym słyszeć. To z kolei byłoby oczywiście najgłupsze; a i w łóżku nie osiągnęłoby się spokoju.

— Więc nie myślał pan wtedy o tych wielkich adwokatach? — zapytał K.

— Przez krótką chwilę — odparł kupiec i znów się uśmiechnął. — Niestety, zupełnie zapomnieć o nich nie sposób; zwłaszcza noc sprzyja takim myślom. Ale wtedy chciałem natychmiastowych rezultatów, dlatego wybrałem się do adwokatów pokątnych.

— Jak tu sobie razem siedzą! — zawołała Leni, wracając z naczyniem, i zatrzymała się w drzwiach.

Siedzieli naprawdę blisko siebie; przy najlżejszym poruszeniu musieli się zderzać głowami. Kupiec, nie dość, że i tak był drobnej postury, to jeszcze się garbił, zmuszając się do rzeczy K., by się głęboko schylał, jeśli chciał wszystko dosłyszeć.

— Jeszcze chwilę — zawołał K. do Leni, zbywając ją niecierpliwym machnięciem ręki, którą dotąd trzymał na dłoni kupca.

— Pan chciał, żebym mu opowiedział o swoim procesie — wyjaśnił kupiec Leni.

— Opowiadaj, opowiadaj — powiedziała z czułością, a jednak protekcjonalnie. K. się to nie spodobało; teraz już wiedział, że człowiek ten miał przecież pewną wartość: przede wszystkim doświadczenie, którym potrafił się dzielić. Leni oceniała go chyba niesłusznie. K. patrzył ze złością, jak dziewczyna bierze od kupca świecę, którą ten przez cały czas trzymał, fartuchem wyciera mu rękę, a potem przykłada obok niego, by zdrapać ze spodni wosk, który nakapał na nie ze świecy.

— Miał mi pan opowiedzieć o adwokatach pokątnych — powiedział K. i bez dalszych wyjaśnień odsunął rękę Leni.

— Cóż ty robisz? — zapytała Leni, szturchnęła K. lekko i kontynuowała swoją pracę.

— Tak, o adwokatach pokątnych — powiedział kupiec i przejechał dłonią po czole, jakby się namyślał.

K. chciał mu pomóc, więc powiedział:

— Chciał pan natychmiastowych rezultatów i dlatego wybrał się pan do adwokatów pokątnych.

— Słusznie — rzekł kupiec, ale nie ciągnął dalej.

„Pewnie nie chce o tym mówić przy Leni”, pomyślał K.; zapanował jednak nad swoim zniecierpliwieniem i choć bardzo pragnął natychmiast usłyszeć ciąg dalszy, postanowił nie naciskać Blocka.

— Zaanonsowałaś mnie? — zwrócił się do Leni.

— Oczywiście. Czeka na ciebie. Zostaw teraz Blocka; z nim możesz porozmawiać później, on i tak tu zostaje.

K. wciąż się wahał.

— Zostaje pan tutaj? — zapytał kupca; chciał odpowiedzi od niego samego, nie chciał, by Leni mówiła o kupcu jak o osobie nieobecnej. K. czuł dziś do Leni jakąś skrytą złość.

I znów odpowiedziała mu Leni:

— On tu często sypia.

— Sypia tutaj? — wykrzyknął K. Myślał, że kupiec zaczeka tu tylko na niego, aż załatwi sprawę z mecenasem, a potem wyjdą stąd razem i porozmawiają o wszystkim ze szczegółami i bez przeszkód.

— Tak — odparła Leni. — Nie każdy może się dostać do mecenasa o dowolnej porze tak jak ty, Josefie. A ty zdajesz się wcale nie dziwić, że mecenas mimo choroby przyjmuje cię o jedenastej w nocy. Przyjmujesz to, co robią dla ciebie twoi przyjaciele, za rzecz nazbyt oczywistą. Cóż, twoi przyjaciele, a przynajmniej tak jest ze mną, robią to chętnie. Nie chcę i nie potrzebuję żadnej innej wdzięczności, jak tylko tego, żebyś mnie kochał.

„Kochać cię?”, pomyślał w pierwszej chwili K., a dopiero potem przyszło mu do głowy: „No tak, ja ją kocham”. Mimo to powiedział na głos:

— Przyjmuje mnie, bo jestem jego klientem. Gdyby do tego jeszcze potrzebna była obca pomoc, trzeba by przy każdym kroku jednocześnie żebrać i dziękować.

— Jakież on dziś okropny, prawda? — zwróciła się z pytaniem do kupca.

„Teraz to mnie traktuje jak nieobecnego”, pomyślał K. i niemal zezłościł się także na kupca, gdy ten, przejmując nieuprzejmy ton Leni, rzekł:

— Mecenasa przyjmuje go także z innych powodów. Mianowicie jego sprawa jest od mojej ciekawsza. Poza tym jego proces jest dopiero w fazie początkowej, a więc zapewne nie jest jeszcze tak zagmatwany; stąd mecenas lubi się nim zajmować. A później to się zmieni.

— Tak, tak — powiedziała Leni, spoglądając na kupca ze śmiechem. — Jak on trajkocze! Jemu za to — zwróciła się do K. — nie możesz wierzyć w żadne słowo. Miły z niego człowiek, ale bardzo rozgadany. Może mecenas właśnie dlatego go nie cierpi. W każdym razie przyjmuje go tylko wtedy, kiedy jest w nastroju. Bardzo się starałam to zmienić, ale to niemożliwe. Pomyśl tylko, czasem anonsuję Blocka, a mecenas przyjmuje go dopiero na trzeci dzień. Jeśli Blocka nie ma wtedy w pobliżu, wszystko przepada i trzeba go anonsować od nowa. Dlatego pozwoliłam Blockowi tu sypiać; już się zdarzyło, że mecenas kazał po niego dzwonić w nocy. Block jest więc obecnie gotów przychodzić do niego nawet w nocy. Ale teraz znowu bywa tak, że mecenas, jak tylko okaże się, że Block jest na miejscu, czasem cofa swe słowa i też go nie przyjmuje.

K. spojrział pytająco na kupca. Ten skinął głową i z taką samą otwartością, z jaką rozmawiał przedtem z K., być może rozproszony własnym zawstydzeniem, rzekł:

— Tak, z czasem człowiek staje się bardzo zależny od swojego adwokata.

— On się skarży tylko dla pozorów. Wyznał mi już nieraz, że bardzo lubi tu sypiać. — Leni podeszła do małych drzwiczek, pchnęła je i zapytała K.: — Chcesz zobaczyć jego sypialnię?

K. poszedł za nią i w progu zajrzał do niskiego pomieszczenia bez okien, nie było tam nic prócz wąskiego łóżka, na które można było wejść jedynie przez jego ramę. Przy wezłowskiu była wnęka w ścianie, na której mieściły się ułożone w pedantycznym porządku świeca, kałamarz z piórem oraz plik papierów, zapewne dokumentów procesowych.

— Sypia pan w służbówce? — zapytał K., obracając się z powrotem do kupca.

— Leni mi ją odstąpiła. To bardzo dogodne.

K. wbił wzrok w Blocka; może jednak wrażenie, jakie odniósł przy pierwszym spotkaniu z nim, nie było mylne. Doświadczenie miał, bo jego proces trwał już długo, ale sporo za nie zapłacił. Nagle K. poczuł, że nie może dłużej znieść jego widoku.

— Zaprowadź go do łóżka — zawołał do Leni.

Dziewczyna spojrziała na K., jakby go już całkiem przestała rozumieć.

Sam chciał już iść do mecenasa, wypowiedzieć mu pełnomocnictwo i uwolnić się nie tylko od niego, ale i od Leni razem z kupcem. Lecz zanim doszedł do drzwi, kupiec odezwał się do niego cichym głosem:

— Panie prokurencie... — K. odwrócił się do niego ze złością. — Zapomniał pan o swoim przyrzeczeniu — powiedział prosząco i podniósł się nieco ze swojego miejsca w stronę K. — Pan też miał mi zdradzić jakiś sekret.

— W rzeczy samej — rzekł K. i zerknął na Leni, która patrzyła na niego z uwagą. — No więc niech mnie pan słucha: właściwie to już prawie żaden sekret. Idę do mecenasa, żeby go zwolnić.

— On go zwolni! — zawołał kupiec, zerwał się z krzesła i zaczął biegać po kuchni z rękami w górze, co chwila wykrzykując: — On zwolni mecenasa!

Leni chciała natychmiast rzucić się na K., ale kupiec zaszedł jej drogę, za co wymierzyła mu cios pięścią. Zaraz potem rzuciła się z wciąż zaciśniętymi pięściami w pogoń za K., który jednak w międzyczasie zdążył jej uciec. Dogoniła go dopiero, gdy wchodził do pokoju adwokata. Z całej siły domykał drzwi, ale Leni zablokowała stopą jedno skrzydło, chwyciła K. za ramię, próbując go wyciągnąć z pokoju adwokata. On jednak ścisnął ją tak mocno za nadgarstek, że z jękiem musiała go puścić. Nie odważyła się natychmiast wejść do pokoju; K. zaś zamknął drzwi na klucz.

— Czekałem na pana bardzo długo — rzekł adwokat z łóżka, po czym odłożył na stolik nocny dokument, który właśnie czytał przy blasku świecy, i założył okulary, przez które spojrział przenikliwym wzrokiem na K.

Zamiast przeprosić, K. odparł:

— Zaraz i tak wychodzę.

Nie reagując na te słowa, gdyż nie były to przeprosiny, adwokat rzekł:

— Następnym razem już pana nie wpuszczę o tak późnej porze.

— Jest mi to na rękę.

Adwokat spojrział na niego pytająco.

— Niech pan siada — powiedział.

— Skoro pan sobie tego życzy.

K. przysunął krzesło do stolika nocnego i zajął na nim miejsce.

— Zdawało mi się, że zamknął pan drzwi na klucz — rzekł adwokat.

— Tak. Z powodu Leni.

Nie miał zamiaru nikogo oszczędzać. Adwokat jednak zapytał:

— Znów się naprzykrzała?

— Naprzykrzała? — powtórzył K.

— Tak — powiedział adwokat, roześmiał się przy tym, dostał napadu kaszlu, a kiedy ten minął, znów zaczął się śmiać. — Nie zauważył pan, że ma w tym upodobanie? — spytał i poklepał K. po ręce, którą K. w roztargnieniu oparł na stoliku nocnym, a którą teraz szybko cofnął. Jako że K. nie odpowiadał, adwokat ciągnął: — Nie przywiązuje pan do tego większej wagi. Tym lepiej. W przeciwnym razie być może musiałbym pana przeprosić za jej zachowanie. To osobliwa skłonność Leni, którą zresztą dawno jej wybaczyłem, a o której nawet bym nie wspomniał, gdyby nie to, że zamknął pan przed chwilą drzwi na klucz. Panu akurat tej osobliwej skłonności tłumaczyć raczej nie powinienem, ale patrzy pan na mnie z taką konsternacją, że jednak to zrobię. Otóż ta osobliwa skłonność Leni polega na tym, że uważa większość oskarżonych za pięknych. Lgnie do każdego, wszystkich kocha, zdaje się zresztą, że wszyscy oni i ją kochają; a żeby mnie zabawić, opowiada mi o tym czasami, jeśli jej na to pozwolę. I chyba nie dziwi mnie to tak bardzo jak pana. Jeśli potrafi się na to spojrzeć we właściwy sposób, oskarżonych rzeczywiście często można uznać za pięknych. To zresztą dziwne zjawisko, w pewnym sensie natury przyrodniczej. Oczywiście nie następuje na skutek oskarżenia żadna wyraźna, dająca się dokładnie zdefiniować zmiana w wyglądzie. Ta sprawa nie przebiega przecież jak inne sprawy sądowe: większość oskarżonych wciąż prowadzi zwykle życie i jeśli ma dobrego, dbającego o nich adwokata, proces w niczym im nie przeszkadza. A jednak ci, którzy mają w tym doświadczenie, potrafią w największym nawet tłumie rozpoznać, jednego po drugim, wszystkich oskarżonych. Zapyta pan, po czym. Moja odpowiedź pana nie zadowoli: oskarżeni są po prostu najpiękniejsi. Nie może być tak, że to wina czyni ich pięknymi, bo nie wszyscy są przecież winni — tak przynajmniej muszę twierdzić jako adwokat; nie może to być też odpowiednia kara, która już teraz czyni ich pięknymi, gdyż nie wszyscy wszak zostaną ukarani; a więc może to wynikać wyłącznie z postępowania, które przeciw nim wszczęto i jakoś do nich przylgnęło. Owszem, wśród pięknych są też wyjątkowo piękni. Jednak wszyscy są po prostu piękni, nawet Block, ten nędzny robak.

Gdy adwokat skończył, K. zdążył się całkiem opanować; podczas ostatnich słów nawet energicznie potakiwał, utwierdzając się w swoim wcześniejszym przekonaniu, że adwokat zawsze, także tym razem, próbuje go rozpraszać ogólnikami, niemającymi nic wspólnego z jego sprawą, aby odwieść go od zasadniczego pytania: co faktycznie przedsięwziął w sprawie K. Adwokat widocznie spostrzegł, że K. stawia mu dziś większy opór niż zwykle, bo zamilkł teraz, dając mu sposobność, żeby się odezwał, a gdy K. wciąż milczał, zapytał:

— Przyszedł pan dziś do mnie z czymś konkretnym?

— Tak — odparł K. i nieco przysłonił dłonią świecę, żeby lepiej widzieć adwokata.

— Chciałem panu powiedzieć, że z dniem dzisiejszym cofam panu pełnomocnictwo.

— Dobrze pana rozumiem? — zapytał adwokat, podnosząc się na łóżku i podpierając jedną ręką o poduszki.

— Sądzę, że tak — powiedział K., siedząc sztywno jak na czatach.

— Cóż, możemy porozmawiać o tym planie — rzekł po chwili adwokat.

— To już nie jest plan.

— Być może. Może jednak nie działajmy zbyt pochopnie. — Mówił za nich obu, jakby nie miał zamiaru zwrócić K. wolności i jakby chciał, skoro nie mógł być już jego pełnomocnikiem, przynajmniej pozostać jego doradcą.

— To nie jest decyzja pochopna. — K. podniósł się powoli i stanął za swoim krzesłem. — To decyzja gruntownie przemyślana, być może nawet zbyt długo ją roztrząsałem. Jest ostateczna.

— W takim razie proszę mi jeszcze pozwolić na kilka słów.

Adwokat odsunął pierzynę i usiadł na krawędzi łóżka. Jego nagie, pokryte białym owłosieniem nogi trzęsły się z zimna. Poprosił K., żeby podał mu z kanapy koc, co K. zrobił i rzekł:

— Niepotrzebnie się pan naraża na wyziębienie.

— Mam ku temu wystarczająco ważki powód — odparł adwokat; przykrył pierzyną górną część ciała, a następnie owinął kocem nogi. — Pański wuj jest moim przyjacielem, a i pan z czasem stał mi się drogi. Przyznaję to otwarcie. Nie mam się czego wstydzić.

To rzewne wyznanie starca było nie po myśli K., zmuszało go do obszerniejszych wyjaśnień, których najchętniej by uniknął, a przy tym zbiło go z tropu, co szczerze przed sobą przyznawał, choć przecież i tak nie zdołałoby go skłonić do cofnięcia decyzji.

— Dziękuję za okazaną przychylność — powiedział. — Przyznaję również, że zajął się pan moją sprawą tak, jak mógł pan najlepiej, i jak w pańskim mniemaniu było dla mnie najkorzystniejsze. Ja jednak w ostatnim czasie doszedłem do przekonania, że to nie wystarcza. Oczywiście nigdy nie będę próbował przekonywać pana, mężczyzny o wiele starszego i bardziej doświadczonego, do mojego zdania; jeśli czasem mimowolnie próbowałem to zrobić, proszę o wybaczenie. Sprawa jest jednak, jak sam pan stwierdził, dość ważna i wedle mojego przekonania należy zaangażować się w proces znacznie energiczniej niż do tej pory.

— Rozumiem — stwierdził adwokat. — Jest pan niecierpliwy.

— Nie jestem niecierpliwy — odparł nieco rozdrażnionym głosem K., nie zważając aż tak bardzo na dobór słów. — Podczas mojej pierwszej wizyty, kiedy przyszedłem do pana z wujem, mógł pan zauważyć, że proces niewiele dla mnie znaczył; jeśli nie przypomniano mi o nim niejako gwałtem, zapomniałem o nim całkowicie. Ale wuj nalegał, żebym powierzył prowadzenie sprawy panu, co uczyniłem, żeby sprawić mu przyjemność. I należało przecież oczekiwać, że proces stanie się dla mnie łatwiejszy niż do tamtej pory: wszak powierza się adwokatowi prowadzenie sprawy właśnie po to, by choć trochę odciążyć samego siebie. A jednak stało się całkiem odwrotnie. Nigdy wcześniej nie miałem tyłu zmartwień z powodu procesu, jak od chwili, kiedy zaczął mnie pan reprezentować. Kiedy byłem sam, niczego w swojej sprawie nie podejmowałem, ale prawie nie czulem jej skutków; gdy już natomiast miałem pełnomocnika i wszystko sprzyjało temu, by coś się w niej wydarzyło, bezustannie i w coraz większym napięciu oczekiwałem na pańskie działania, jednak one nie następowały. Owszem, przekazywał mi pan różne wieści z sądu, których być może od nikogo innego bym nie otrzymał. To jednak nie wystarcza, odkąd coraz dotkliwiej odczuwam skutki procesu.

K. odepchnął od siebie krzesło, włożył ręce do kieszeni marynarki i wyprostował się.

— Od pewnego momentu w postępowaniu z reguły nie dzieje się już w istocie nic nowego — powiedział adwokat cichym i spokojnym głosem. — Iluż klientów w podobnych fazach procesów stawało przede mną tak jak pan i wypowiadało podobne słowa!

— W takim razie wszyscy oni mieli rację tak jak ja teraz. Pańskie słowa wcale jej nie podważają.

— Nie miałem zamiaru niczego podważać — rzekł adwokat. — Chciałem jednak dodać, że spodziewałem się po panu lepszej umiejętności osądu sytuacji niż po innych, zwłaszcza że dałem panu głębszy wgląd w sprawy sądowe i w moje działania, niż zazwyczaj dają klientom. A teraz dowiaduję się, że mimo to nie ma pan do mnie dość zaufania. Nie ułatwia mi pan sprawy.

Jakże się ten adwokat upokarza przed K.! Wcale nie zważa na honor zawodowy, który zapewne właśnie w tym punkcie bywa najwrażliwszy. I czemuż to robi? Z pozorów to przecież wzięty adwokat, a do tego człowiek zamożny; nie powinna go w gruncie rzeczy obchodzić utrata zarobku czy klienta. Ponadto był schorowany, więc powinien raczej zadbać o to, by pracy mu ubywało. A jednak tak mocno trzymał się K.! Dlaczego? Czy

to jego osobiste zaangażowanie w sprawę było podyktowane życzliwością przez wzgląd na wuja, czy też uważał proces K. rzeczywiście za tak nadzwyczajny i liczył, że sprawa ta przyniesie mu uznanie, czy to w oczach K., czy to — tej możliwości nie można było wykluczyć — w oczach przyjaciół z sądu? Choć K. przyglądał się adwokatowi z bezwzględną przenikliwością, nie zdołał po nim niczego rozpoznać. Niemal można by sądzić, że z tą kamienną twarzą umyślnie wyczekuje wrażenia, jakie jego wywód wywarł na K. Najwidoczniej jednak nazbyt korzystnie dla siebie zinterpretował milczenie K., skoro kontynuował:

— Zapewne pan już zauważył, że choć mam sporą kancelarię, nie zatrudniam żadnych pomocników. Kiedyś było inaczej; pracowało dla mnie kilku młodych prawników, dziś pracuję sam. Ta zmiana po części wiązała się ze zmianą mojej praktyki adwokackiej, z czasem coraz bardziej ograniczałem się do spraw tego rodzaju co pańska, po części zaś miałem w nich coraz większą biegłość. Uznałem, że nie wolno mi nikomu powierzać tej pracy, jeśli nie chcę niczym zawinić wobec mojego klienta lub wobec zadania, którego się podejmuję. A postanowienie, by wykonywać całą pracę samemu, pociągało za sobą oczywiste skutki: musiałem odrzucać niemal wszystkie prośby o zastępstwa procesowe, ustępowałem jedynie w takich przypadkach, które mnie szczególnie pociągały; wokół jest dość hien, które rzucają się na każdy ochłap, który odrzucam. Poza tym z tego przepracowania zacząłem chorować. A jednak nie żałuję tej decyzji. Możliwe, że powinienem był odrzucić jeszcze więcej spraw, lecz to, że całkowicie oddałem się przyjętym procesom, okazało się bezwzględnie konieczne, a ponadto zostało nagrodzone sukcesami. Kiedyś znalazłem w pewnej rozprawie bardzo trafne ujęcie różnic między zastępstwem w zwykłych sprawach prawnych i w sprawach tego rodzaju. Stało tam napisane, że jeden adwokat prowadzi swojego klienta po nitce aż do wyroku, drugi zaś od razu bierze klienta na ramiona i niesie go, nie stawiając ani razu na ziemi, aż po sam wyrok, a może nawet jeszcze dalej. I tak właśnie jest. Nie całkiem jednak było prawdą, gdy powiedziałem, że tej wielkiej pracy nigdy nie żałuję. Jeśli, jak w pańskim wypadku, moja praca spotyka się z tak zupełnym brakiem uznania, wtedy... cóż, wtedy niemal jej żałuję.

Słuchając adwokata, K. raczej tracił cierpliwość, niż nabierał przekonania. Niemal domyślał się już z samego tonu, co go czeka, jeśli mu ustąpi: zacznie go znowu mamić obietnicami, wskazywać na postępy w sporządzaniu podania, na wyraźnie lepszy humor urzędników, ale też na piętrzące się trudności stające na przeszkodzie jego pracy; krótko mówiąc: adwokat przytoczy wszystkie argumenty tak dobrze znane K., że miał ich serdecznie dość; będzie wciąż zwodził K. nieokreślonymi nadziejami i dręczył go podobnymi groźbami. Musiał temu wreszcie położyć kres, dlatego rzekł:

— Jakie kroki zamierza pan podjąć w mojej sprawie, jeśli zachowa pan pełnomocnictwo?

Adwokat uczynił zadość nawet temu obraźliwemu pytaniu i odpowiedział:

— Kontynuować to, co już dla pana poczyniłem.

— Wiedziałem. W takim razie każde moje kolejne słowo jest zbyteczne.

— Spróbuję raz jeszcze — powiedział adwokat, jak gdyby to jemu przytrafiło się wszystko, co tak wzburzało K. — Domyślam się mianowicie, że do błędnego osądu mojej pomocy prawnej, ale i do pańskiego postępowania w ogóle, skłania pana to, iż choć jest pan oskarżony, traktuje się pana zbyt dobrze, a mówiąc ściślej, z pewną niedbałością, pozorną niedbałością. I to ostatnie ma swoją przyczynę; często lepiej być w kajdanach niż na wolności. Chciałbym jednak pokazać panu, jak traktuje się innych oskarżonych; może zdoła pan wyciągnąć z tego naukę. Wezwę teraz Blocka. Proszę otworzyć drzwi i usiąść tutaj, obok stolika nocnego.

— Dobrze. — K. zgodził się na wszystko, jako że z natury był chętny do nauki. Dla bezpieczeństwa dopytał jeszcze na wszelki wypadek: — Przyjął pan do wiadomości, że cofam panu pełnomocnictwo?

— Tak, może pan to jednak jeszcze dziś odwołać — odparł adwokat, po czym położył się, naciągnął pierzynę pod brodę i odwrócił się do ściany. Potem zadzwonił.

Niemal równocześnie z brzękiem dzwonka ukazała się Leni; przebiegła wzrokiem po obecnych, próbując się zorientować, co zaszło. Widok K. siedzącego spokojnie przy łóżku adwokata wyraźnie ją uspokoił. Skinęła z uśmiechem do K., który wpatrywał się w nią nieruchomym wzrokiem.

Sąd, Opieka

— Sprowadź tu Blocka — polecił adwokat.

Zamiast jednak po niego pójść, wyszła tylko przed drzwi i zawołała:

— Block! Do mecenasa!

Zaraz potem czmychnęła za fotel K., zapewne z tego powodu, że adwokat odwrócił się twarzą do ściany i nic go już nie interesowało. Od tej chwili rozpraszała K., nachylając się ku niemu nad oparciem czy też przeczesując dłońmi, bardzo delikatnie i ostrożnie, jego włosy i głaszcząc go po policzkach. W końcu K. postanowił ją powstrzymać i złapał ją za rękę, którą po krótkim oporze pozostawiła w jego uścisku.

Block natychmiast stawiał się na wezwanie, lecz zatrzymał się w drzwiach, jakby się wahał, czy wejść do środka. Uniósł wysoko brwi i przechylił głowę; jakby nasłuchiwał, czy rozkaz stawienia się u adwokata zostanie ponowiony. K. mógł go zachęcić do wejścia, postanowił jednak ostatecznie odciąć się nie tylko od adwokata, lecz od wszystkiego, co było w tym mieszkaniu, dlatego trwał bez ruchu. Leni także milczała. Upewniwszy się, że nikt go nie wypędzi, Block wszedł na palcach do pokoju — z napiętą twarzą, z zacisniętymi dłońmi, które trzymał za plecami. Drzwi zostawił otwarte na wypadek konieczności odwrotu. Na K. nie spojrzał wcale; patrzył tylko na wysoką pierzynę, spod której adwokata wcale nie było widać, gdyż leżał przy samej ścianie. Wtem rozległ się jego głos:

— Block tu jest?

Dla Blocka, który zaszedł już daleko, pytanie to było jak cios w pierś, a zaraz potem w plecy; zachwiał się, po czym mocno skulił w sobie.

— Do usług — rzekł.

— Czego chcesz? — rzucił adwokat. — Przychodzisz nie w porę.

— A nie wzywano mnie? — zapytał Block, bardziej do siebie niż do adwokata; uniósł rękę, jakby chciał się bronić, i był gotów do natychmiastowej ucieczki.

— Wzywano — odparł adwokat. — Ale i tak przychodzisz nie w porę. — Po krótkiej przerwie dodał: — Zawsze przychodzisz nie w porę.

Już przy pierwszych słowach adwokata Block przestał spoglądać w stronę łóżka; wbił wzrok gdzieś w kąt i tylko nasłuchiwał, jakby nawet ukradkowe spojrzenie mówiącego mogło go zbyt oślepić, by zdołał je znieść. Zresztą i słuchanie przychodziło mu z trudnością, bo adwokat mówił cicho i szybko z twarzą skierowaną do ściany.

— Chce pan, żebym sobie poszedł? — zapytał Block.

— Zostań, skoro już tu jesteś! — Można by pomyśleć, że adwokat wcale nie spełnił tymi słowami życzenia Blocka, lecz zagroził mu chłostą, gdyż Block w reakcji na nie zaczął dygotać. — Byłem wczoraj — ciągnął adwokat — u trzeciego sędziego, mojego przyjaciela, i krok po kroku skierowałem rozmowę na ciebie. Chcesz wiedzieć, co powie-dział?

— Ach, tak, bardzo proszę.

Ponieważ adwokat nie odpowiadał od razu, Block ponowił prośbę i nachylił się, jakby zamierzał za chwilę uklęknąć. Zaraz potem K. naskoczył na niego:

— Co ty robisz?!

A że Leni chciała go przed tym okrzykiem powstrzymać, złapał jej drugą rękę. Nie był to uścisk miłości; kobieta próbowała z jękiem wyswobodzić swoją dłoń.

Za okrzyk K. ukarany został jednak Block, bo adwokat zadał mu pytanie:

— Kto jest twoim adwokatem?

— Pan — odparł Block.

— A poza mną?

— Nikt poza panem.

— W takim razie za nikim innym nie chodź — rzekł adwokat.

Block przyjął to polecenie bez zastrzeżeń; lecz w stronę K. rzucił złowrogie spojrzenie, potrząsając ze wzburzeniem głową. Gdyby przełożyć jego zachowanie na słowa, byłyby to wulgarne obelgi. I z tym człowiekiem K. chciał w przyjaźni rozmawiać o własnej sprawie!

— Nie będę cię więc dłużej powstrzymywał — oświadczył K., rozsiadając się wygodniej w fotelu. — Klękaj albo czołgaj się na czworakach, rób, co chcesz; mnie to nie dotyczy.

Ale Block zachował swój honor, przynajmniej przed K.; wymachując pięściami, poszedł do niego i zawołał tak głośno, jak tylko ośmielił się przy mecenasie:

— Nie może się pan tak do mnie odzywać, to niedopuszczalne! Czemu mnie pan obraża? I to w tym miejscu, przy mecenasie, który nas obu, i pana, i mnie, toleruje wyłącznie z litości! Wcale nie jest pan ode mnie lepszy; jest pan oskarżonym i ma proces jak i ja. Jeśli jednak mimo to można pana nazywać „panem”, to ja jestem takim samym panem, o ile nie większym. I chcę, by zwracał się pan, właśnie pan, do mnie jak do pana. A jeśli uważa się pan za uprzywilejowanego dlatego, że może pan tu siedzieć i spokojnie słuchać, podczas gdy ja, jak się pan wyraził, czółgam się na czworakach, to przypominam panu starą sentencję prawną: dla podejrzanego ruch jest lepszy niż spoczynek, bo ten, kto spoczywa, może zawsze bez swojej wiedzy znaleźć się na jednej szali i zostać zważony razem ze swoimi grzechami.

K. nic nie powiedział; tylko wbił ze zdumieniem wzrok w tego skołowanego człowieka. Cóż za zmiany zaszły w nim choćby w ciągu ostatniej godziny! Czy to proces nim tak targał na wszystkie strony, że nie potrafi już rozpoznać, kto przyjaciel, a kto wróg? Czyż nie widzi, że adwokat umyślnie go upokarza, tym razem mając na celu jedynie popisanie się swoją władzą przed K., żeby i jego zniewolić? Jeśli jednak Block nie potrafi tego dostrzec albo tak bardzo boi się adwokata, że świadomość tego nie jest w stanie mu pomóc — jak to możliwe, że potrafił być tak sprytny czy też tak zuchwały, by oszukać adwokata, zatajając przed nim zatrudnienie pozostałych adwokatów? I z jakiej racji ośmielał się teraz atakować K., skoro ten może w każdej chwili zdradzić jego tajemnicę? Block odważył się jednak na jeszcze więcej: podszedł do łóżka adwokata i zaczął się skarżyć na K.:

— Słyszał mecenas, jak się do mnie odzywa? Jego proces liczy się zaledwie w godzinach, a chce mnie pouczać, choć mój liczy sobie pięć lat. I jeszcze mi wymyśla! O niczym nie ma pojęcia, a mnie znieważa, choć to ja na tyle, na ile pozwalały mi moje słabe siły, przestudiowałem najdokładniej, czego wymagają przyzwoitość, obowiązek i obyczaj sądowy.

— Nie oglądaj się na innych — odparł adwokat. — Rób, co tobie wydaje się słuszne.

— Oczywiście — powiedział Block, jakby dodając sobie odwagi, rozejrzał się krótko i uklęknął tuż przy łóżku. — Już klęczę, mój mecenasie — dodał.

Adwokat milczał. Block ostrożnie pogładził ręką pierzynę. W ciszy, która teraz zapadła, Leni, uwolniwszy się z uścisku K., rzekła:

— Sprawiasz mi ból. Puść mnie. Idę do Blocka.

Poszła i przysiadła na krawędzi łóżka. Kupiec bardzo się z tego ucieszył; od razu zaczął ją ożywionymi gestami prosić, by się za nim wstawiła. Widocznie pilnie potrzebował informacji od adwokata, choć być może tylko po to, by je potem przekazać do wykorzystania pozostałym obrońcom. Leni dokładnie wiedziała, jak podejść mecenasa: wskazała na jego rękę i ściągnęła wargi jak do pocałunku. Block natychmiast ucałował dłoń adwokata, a na ponaglenie Leni powtórzył to jeszcze dwa razy. Jednak mecenas wciąż milczał. Wtedy Leni pochyliła się nisko, wyciągając nad nim swoje powabne ciało, i pogłaskała go po długich białych włosach, czym w końcu wymogła na nim odpowiedź:

— Waham się, czy mu to powiedzieć. — Można było dostrzec, że adwokat przy tych słowach kręci głową; być może jedynie po to, by mocniej poczuć dotyk ręki Leni.

Block nasłuchiwał z pochyłoną głową, jakby przez samo słuchanie naruszał jakiś nakaz.

— Czemu się wahasz? — zapytała Leni.

K. odniósł wrażenie, jakby przysłuchiwał się wyuczonej rozmowie, która już nieraz się powtarzała, miała się jeszcze nieraz powtórzyć i tylko dla Blocka nie przestawała być nowa.

— Jakie dziś było jego sprawowanie? — zapytał adwokat.

Zanim Leni odpowiedziała, spuściła wzrok na Blocka i przez chwilę obserwowała, jak składa obie dłonie i unosi je ku niej w błagalnym geście. W końcu z powagą skinęła głową, odwróciła się do adwokata i powiedziała:

— Był spokojny i się przykładał.

Stary kupiec, człowiek z długą brodą, błagał młodą dziewczynę, by świadczyła na jego korzyść. Nawet jeśli miał ukryte zamiary, w oczach bliźnich nic nie mogło go usprawiedliwić. Swoimi czynami niemal poniżał tych, którzy byli ich świadkami. Takim więc sposobem adwokat próbował przekonać do siebie K.: klient w końcu zapomina o całym świecie, zmierzając tą szaleńczą drogą, w nadziei na doczłoganie się do końca procesu; na szczęście K. nie był zbyt długo wystawiony na działanie tej metody. To już nie był klient;

to był zwykły pies. Gdyby adwokat kazał mu wleźć pod łóżko niczym do budy i tam szczekać, ten uczyniłby to z zapalem. K. przysłuchiwał się temu wszystkiemu z wnikliwością i rozwagą, jakby miał chłonąć wszystko, co tu mówiono, a potem gdzieś wyżej złożyć na ten temat doniesienie i raport.

— Co porabiał przez cały dzień? — zapytał adwokat.

— Żeby mi nie przeszkadzał w pracy, zamknęłam go w służbówce, gdzie zresztą i tak zazwyczaj przebywa. Zerkalam przez szparę, żeby sprawdzić, co robi. Cały czas klęczał na łóżku, rozłożył na parapecie dokumenty, które mu pożyczyłeś, i je czytał. Wywarł tym na mnie dobre wrażenie; okno bowiem wychodzi tylko na szyb wentylacyjny i daje bardzo mało światła. A mimo to czytał, co świadczy o jego posłuszeństwie.

— Miło mi to słyszeć — odparł adwokat. — Tylko czy czytał ze zrozumieniem?

Block podczas tej rozmowy bezustannie poruszał wargami; najwyraźniej formułował odpowiedzi, jakich spodziewał się po Leni.

— Tego oczywiście nie mogę stwierdzić z całą pewnością. W każdym razie widziałam, że czytał dokładnie. Przez cały dzień czytał tę samą stronę, przesuwając palcem po wierszach. Za każdym razem, kiedy do niego zaglądałam, wzdychał, jakby czytanie przysparzało mu sporo trudności. Chyba niełatwo zrozumieć treść dokumentów, które mu pożyczyłeś.

— Tak — przyznał adwokat. — Tak właśnie jest. I nie sądzę, żeby cokolwiek z nich zrozumiał. Miały mu jedynie dać wyobrażenie o tym, jak ciężką walkę prowadzę w jego obronie. A dla kogo prowadzę tę ciężką walkę? Dla, to niemal niedorzeczność, Blocka. Powinien też zrozumieć, co to oznacza. Czy studiował bez przerwy?

— Niemal bez przerwy — odparła Leni. — Tylko raz poprosił mnie o wodę. Podałam mu szklankę przez okienko. O ósmej go wypuściłam i dałam mu coś do jedzenia.

Block spojrział ukradkiem na K. w taki sposób, jakby opowiadano o nim rzeczy chwalebne, które powinny zrobić wrażenie nawet na K. Wyglądał teraz, jakby był dobrej myśli; poruszał się swobodniej i przesunął na kolanach to w jedną, to w drugą stronę. Tym wyraźniej jednak można było zobaczyć, jak zastygł na kolejne słowa adwokata:

— Chwalisz go, a tym samym wszystko utrudniasz. Sędzia wypowiadał się bowiem nieprzychylnie i o Blocku, i o jego procesie.

— Nieprzychylnie? — powtórzyła Leni. — Jak to?

Block patrzył na nią z takim napięciem, jakby przypisywał jej zdolność obrócenia na jego korzyść nawet tych dawno wypowiedzianych słów sędziego.

— Nieprzychylnie — powtórzył adwokat. — Poczul się nawet urażony, kiedy zacząłem mówić o Blocku. „Niech pan nie mówi o Blocku”, powiedział. „To mój klient”, odparłem. „Pozwala się pan wykorzystywać”, stwierdził. „Nie uważam jego sprawy za przegraną”, odparłem. „Pozwala się pan wykorzystywać”, powtórzył. „Nie sądzę” — odrzekłem. „Block przykłada się do swojego procesu, cały czas pilnuje swojej sprawy. Niemal u mnie zamieszkał, żeby być na bieżąco. Takiego zapалу nie spotyka się wszędzie. Owszem, nie jest przyjemny w obyciu, ma złe maniery i jest niechlujny, ale w tym, co się tyczy procesu, jest bez zarzutu”. Powiedziałem „bez zarzutu”, umyślnie przesadzając, na co sędzia odparł: „Block jest po prostu sprytny. Zdobył spore doświadczenie i nauczył się przewlekać proces. Ale jego niewiedza jest jeszcze większa niż jego spryt. Jak by zareagował, gdyby się dowiedział, że jego proces nawet się jeszcze nie zaczął, gdyby mu powiedzieć, że nie dano nawet dzwonkiem znaku na rozpoczęcie procesu?”. Spokojnie, Block — rzekł adwokat, bo kupiec właśnie próbował się podnieść na niepewnych kolanach, najwyraźniej chcąc prosić o wyjaśnienie.

Był to pierwszy raz, kiedy adwokat zwracał się do Blocka wprost, i to nie wyłącznie jednym zdaniem. Zmęczonymi oczami patrzył w dół, trochę bez celu, trochę na Blocka, który pod jego spojrzeniem znów powoli opadł na kolana.

— Ta wypowiedź sędziego nie ma dla ciebie żadnego znaczenia — ciągnął adwokat. — Nie lękaj się tak przy każdym słowie. Jeśli to się powtórzy, nic więcej ci nie zdradzę. Nie mogę zacząć żadnego zdania, żebyś na mnie nie patrzył, jakby za chwilę miał zapaść twój ostateczny wyrok. Wstydzilibyś się tak zachowywać w obecności mojego klienta! Podkopujesz jego zaufanie do mnie. Czego jeszcze chcesz? Przecież wciąż żyjesz i jesteś pod moją ochroną. Bezsensowne lęki! Gdzieś wyczytałeś, że wyrok ostateczny w niektórych wypadkach przychodzi niespodziewanie, z dowolnych ust, o dowolnej porze. Przy

Sąd, Kara

wielu zastrzeżeniach to w istocie prawda; lecz tak samo prawdą jest, że twój lęk mnie odstręcza i że widzę w nim brak koniecznego zaufania. Bo cóż takiego powiedziałem? Przytoczyłem jedynie wypowiedź sędziego. Wiesz przecież, że wokół postępowania tworzy się taka mnogość poglądów, że nie sposób przez nie przebrnąć. Dla tego sędziego na przykład postępowanie zaczęło się w innym momencie niż dla mnie. Ot, różnica zdań, nic więcej. Początek pewnego stadium procesu zgodnie ze starym obyczajem obwieszcza się dzwonkiem. Zdaniem owego sędziego proces właśnie wtedy się zaczyna. Nie mogę ci teraz przytoczyć wszystkiego, co temu przeczy; i tak byś tego nie zrozumiał. Niech ci wystarczy moje zapewnienie, że przeczy temu niejedno.

Skonfundowany Block przeczesał palcami włosie dywanika przy łóżku; lęk wywołany orzeczeniem sędziego sprawił, że chwilami zapominał o swej poddańczej postawie wobec adwokata, myślał wtedy wyłącznie o sobie, obracając słowa sędziego na wszystkie strony.

— Block! — ostrzegła go Leni, podciągając go za kołnierz marynarki w górę. — Zostaw ten dywanik i skup się na słowach mecenasa.

K. nie pojmował, jak adwokat mógł uznać, że go sobie tą sceną zjedna. Gdyby nie zwolnił go wcześniej, zrobiłby to teraz pod jej wpływem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W katedrze

K. otrzymał polecenie, by pewnemu włoskiemu, bardzo ważnemu kontrahentowi banku, który po raz pierwszy zawitał do miasta, pokazać parę zabytków. W innych okolicznościach K. z pewnością uznałby to polecenie za zaszczyt, teraz jednak, gdy z wielkim trudem udawało mu się zachowywać swoją renomę w pracy, przyjął je z niechęcią. Martwiła go każda godzina nieobecności w banku; wprawdzie i tak nie potrafił wykorzystywać czasu choćby w przybliżeniu tak owocnie jak dawniej, nieraz bowiem całymi godzinami udawał w dość nieudolny sposób, że pracuje, ale jeszcze bardziej zamartwiał się, kiedy w ogóle nie był w biurze. Wydawało mu się wówczas, że widzi, jak wicedyrektor, który przecież zawsze stał na czatach, od czasu do czasu zagląda do jego gabinetu, siada przy jego biurku, przegląda dokumenty, przyjmuje i odbiera mu klientów, z którymi K. od lat był niemal zaprzyjaźniony, a może nawet wykrywa błędy, których K. podczas pracy obawiał się teraz na każdym kroku i których nie potrafił uniknąć.

Jeżeli więc delegowano go, choćby pod pozorem szczególnego wyróżnienia, na rozmowę czy w krótką podróż służbową — a takie polecenia w ostatnim czasie jakimś zbiegiem okoliczności bardzo się mnożyły — to za każdym razem nasuwało mu się podejrzenie, że chcą się go na chwilę pozbyć z biura i skontrolować jego pracę, albo przynajmniej że uważają go w biurze za kogoś, kogo łatwo zastąpić. Zwykle mógłby bez trudu odmówić, lecz nie śmiał tego zrobić, bo jeśli jego obawy były choć trochę uzasadnione, odmowa oznaczałaby przyznanie się do strachu. Dlatego przyjmował te zadania z pozorną obojętnością i nawet wtedy, gdy miał odbyć męczącą, dwudniową podróż służbową, zataił poważne przeziębienie — byle tylko nie narazić się na ryzyko, że zatrzymają go w domu, powołując się na jesienną, deszczową pogodę. Kiedy wrócił z tej podróży z wściekłym bólem głowy, dowiedział się, że nazajutrz ma towarzyszyć owemu włoskiemu kontrahentowi banku. Pokusa, by odmówić choć ten jeden raz, była wielka; przede wszystkim wyznaczone zadanie nie było bezpośrednio związane z interesami banku. Spełnienie tej towarzyskiej powinności wobec kontrahenta samo w sobie wprawdzie było bez wątpienia dość ważne, lecz nie dla K., który dobrze wiedział, że może się utrzymać w pracy jedynie dzięki sukcesom odniesionym w banku, w przeciwnym razie nawet gdyby zdołał tego Włocha zupełnie niespodziewanie oczarować, na niewiele by mu się to zdało. Nie chciał choćby na jeden dzień zostać odsunięty od pracy, bo miał w sobie głęboki lęk, że nie dopuszczą go do niej z powrotem; i choć doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że to lęk przesadny, jednak go paraliżował.

W tym wypadku jednak niemal nie sposób było znaleźć łatwej do przyjęcia wymówki: znajomość włoskiego u K. nie była wprawdzie wielka, ale mimo wszystko wystarczająca; rozstrzygające zaś było to, że K. kiedyś zdobył pewną wiedzę z dziedziny sztuki, co w banku

zyskało nader przesadny rozgłos, gdyż K. przez pewien czas — zresztą również wyłącznie z powodów służbowych — należał do miejscowego Stowarzyszenia Ochrony Zabytków. A Włoch, jak nosił pogłoski, był miłośnikiem sztuki, wybór K. na jego towarzysza był więc oczywisty.

K., zły na dzień, który go czekał, zjawił się w biurze tego bardzo deszczowego, burzliwego poranka już o siódmej, żeby przynajmniej część pracy doprowadzić do końca, zanim wizyta całkiem mu to uniemożliwi. Był bardzo zmęczony, gdyż pół nocy studiował włoską gramatykę, by choć trochę przygotować się do spotkania; okno, przy którym w ostatnim czasie zbyt często miał zwyczaj przesiadywać, kusiło go bardziej niż biurko, ale oparł się tej pokusie i zabrał do pracy. Niestety niemal w tej samej chwili wszedł woźny i powiadomił go, że pan dyrektor kazał mu sprawdzić, czy pan prokurent jest już w biurze; a jeśli tak, to czy byłby tak łaskaw przejść do sali spotkań, gdyż gość z Włoch już przyszedł.

— Już idę — rzekł K., wsunął do kieszeni mały słownik, wziął pod pachę album z zabytkami miasta, który przygotował dla cudzoziemca, i udał się do gabinetu dyrektora przez biuro jego zastępcy. Był zadowolony, że przyszedł tak wcześnie i że od razu mógł się stawić, czego zapewne nikt się po nim nie spodziewał. Biuro wicedyrektora oczywiście świeciło pustkami, jakby był sam środek nocy; woźny pewnie miał wezwać także jego, lecz bez skutku.

Gdy K. wszedł do sali spotkań, dwaj panowie podnieśli się z głębokich foteli. Dyrektor uśmiechnął się do niego życzliwie, najwyraźniej bardzo się ucieszył na widok K., i natychmiast przedstawił sobie obu panów. Włoch uściśnął mocno dłoń K. i ze śmiechem z kogoś zażartował, używając jakiegoś określenia na rannego ptaszka. K. nie bardzo zrozumiał, kogo ma na myśli; poza tym było to osobliwe sformułowanie, którego sens odgadł dopiero po chwili. Odpowiedział kilkoma gładkimi zdaniami, które Włoch znów przyjął ze śmiechem, przy czym parę razy nerwowym ruchem przejechał dłońmi po swoim błękitno-szarym, gęstym wąsie. Wąs ten był najwyraźniej skropiony perfumami; aż kusiło, by się do niego zbliżyć i go powąchać.

Kiedy wszyscy usiedli i zaczęła się krótka rozmowa wstępna, K. z wielkim dyskomfortem zauważył, że jest w stanie zrozumieć Włocha tylko momentami. Gdy mówił bardzo spokojnie, K. pojmował go niemal w całości, były to jednak rzadkie wyjątki; przeważnie słowa wprost wylewały mu się z ust i kręcił przy tym głową, jakby czerpał z tego jakąś szczególną przyjemność. Podczas tych wywodów nieodmiennie wplątywał jakiś dialekt, który dla K. nie miał w sobie nic włoskiego; dyrektor zaś nie tylko go rozumiał, ale i sam nim władał — co zresztą K. mógł być przewidzieć, bo gość pochodził z południa Włoch, gdzie dyrektor spędził kilka lat.

W każdym razie K. rozumiał, że raczej nie będzie mu dane porozmawiać z Włochem, którego francuszczyzna okazała się również niezrozumiała, przy czym jeszcze wąs zakrywał mu wargi, których widok może pomógłby K. w pojmowaniu sensu jego wypowiedzi. K. obawiał się związanych z tym niedogodności; tymczasem jednak zaniechał prób zrozumienia Włocha — byłby to także wysiłek zbyteczny w obliczu umiejętności dyrektora, który z taką łatwością przejął rozmowę. K. ograniczył się więc jedynie do tego, by z poirytowaniem obserwować, jak gość siedzi w fotelu — głęboko, a jednak z lekkością — jak co chwila naciąga brzegi swojej krótkiej, mocno wyciętej marynarki i jak z uniesionymi ramionami próbuje swymi giętkimi dłońmi przedstawić coś, czego znaczenia K. nie potrafił odgadnąć, choć nie spuszczał tych rąk z oczu, pochyliwszy się z uwagą do przodu. W końcu znudzony bezczynnością K. podązał już tylko machinalnie wzrokiem od jednego do drugiego mówiącego i wkrótce dało o sobie znać jego wcześniejsze zmęczenie; raz nawet ku swemu przerażeniu — na szczęście jeszcze w porę — przyłapał się na tym, że w roztagnieniu już chciał się podnieść, odwrócić i wyjść.

Wreszcie Włoch spojrzął na zegarek, po czym się zerwał. Pożegnawszy się z dyrektorem, podszedł do K., i to tak blisko, że K. musiał cofnąć fotel, żeby mieć jakąkolwiek swobodę ruchu. Dyrektor, który zapewne po oczach K. rozpoznał trudne położenie, w jakim ten znalazł się w obliczu tej włoszczyzny, wtrącił się do rozmowy tak zmyślnie i z takim wycuciem, iż wyglądało, jakby dorzucał jedynie drobne rady, podczas gdy w istocie wszystko, co Włoch — niestrudzenie wchodząc mu w słowo — przedstawiał, w największym skrócie czynił dla K. zrozumiałym. I tak oto K. dowiedział się od niego, że Włoch ma do załatwienia jeszcze parę spraw, że w ogóle niestety będzie miał bardzo ma-

ło czasu, że bynajmniej nie zamierza w pośpiechu ganiać po wszystkich zabytkach, lecz postanowił — oczywiście tylko jeśli K. się zgodzi, decyzja zależała wyłącznie do niego — zwiedzić jedynie katedrę, za to dokładnie. Niezmiernie był rad, że będzie mógł to zrobić w towarzystwie tak świątłego i ujmującego człowieka — miał tu na myśli K., zajętego w tym czasie niczym innym, jak puszczeniem wywodów Włocha mimo uszu i pospiesznym wychwytywaniem sensu ze słów dyrektora — i prosi go, jeśli pora byłaby dla niego dogodna, aby za dwie godziny, mniej więcej o dziesiątej, pojawił się w katedrze. On sam miał nadzieję stawić się o tej właśnie porze na miejsce.

K. odpowiedział coś stosownego; Włoch uściśnął dłoń najpierw dyrektorowi, potem K., potem jeszcze raz dyrektorowi, a następnie obaj odprowadzili go do drzwi; szedł, w połowie zwrócony do nich, nie przestając mówić. K. został tam potem jeszcze chwilę z dyrektorem, który dziś wyglądał na wyjątkowo zgnębionego. Widocznie uznał, że powinien się wobec K. jakoś usprawiedliwić, i powiedział — stali blisko siebie, jak w potulnej rozmowie — że z początku zamierzał wyjść sam z kontrahentem, potem jednak — nie wyjaśnił dokładnie z jakiego powodu — postanowił wysłać z nim K., który nie powinien się zniechęcać, jeśli z początku Włocha nie zrozumie; to się na pewno bardzo szybko zacznie zmieniać, a jeżeli i tak mu sporo umknie, nie będzie to nic strasznego, gdyż Włochowi aż tak nie zależy, by go rozumiano. Zresztą włoski K. jest zdumiewająco dobry i na pewno wyśmienicie wywiąże się z tego zadania. Na tym rozmowa z K. dobiegła końca.

Pozostały czas K. spędził na wypisywaniu ze słownika rzadkich wyrazów, potrzebnych mu do oprowadzania kontrahenta po katedrze. Była to praca nad wyraz żmudna: w międzyczasie woźni przynosili pocztę, urzędnicy przychodzili z rozmaitymi zapytaniami, a widząc, że K. jest zajęty, stawali w drzwiach, ale ani drgnęli, póki K. ich nie wysłuchał; wicedyrektor nie przepuszczał okazji, by przeszkadzać K.: wchodził często, wyrwał mu słownik z ręki i go wertował, najwyraźniej tylko dla samego wertowania; nawet klienci, ilekroć otwierały się drzwi, wynurzali się w półmroku przedpokoju i kłaniali się z wahaniem, chcąc zwrócić na siebie uwagę, lecz nie byli pewni, czy K. w ogóle ich dostrzegł — wszyscy oni nieustannie krążyli wokół K., podczas gdy on sam robił zestawienia użytecznych słów, potem wyszukiwał je w słowniku, następnie wypisywał ich tłumaczenia, ćwiczył wymowę i wreszcie próbował nauczyć się ich na pamięć. Niegdyś tak sprawny umysł odmawiał mu teraz posłuszeństwa; momentami wpadał w taką wściekłość na Włocha, przez którego czuł się zmuszony do tego wysiłku, że zakopywał słownik pod papierami z mocnym postanowieniem zaniechania przygotowań, po czym jednak docierało do niego, że nie może przecież chadzać z kontrahentem w tę i z powrotem przed dziełami sztuki w katedrze w milczeniu, i z jeszcze większą wściekłością na nowo wyciągał słownik.

Dokładnie o wpół do dziesiątej, kiedy miał już wychodzić, zadzwonił telefon. Leni chciała się z nim przywitać i zapytać o samopoczucie. K. szybko podziękował i zaznaczył, że teraz w ogóle nie ma czasu na rozmowę, bo spieszy się do katedry.

— Do katedry? — spytała Leni.

— No tak, do katedry.

— A dlaczego do katedry?

K. już zaczął jej to w paru słowach wyjaśniać, gdy Leni nagle mu przerwała:

— Ganiają cię.

K. nie potrafił znieść tego współczucia, którego nie zamierzał wywoływać i którego się nie spodziewał. Pożegnał się w dwóch słowach, ale jednak, odkładając słuchawkę, powiedział po części do siebie, po części do tej oddalonej dziewczyny, która go już nie usłyszała:

— Tak, ganiają mnie.

Tymczasem zrobiło się już późno; istniało ryzyko, że nie dotrze na czas. Pojechał samochodem. W ostatniej chwili przypomniał sobie jeszcze o albumie; rano nie nadarzyła się okazja, by go wręczyć Włochowi, więc wziął go teraz z sobą. Trzymał go na kolanach i przez całą drogę bębnił w niego niespokojnie palcami. Deszcz nieco osłabł, ale przez wilgoć, chłód i mrok K. obawiał się, że w katedrze niewiele będzie widać, a od długiego stania na chłodnej posadzce jego przeziębienie jeszcze się pogorszy.

Plac katedralny był zupełnie pusty. K. przypomniał sobie, że już jako małe dziecko dziwił się, że w domach mieszczących się przy tym ciasnym placu prawie wszystkie okna są zawsze zasłonięte. Przy dzisiejszej pogodzie było to rzecz jasna bardziej zrozumiałe niż zazwyczaj. Katedra również wydawała się pusta; nikomu oczywiście nie przyszłoby teraz do głowy, żeby tu przychodzić. K. przeszedł się po obu bocznych nawach; napotkał tylko pewną staruszkę, która opatulona ciepłą chustą klęczała przed obrazem Maryi, wpatrując się w niego. Z daleka zobaczył też kulejącego kościelnego, który zniknął za drzwiami w ścianie.

K. zjawił się w katedrze punktualnie; w chwili, gdy wchodził do środka, wybiła dziesiąta, Włocha jednak jeszcze nie było. K. wrócił do głównego wejścia, postać tam jakiś czas niezdecydowany, po czym w deszczu obszedł mury katedry, żeby sprawdzić, czy nie czeka na niego przy którymś z bocznych wejść. Nigdzie go nie było. Czyżby dyrektor opacznie zrozumiał podaną godzinę? Ależ trudno było zrozumieć tego człowieka! Tak czy owak jakieś pół godziny K. będzie musiał jeszcze na niego poczekać. Jako że był zmęczony, chciał gdzieś spocząć. Wrócił do katedry, na stopniu znalazł skrawek jakby dywanika, czubkiem buta zaciągnął go do pobliskiej ławki, opatulili się szczelniej płaszczem, postawił kołnierz i usiadł. Dla oderwania myśli otworzył album, zaczął go wertować, lecz wkrótce tego zaniechał, bo w katedrze zapanowała taka ciemność, że gdy podniósł wzrok, ledwie co mógł dostrzec w pobliskiej nawie.

W oddali na ołtarzu głównym mienił się blask wielkiego trójkątnego świecznika. K. nie potrafiłby z całą pewnością powiedzieć, czy go tam widział chwilę wcześniej. Być może zapalono świece dopiero przed chwilą. Kościelni poruszają się jak cienie, nie sposób ich zauważyć. Kiedy K. raz się odwrócił, zobaczył, że niedaleko za nim pali się również wysoka, masywna świeca przymocowana do kolumny. Choć wyglądała imponująco, jej blask nie wystarczał, by oświetlić pograżone w mroku obrazy ołtarzy bocznych, a nawet ten mrok pogłębiał.

Włoch postąpił tyleż rozsądnie, co nietaktownie, nie przychodząc; i tak nie byłoby co oglądać, pozostałoby jedynie przyjrzeć się z latarką K. paru obrazom cał po calu. Żeby się przekonać, czy ten pomysł w ogóle jest wart rozważenia, K. podszedł do kapliczki bocznej znajdującej się w pobliżu, pokonał kilka stopni, by dostać się do niskiej, marmurowej balustrady, przechylił się nad nią i oświetlił latarką obraz na ołtarzu. Przeszkadzał mu chybotliwy płomień wiszącej przed nim wiecznej lampki.

Pierwszym wizerunkiem, który K. zobaczył na samym skraju obrazu, a którego kształtu częściowo musiał się domyślić w ciemności, był postawny rycerz w zbroi. Wspierał się na mieczu, który wbił w jałową ziemię przed sobą — tu i ówdzie wyrastały z niej źdźbła trawy. Zdawał się uważnie śledzić zdarzenie rozgrywające się przed jego oczami. Zdziwiał, że trwał tak w miejscu i nie ruszał przed siebie. Może miał pełnić wartę. K., który od dawna nie oglądał obrazów, przyglądał się rycerzowi przez dłuższą chwilę, choć bez przerwy musiał mrużyć oczy, bo nie najlepiej znosił zielone światło latarki.

Gdy następnie przesunął snop światła po pozostałej części obrazu, zobaczył scenę złożenia Chrystusa do grobu, w tradycyjnym ujęciu; poza tym obraz był dość nowy. Schował latarkę i wrócił na swoje miejsce.

Prawdopodobnie nie musiał dłużej czekać na Włocha, jednak z całą pewnością na dworze padał ulewny deszcz, a że wewnątrz nie było aż tak zimno, jak K. się obawiał, postanowił na razie zostać w tym miejscu. W pobliżu znajdowała się wielka ambona; na jej małym, okrągłym daszku umieszczono dwa półleżące, puste w środku złote krzyże, tak że ich wierzchołki krzyżowały się ze sobą. Zewnętrzną stronę balustrady i przejście ku kolumnie nośnej zdobiły ornamenty z zielonego listowia, w którym zanurzały ręce małe aniołki — jedne żywe i ruchliwe, inne w bezruchu. K. podszedł do ambony i obejrzał ją ze wszystkich stron. Obróbka kamienia była nadzwyczaj staranna; rzeźbiarz zdawał się doskonale uchwycić i oddać głęboką ciemność między listowiem a tłem. K. wsunął dłoń w jeden z takich prześwitów, a potem ostrożnie zbadał dotykiem kamień; o istnieniu tej ambony dotąd w ogóle nie miał pojęcia. Przypadkiem spostrzegł za najbliższym rzędem ławek kościelnego, który stał tam w czarnej, luźno zwisającej i pognicionej marynarce, trzymając w lewej dłoni tabakierkę, i przyglądał się K.

„Czego on ode mnie chce?“, zastanawiał się K. „Może wydają mu się podejrzany? A może chce dostać napiwek?“ Kiedy jednak kościelny zauważył, że K. go widzi, wskazał

prawą ręką, w której między dwoma palcami trzymał jeszcze szczyptę tabaki, w nieokreślonym kierunku. K. nie bardzo rozumiał, jak powinien zinterpretować to zachowanie; odczekał jeszcze chwilę, lecz kościelny nie przestawał czegoś pokazywać ręką i na potwierdzenie tego pokiwał głową.

— Czego on chce? — zapytał cicho K.; nie ośmielił się zawołać głośno w tym miejscu. Wreszcie jednak wyjął portmonetkę i zaczął się przeciskać wzdłuż najbliższej ławki do tego mężczyzny. Ten natychmiast machnął odmownie ręką, wzruszył ramionami i pokuszył dalej. K. przypomniał sobie, że jako dziecko podobnie pospieszonym kuśtykaniem próbował naśladować jazdę konną.

„Infantylny staruch”, pomyślał K. „Rozumu starca mu już tylko do posługi kościelnej. Jak to się zatrzymuje, kiedy ja stoję, a jak wyczekuje, czy ruszę dalej?”. Uśmiechając się, podązał za nim przez całą nawę boczną, niemal do samego ołtarza głównego. Starzec nie przestawał mu czegoś pokazywać, lecz K. umyślnie się nie rozglądał; to pokazywanie nie miało innego celu, jak tylko go zmylić i sprowadzić z drogi, którą za nim szedł. W końcu K. rzeczywiście zostawił starca w spokoju: nie chciał go zanadto wystraszyć ani całkiem spłoszyć, a także zrobił to na wypadek, gdyby Włoch jednak jeszcze przyszedł.

Kiedy wszedł do nawy głównej, żeby odszukać miejsce, na którym zostawił album, dostrzegł przy jednej kolumnie, niemal przy samych ławkach w prezbiterium, niewielką boczną ambonę, bez żadnych ozdób, z surowego, bladego kamienia. Była tak mała, że z daleka wyglądała jak pusta wnęka, czekająca na umieszczenie w niej posągu. Kaznodzieja nie mógłby się w niej cofnąć nawet o krok od balustrady. Poza tym kamienne sklepienie ambony zaczynało się niezwykle nisko i wznosiło się wprawdzie bez żadnych zdobień, lecz było tak silnie wygięte, że mężczyzna średniego wzrostu nie mógłby się tam wyprostować: musiałby się cały czas wychylać nad balustradą. Całość wyglądała, jakby była skonstruowana jak na udrękę kaznodziei; nie sposób było pojąć, czemu miała służyć ta ambona, skoro w katedrze była też druga, wielka, z tak kunsztownymi ornamentami.

Mniejsza ambona zapewne w ogóle nie zwróciłaby uwagi K., gdyby u góry nie dostrzegł lampy, jaką zwykle zapala się przed kazaniem. Czyżby teraz miało się odbyć kazanie? W tym pustym kościele? K. przesunął wzrok w dół, na schodki prowadzące na ambonę przy kolumnie. Były tak wąskie, jakby miały służyć jako ozdoba kolumny, nie do wchodzenia. A jednak u stóp ambony — K. aż uśmiechnął się ze zdumienia — rzeczywiście stał duchowny; trzymając dłoń na poręczu, był już gotów wejść, patrzył jednak na K. Niemal w niezauważalny sposób skinął głową, na co K. przeżegnał się i skłonił głowę, co powinien był uczynić już wcześniej. Duchowny paroma sprężystymi, krótkimi krokami wszedł na ambonę. Czyżby naprawdę miało się zaraz zacząć jakieś kazanie? A może kościelny nie był wcale niespełna rozumu i chciał zagonić K. do kaznodziei — co w tym pustym kościele było wręcz konieczne. No ale gdzieś tam, przed obrazem Maryi, była jeszcze staruszka, która też powinna tu podejść. A jeśli już miało się odbyć kazanie, czemu nie słychać było poprzedzającej go gry organów? Te były pogrążone w milczeniu, słabo połyskując w mroku wysoko nad nimi.

K. zastanawiał się, czy nie powinien teraz jak najspieszniej wyjść; w trakcie kazania nie będzie przecież mógł tego zrobić — będzie musiał zostać do samego końca. Zmarnował tyle czasu, zamiast pracować; przecież już od dawna nie musiał czekać na Włocha. Spojrzał na zegarek: była jedenasta. Czyżby naprawdę ktoś miał wygłosić w tym miejscu kazanie? Czy K. sam jeden mógł uchodzić za zgromadzenie wiernych tej parafii? A gdyby przyszedł tu tylko po to, żeby zwiedzić kościół? W gruncie rzeczy wcale nie było inaczej. Nedorzecznością było zakładać, że teraz, o jedenastej, w dzień powszedni, w tę paskudną pogodę miałoby się tu odbyć kazanie. Duchowny — młody mężczyzna o gładkiej, ciemnej twarzy, bez wątplenia duchowny — wchodził po schodkach zapewne tylko po to, by zgasić zapaloną omyłkowo lampę.

Tak jednak nie było. Duchowny przyjrzał się płomieniowi i jeszcze go nieco odkręcił, po czym powoli odwrócił się ku balustradzie i chwycił oburącz jej kanciastą krawędź. Stał tak przez chwilę i rozglądał się dokoła, nie poruszając głową. K. cofnął się znacznie i wsparł łokcie na pulpicie ławki przed sobą. Niepewnym wzrokiem dostrzegł gdzieś — nie potrafiłby jednak dokładnie określić gdzie — kościelnego, który przygarbiony przykucnął spokojnie, jak po wykonanej powinności.

Jakaż cisza panowała teraz w katedrze! K. musiał ją naruszyć, nie miał bowiem zamiaru tu zostawać. Jeśli obowiązkiem duchownego było głosić kazanie o wyznaczonej godzinie bez względu na okoliczności, niech to czyni — uda mu się i bez wsparcia K., którego obecność z pewnością nie wpłynie na rezultat.

Ruszył więc powoli, na palcach, sunąc wzdłuż ławki, dotarł do przestronnego przejścia głównego i podążał nim również bez przeszkód; tylko kamienna posadzka wydawała dźwięk pod najlżejszym krokiem, a sklepienia słabo, lecz nieprzerwanie go zwielokrotniały, odbijając jego echo. K. poczuł się nieco opuszczony, gdy — być może obserwowany przez duchownego — przechodził w samotności między pustymi ławkami; a wielkość katedry zdała mu się sięgać kresu tego, co dla człowieka jest jeszcze do zniesienia.

Kiedy dotarł do miejsca, gdzie wcześniej siedział, niemal w biegu zabrał stamtąd album. Już mijał wszystkie rzędy ławek, zbliżając się do pustego obszaru między nimi a wyjściem, kiedy po raz pierwszy usłyszał głos duchownego. Głos potężny i wyrobiony. Przeniknął całą katedrę, która była gotowa go wchłonąć! Duchowny jednak wcale nie zwracał się do wiernych, było to całkiem jednoznaczne i nie było ucieczki, gdyż zawołał:

— Josefie K.!

K. raptownie stanął w miejscu i spuścił wzrok na posadzkę przed sobą. Wciąż był wolny; wciąż mógł iść dalej i wymknąć się przez jedne z trzech małych, ciemnych, drewnianych drzwi nieopodal. Znaczyłyby to tylko tyle, że nie zrozumiał, albo że wprowadził zrozumiał, lecz nie zamierzał się tym przejmować. Jeśli jednak odwróciłby się, znalazłby się w pułapce: wyznałby tym samym, że zrozumiał, że wzywano naprawdę jego i że zamierzał pójść za tym wezwaniem. K. odczekał chwilę: gdyby duchowny zawołał go ponownie, K. z pewnością by stąd odszedł; lecz w tej ciszy odwrócił nieco głowę, ciekaw zobaczyć, co w tym momencie robi duchowny. Stał na ambonie z takim samym spokojem jak wcześniej, lecz wyraźnie było widać, że zauważył, jak K. odwraca głowę. Gdyby nie obrócił się teraz całkiem, sprawiłby wrażenie, że bawi się z duchownym w chowanego. Zrobił to więc, a duchowny przywołał go palcem.

Skoro teraz wszystko mogło się dziać jawnie, K. podszedł — z ciekawości i pragnąc przyspieszyć bieg sprawy — ku ambonie, długimi krokami, niemal frunąc. Przy pierwszych ławkach przystanął, lecz dla duchownego odległość ta najwyraźniej była zbyt duża, bo wyciągnął rękę i stanowczym ruchem wskazał palcem miejsce tuż przed amboną. K. zastosował się i do tego polecenia; a gdy już tam stanął, musiał mocno odchylić głowę do tyłu, żeby spojrzeć na duchownego.

— Ty jesteś Josef K. — powiedział duchowny i uniósł znad balustrady dłoń w nieokreślonym geście.

— Tak — odparł K., i przysłała mu do głowy myśl, z jaką otwartością podawał dawniej swoje nazwisko; teraz stało się dla niego ciężarem, znali je ludzie, z którymi spotykał się po raz pierwszy. Jak dobrze było kiedyś przedstawić się, zanim poznał innych.

— Jesteś oskarżony — rzekł duchowny niemal szeptem.

— Tak. Powiadomiono mnie o tym.

— A zatem jesteś tym, którego szukam — stwierdził duchowny. — Jestem kapelanem więziennym.

— Aha.

— Kazałem cię tu wezwać, żeby z tobą pomówić.

— Nie wiedziałem. Przyszedłem tu pokazać katedrę pewnemu Włochowi.

— Zostaw te pomniejsze sprawy. Co trzymasz w ręku? Modlitewnik?

— Nie. Album o zabytkach miasta.

— Odłóż go.

K. cisnął nim tak gwałtownie, że album otworzył się i zmiętymi kartkami przeleciał po posadzce.

— Wiesz, że sprawy w twoim procesie stoją źle?

— Też mi się tak wydaje — odparł K. — Dokładałem wszelkich starań, ale jak dotąd bezskutecznie. Nie mam jeszcze gotowego podania.

— Jak wyobrażasz sobie koniec?

— Kiedyś myślałem, że musi się skończyć dobrze — odparł K. — Teraz czasem sam w to wątpię. Nie wiem, jak się skończy. A ty wiesz?

— Nie, ale obawiam się, że źle. Uważają cię za winnego. Twój proces może nawet nie wyjść poza niższy sąd. Twoją winę uważa się, przynajmniej na razie, za dowiedzioną.

— Ale ja nie jestem winny. To pomyłka. Jak w ogóle człowiek może być winny? Przecież wszyscy jesteśmy ludźmi, każdy w takim samym stopniu.

— To prawda — odparł duchowny. — Ale tak zwykli mówić winni.

— Ty też mnie osądzasz z góry?

— Nie, nie osądzam cię z góry.

— Dziękuję — rzekł K. — Każdy, kto bierze udział w tym postępowaniu, z góry mnie osądza. Narzucają ten osąd nawet postronnym. Moje położenie staje się coraz trudniejsze.

— Błędnie interpretujesz fakty. Wyrok nie zapada od razu; postępowanie przechodzi w wyrok stopniowo.

— Ach, więc to tak. — K. spuścił głowę.

— Co zamierzasz zrobić teraz w swojej sprawie?

— Chcę jeszcze poszukać pomocy. — K. podniósł głowę, by zobaczyć, co na ten temat sądzi duchowny. — Istnieją pewne możliwości, których jeszcze nie wykorzystałem.

— Zbyt usilnie szukasz pomocy innych — stwierdził duchowny z dezaprobatą. — A zwłaszcza u kobiet. Nie widzisz, że to nie jest prawdziwa pomoc?

— Pod pewnymi względami, i to bynajmniej nie odosobnionymi, mógłbym ci przyznać rację, choć nie do końca. Kobiety mają potężną władzę. Gdybym zdołał skłonić kilka znanych mi kobiet do wspólnego działania w mojej sprawie, dopiąłbym swego. Zwłaszcza w tym sądzie, który składa się niemal wyłącznie z kobieciarzy. Pokaż sędziemu śledczemu z daleka kobietę, a on w jednej chwili popędzi do niej, trując stół sądowy i oskarżonego.

Duchowny pochylił głowę nad balustradą; dopiero teraz wyglądał, jakby zadaszenie ambony go przygniatało. Jak fatalna musiała być na zewnątrz pogoda! To już nie był posępny dzień — to była głęboka noc. Żaden witraż w tych wielkich oknach nie był w stanie przerwać tej ściany mroku choćby nikłą smugą światła. I właśnie teraz kościelny zaczął gasić, jedną po drugiej, świece na ołtarzu głównym.

— Jesteś na mnie zły? — zapytał K. duchownego. — Może nie wiesz, jakiemu sądowi służysz. — Gdy nie dostał odpowiedzi, dodał: — Znam ten sąd tylko z własnych doświadczeń. — U góry wciąż panowała cisza. — Nie chciałem cię urazić — dodał.

Wtedy duchowny zawołał do K. na dole:

— Niczego nie widzisz nawet na odległość dwóch kroków przed sobą? — Wykrzyczał to w gniewie, a zarazem jak ktoś, kto widzi upadek drugiego człowieka, i w reakcji bezwiednie wrywa mu się nierozważny okrzyk przerażenia.

Obaj zamilkli na dłuższą chwilę. Duchowny z pewnością nie mógł wyraźnie dostrzec K. pogrążonego w mroku na dole, podczas gdy on sam był w świetle lampki całkiem dobrze widziany przez K. Czemu duchowny do niego nie zszedł? Nie wygłosił przecież kazania, tylko przekazał K. parę informacji, które — gdyby się ich ściśle trzymać — prawdopodobnie bardziej zaszkodziłyby K. niż pomogły. A jednak nie ulegało wątpliwości, że duchowny wydawał się usposobiony do niego życzliwie; nie można wykluczyć, że gdyby zszedł do K., obaj doszliby do porozumienia, a K. otrzymałby od niego rozstrzygającą i użyteczną radę: nie taką, która pokazywałaby, jak wpłynąć na proces, lecz jak się z tego procesu wyrwać, jak go obejść, jak żyć poza procesem. Musiała istnieć taka możliwość; K. w ostatnim czasie nieraz o niej rozmyślał. Tylko czy tę możliwość duchowny na pewno znał? A jeśli tak, czy zdradziłby ją, gdyby go o to poprosić, mimo że sam należał do sądu i nawet, porzucając swą łagodność, krzyknął na K., kiedy ten zaatakował sąd?

— Nie chcesz tu zejść? — zapytał K. — Przecież nie zamierzasz teraz wygłaszać żadnego kazania. Zejdź tu do mnie.

— Teraz już mogę to zrobić — odparł duchowny; być może żałował swojego wcześniejszego krzyku. Zdejmując lampkę z haka, dodał: — Musiałem najpierw porozmawiać z tobą, zachowując dystans. Inaczej zbyt łatwo ulegam wpływom i zapominam o swojej posłudze.

K. czekał na niego na dole schodków. Schodząc z najwyższych stopni, duchowny już wyciągnął do niego rękę.

— Masz dla mnie trochę czasu? — zapytał K.

— Tyle, ile potrzebujesz. — Duchowny podał K. lampkę, by ten ją niósł. Nawet z bliska nie tracił pewnej dostojności w zachowaniu.

— Jesteś mi bardzo życzliwy — powiedział K. Chodzili obok siebie w tę i z powrotem po ciemnej nawie bocznej. — Jesteś wyjątkiem pośród wszystkich, którzy należą do sądu. Mam do ciebie więcej zaufania niż do kogokolwiek z nich, choć tylu z nich już poznałem. Z tobą mogę mówić otwarcie.

— Nie daj się zwieść — rzekł duchowny.

— Zwieść? Co do czego?

— Co do sądu. Pisma wprowadzające do prawa tak mówią o tym zwodzeniu: przed prawem stoi odźwierny¹¹. Przychodzi do niego mężczyzna z prowincji i prosi o wpuszczenie do prawa. Lecz odźwierny mówi mu, że nie może go teraz wpuścić. Mężczyzna zastanawia się i pyta, czy zatem będzie mógł tam wejść później. „Możliwe”, odpowiada odźwierny. „Ale nie teraz”. Ponieważ brama do prawa stoi jak zawsze otworem, a odźwierny odsuwa się na bok, mężczyzna wychyla się, by zajrzeć przez bramę do środka. Gdy odźwierny to widzi, śmieje się i mówi: „Skoro tak cię kusi, spróbuj wejść mimo mojego zakazu. Pamiętaj jednak, że jestem potężny. A jestem tylko najniższym odźwiernym. Przed każdą kolejną salą stoją następni odźwierni, jeden potężniejszy od drugiego. Nawet ja sam nie potrafię znieść widoku trzeciego”. Takich trudności mężczyzna się nie spodziewał; myśli, że prawo powinno być zawsze dostępne dla każdego. Ale kiedy tak się z uwagą przypatruje odźwiernemu i widzi jego futro, jego wielki, spiczasty nos, długi, rzadki, czarny, tatarski zarost, postanawia jednak poczekać na wpuszczenie. Odźwierny podaje mu krzesło i mówi, żeby mężczyzna usiadł przed drzwiami. Mężczyzna siedzi tam całe dni i lata. Wciąż zadrećcza odźwiernego swoimi prośbami o wpuszczenie. Odźwierny co jakiś czas urządza mu małe przesłuchania: wypytuje go o rodzinne strony, a także o wiele innych spraw; robi to jednak z obojętnością wielkich panów, a na koniec za każdym razem powtarza, że nie może go wpuścić. Mężczyzna, który dobrze się na tę podróż zaopatrzył, oddaje wszystko, nawet najcenniejsze rzeczy, próbując przekupić odźwiernego. Ten wprawdzie wszystko przyjmuje, lecz mówi przy tym: „Robię to tylko po to, byś nie pomyślał, że coś zaniedbałeś”. Przez te wszystkie lata mężczyzna niemal bez przerwy obserwuje odźwiernego. Zapomina o kolejnych odźwiernych, ten pierwszy wydaje mu się jedyną przeszkodą w dostaniu się do prawa. W pierwszych latach głośno przeklina ten nieszczęśliwy zbieg okoliczności, później, kiedy się starzeje, już tylko mruczy coś pod nosem. Z czasem dziecinnieje, a ponieważ przez lata studiowania wyglądu odźwiernego jest w stanie dostrzec nawet pchły na kołnierzu jego futra, prosi je, aby mu pomogły nakłonić odźwiernego do zmiany zdania. W końcu słabnie mu wzrok i nie wie, czy wokół niego naprawdę zapadł mrok, czy tylko oczy go zwodzą. W ciemności wciąż jednak rozpoznaje blask, który nieustannie bije z drzwi do prawa. Nie będzie już długo żył. Przed śmiercią wszystkie doświadczenia z całego tego czasu składają mu się w głowie w jedno pytanie, którego dotąd nie zadał odźwiernemu. Daje mu ręką znak, bo nie potrafi już nawet podnieść swojego zeszytniałego ciała. Odźwierny jest zmuszony pochylić się nisko ku niemu, gdyż różnica wzrostu zmieniła się bardzo na niekorzyść mężczyzny. „Czego jeszcze chcesz się dowiedzieć? Jesteś nienasycony”, odzywa się do niego odźwierny. „Przecież wszyscy dążą do prawa”, mówi mężczyzna. „Jak to możliwe, że przez te wszystkie lata nikt poza mną nie domagał się, by go wpuścić?” Odźwierny widzi, że mężczyzna już kona, więc krzyczy do niego, żeby go dobrze usłyszał: „Nie mogłem tu wpuścić nikogo innego, bo to wejście było przeznaczone wyłącznie dla ciebie. Teraz je zamknę i odejdę”.

— A więc odźwierny zwodził mężczyznę — powiedział natychmiast K., bardzo poruszony tą historią.

— Nie bądź zbyt pochopny — odparł duchowny. — Nie przejmuj cudzego zdania bez sprawdzenia jego słuszności. Opowiedziałem ci tę historię dosłownie, zgodnie z brzmieniem pisma. O zwodzeniu nie ma w niej ani słowa.

— Ależ ono jest oczywiste, twoja pierwsza wykładnia była całkiem słuszną. Odźwierny przekazał zbawienną wiadomość dopiero wtedy, gdy nie mogła już się na nic zdać mężczyźnie.

— Wcześniej nie został o to zapytany. Zważ, że był tylko odźwiernym i spełnił swój obowiązek jako odźwierny.

¹¹ odźwierny — niem. *Türhüter* znaczy dosłownie „ten, który strzeże drzwi”. [przypis tłumacza]

— Skąd przekonanie, że spełnił swój obowiązek? — zapytał K. — Nie spełnił go. Jego obowiązkiem było może odprawiać wszystkich obcych, ale tego człowieka, dla którego przeznaczone było to wejście, powinien był wpuścić.

— Nie masz dość szacunku dla pisma i przekręcasz tę historię. Zawiera dwie ważne wypowiedzi odźwiernego o wpuszczeniu do prawa: jedną na początku, drugą na końcu. Pierwsza mówi o tym, „że nie może go teraz wpuścić”, a druga: „to wejście było przeznaczone wyłącznie dla ciebie”. Gdyby między tymi dwiema wypowiedziami była sprzeczność, miałbyś rację, że odźwierny zwodził mężczyznę. Jednak żadna sprzeczność między nimi nie występuje. Przeciwnie, pierwsza wręcz zawiera zapowiedź drugiej. Można by nawet stwierdzić, że odźwierny wykroczył poza swój obowiązek, przedstawiając mężczyźnie perspektywę wpuszczenia go w przyszłości; jego obowiązkiem zaś w tym momencie było jedynie odprawić mężczyznę. W rzeczy samej wielu wykładających pismo dziwi się, że odźwierny w ogóle uczynił taką aluzję, gdyż jako człowiek skrupulatny zdawał się pełnić swój urząd z surową czujnością. Przez wiele lat nie opuszcza swojego stanowiska pracy, a bramę zamyka dopiero na sam koniec; jest w pełni świadomy wagi swojej służby, bo mówi: „Jestem potężny”. Ma respekt dla przełożonych, twierdząc: „Jestem tylko najniższym odźwiernym”. Nie trwoni słów, bo przez te wszystkie lata zadaje pytania jedynie, jak stoi w piśmie, „z obojętnością”. Nie pozwala się przekupić, bo o przyjmowaniu podarunków mówi: „Robię to tylko po to, żebyś nie pomyślał, że coś zaniedbałeś”. W sprawach obowiązku nie sposób go ani zmiękczyć, ani wyprowadzić z równowagi, skoro o mężczyźnie jest mowa, że „zadręcza odźwiernego swoimi prośbami”. Wreszcie nawet wygląd wskazuje na jego pedantyczny charakter: wielki spiczasty nos i długi, rzadki, czarny, tatarski zarost. Czy można wyobrazić sobie bardziej obowiązkowego odźwiernego? A jednak w tej postaci mieszają się także inne cechy, bardzo sprzyjające temu, kto prosi o wpuszczenie, i sugerujące, że w tej wzmiance o wpuszczeniu w przyszłości mógł trochę wyjść poza swój obowiązek. Nie da się mianowicie zaprzeczyć, że jest nieco prosty, a w związku z tym i nieco arogancki. Nawet jeśli jego wypowiedzi o własnej potędze oraz o potędze innych odźwiernych, widoku których nie potrafi znieść nawet on sam, słowem: nawet jeśli wszystkie te wypowiedzi same w sobie mogłyby być słuszne, sposób, w jaki je wygłasza, dowodzi, że jego pojmowanie jest zmaczone prostotą i arogancją. Wykładający pismo mawiają, że trafne pojmowanie danej sprawy i jej jednoczesne niezrozumienie wcale się nie wykluczają. W każdym razie trzeba założyć, że owa prostota i arogancja, choćby przejawiały się bardzo nieznacznie, osłabiają jednak jego czujność na straży u wejścia; to słabe punkty w charakterze odźwiernego. Ponadto wydaje się on z natury życzliwy; nie zawsze jest tylko urzędnikiem. Już w pierwszej chwili żartuje sobie, zapraszając mężczyznę do wejścia mimo wyraźnie podtrzymanego zakazu; potem nie odprawia go, lecz daje mu, jak stoi w piśmie, krzesło i pozwala mu usiąść z boku, przy drzwiach. Cierpliwość, z jaką przez wszystkie te lata znosi prośby mężczyzny, małe przesłuchania, przyjmowanie darów, dystynkcja, z jaką pozwala mężczyźnie obok siebie głośno przeklinać nieszczęsny zbieg okoliczności, który postawił tu odźwiernego, wszystko to pozwala domyślać się odruchów współczucia. Nie każdy odźwierny postąpiłby podobnie. A pod koniec na znak mężczyzny odźwierny pochyla się ku niemu nisko, by mu ułatwić zadanie ostatniego pytania. Tylko w słowach: „jesteś nienasycony” przebija lekka niecierpliwość; odźwierny wie przecież, że wszystko się kończy. Niektórzy idą w tej wykładni jeszcze dalej, twierdząc, że słowa „jesteś nienasycony” wyrażają pewien rodzaj życzliwego podziwu, niepozbawionego protekcyjności. Tak czy inaczej, postać odźwiernego okazuje się inna, niż sądzisz.

— Znasz tę historię dokładniej ode mnie i to nie od dziś — powiedział K.; zamilkł na chwilę, po czym zapytał: — A więc uważasz, że mężczyzna nie był zwodzony?

— Nie zrozum mnie opacznie. Przedstawiam ci tylko różne opinie na ten temat. Nie powinieneś przywiązywać do nich zbyt wielkiej wagi. Pismo się nie zmienia, a opinie bywają często jedynie wyrazem rozpaczy z tego powodu. W tym przypadku istnieje nawet opinia, wedle której to właśnie odźwierny daje się zwodzić.

— To śmiała opinia — odparł K. — Jakie jest jej uzasadnienie?

— Opiera się ono na prostocie odźwiernego. Mówi się, że nie zna wnętrza prawa, zna jedynie drogę przed wejściem, którą wciąż musi na nowo przemierzać. Wyobrażenia, jakie ma o wnętrzu, uważa się za dziecinne, przyjmuje się, że odźwierny sam lęka się tego, czym chce wzbudzić lęk w mężczyźnie. Tak, obawia się tego nawet bardziej niż mężczy-

zna, który pragnie przecież tylko wejść do prawa, nawet po usłyszeniu o tych strasznych odzwrotnych we wnętrzu. O odzwrotnym natomiast nie dowiadujemy się, by chciał wejść; przynajmniej nie ma o tym mowy. Inni wprawdzie twierdzą, że musiał już być wewnątrz, bo przecież kiedyś został przyjęty do służby prawa, a to mogło się stać tylko wewnątrz. Można by na to odrzec, że mianowano go odzwrotnym przez wezwanie z wnętrza i że nie mógł dotrzeć zbyt daleko, skoro nie jest w stanie znieść widoku trzeciego odzwrotnego. Poza tym nie wspomina się, by przez te wszystkie lata, prócz uwagi o odzwrotnych, opowiedział cokolwiek o wnętrzu. Niewykluczone, że dostał taki zakaz, ale i o nim też nie wspomina. Z tego wszystkiego wnosi się, że w ogóle nie ma pojęcia ani o wyglądzie, ani o znaczeniu wnętrza, i że jest w tym względzie zwodzony, tak samo jak w sprawie mężczyzny z prowincji, bo jest wobec niego postawiony niżej, nie wiedząc o tym. To, że odzwrotny traktuje mężczyznę jak kogoś niższego rangą, można rozpoznać po wielu szczegółach, które zapewne masz w pamięci. Zgodnie z tym poglądem równie widoczne jest, że w rzeczywistości sytuacja jest odwrotna. Przede wszystkim bowiem człowiek wolny stoi wyżej od tego, który jest czymś związany. Mężczyzna w istocie pozostaje wolny: może iść, dokąd zechce; zakazane jest dla niego jedynie wejście do prawa, i to zakazane wyłącznie przez jednego człowieka, czyli odzwrotnego. Jeśli przysiadła na krześle z boku bramy i pozostaje tam przez całe życie, czyni to z własnej woli; ta historia nie wspomina o żadnym przymusie. Odzwrotny natomiast z racji urzędu związany jest ze swoim postępowaniem; nie wolno mu go opuszczać, wszystko wskazuje na to, że nawet gdyby chciał, też nie może wejść do środka. Poza tym, choć służy prawu, czyni to wyłącznie przy tym jednym wejściu, a więc także przy tym jednym mężczyźnie, dla którego to wejście jest przeznaczone; i z tego powodu również stoi od niego niżej. Należy przyjąć, że przez wiele lat, w trakcie całego dotychczasowego życia mężczyzny, odzwrotny pełnił w pewnym sensie służbę daremną: jest bowiem mowa o tym, że przychodzi mężczyzna, a więc ktoś w wieku dojrzałym; odzwrotny musiał długo czekać, zanim w ogóle mógł wypełnić swój cel: czekał tak długo, aż mężczyzna uznał za stosowne zjawić się tam, co uczynił z własnej woli. Również kres służby zostaje wyznaczony przez kres życia mężczyzny; odzwrotny jest mu do końca podporządkowany. I wciąż się podkreśla, że odzwrotny zdaje się o tym wszystkim nie wiedzieć. Nie widzi się w tym jednak niczego dziwnego, bo wedle tej opinii odzwrotny daje się zwodzić jeszcze bardziej: dotyczy to jego służby. Pod koniec mówi bowiem o wejściu w taki sposób: „Teraz je zamknę i odejdę”, a na początku czytamy przecież, że brama do prawa jak zawsze stoi otworem. Jeśli stoi otworem zawsze, czyli niezależnie od długości życia mężczyzny, dla którego jest przeznaczona, to odzwrotny nie będzie mógł jej zamknąć. Tu opinie się rozchodzą: jedni sądzą, że zapowiadając zamknięcie bramy, odzwrotny chce jedynie udzielić mężczyźnie odpowiedzi; drudzy, że podkreśla wagę swych obowiązków; jeszcze inni, że chce w ostatniej chwili wzbudzić w mężczyźnie żal i skruchę. Co do jednego większość jest natomiast zgodna: że nie będzie w stanie zamknąć bramy. Wierzą nawet, że przynajmniej pod koniec, ustępuje mężczyźnie także swoją wiedzę, bo ten widzi blask bijący z wejścia do prawa, podczas gdy odzwrotny stoi zapewne tyłem do wejścia i żadnym słowem nie daje do zrozumienia, by dostrzegł jakąkolwiek zmianę.

— Trafne uzasadnienie — powiedział K., który w trakcie tego wywodu powtórzył do siebie półgłosem parę fragmentów. — Trafne, i ja też teraz sądzę, że odzwrotny daje się zwodzić. Nie porzucam jednak swojego wcześniejszego zdania, bo po części się pokrywa z tą opinią. To, czy odzwrotny widzi sprawę jasno, czy też daje się zwodzić, o niczym nie przesądza. Powiedziałem, że mężczyzna daje się zwodzić. Gdyby odzwrotny potrafił widzieć jasno, można by w to wątpić; lecz jeśli odzwrotny daje się zwodzić, to musi się to siłą rzeczy udzielać mężczyźnie. Odzwrotny nie jest wprawdzie oszustem, lecz jest tak prostym człowiekiem, że należałoby go natychmiast wyrzucić ze służby. Musisz przecież pamiętać, że zwodzenie, któremu ulega odzwrotny, jemu samemu nie przynosi żadnych szkód, mężczyźnie zaś szkodzi po tysiącokroć.

— Tu natrafisz na przekonanie całkiem odmienne — rzekł duchowny. — Niektórzy twierdzą, że ta historia nie daje nikomu prawa do osądzania odzwrotnego. Jakikolwiek by nam się wydawał, jest przecież sługą prawa, a więc należy do prawa i jako taki jest wyjęty spod ludzkiego osądu. Nie należy też sądzić, że odzwrotny ustępuje mężczyźnie rangą. Być związanym służbą choćby tylko przy wejściu do prawa znaczy niewspółmiernie więcej niż

życie w świecie na wolności. Mężczyzna dopiero przychodzi do prawa, odzwierny już tam jest. Został powołany do służby przez prawo; wątpić w jego majestat znaczyłoby wątpić w prawo.

— Z tym przekonaniem się nie zgodzę — stwierdził K., kręcąc głowę. — Jeśli się je podziela, trzeba by uznać za prawdę wszystko, co mówi odzwierny. A to nie jest możliwe, sam tego przecież skrupulatnie dowiodłeś.

— Nie — odparł duchowny. — Nie trzeba uznawać wszystkiego za prawdę; trzeba to tylko uznać za konieczność.

— Ponury pogląd — powiedział K. — Kłamstwo staje się porządkiem świata.

K. zakończył na tych słowach, ale nie był to jego ostateczny osąd. Był zbyt zmęczony, by rozważyć wszystkie wnioski, jakie można wyprowadzić z tej historii; prowadziła go też ku nieznanym torom myślenia, ku sprawom nierzeczywistym, do omawiania raczej w gronie urzędników sądowych niż dla niego. Prosta historia przeobraziła się w bezkształtny twór; chciał się z tego otrząsnąć, a duchowny, dowodząc swojego wielkiego taktu, zezwolił na to, przyjmując słowa K. w milczeniu, chociaż z pewnością nie były zgodne z jego przekonaniem.

Przez jakiś czas szli w milczeniu; pozbawiony orientacji w tym mroku K. trzymał się blisko duchownego. Lampka w jego ręce dawno już zgasła. Raz tylko mignął tuż przed nim blaskiem metalu srebrny posąg świętego, po chwili znów rozplywając się w ciemnościach. Żeby nie być całkowicie zdany na duchownego, K. zapytał:

— Jesteśmy blisko wejścia głównego?

— Nie — odparł duchowny. — Daleko. Chcesz już iść?

Chociaż K. akurat o tym nie myślał, odpowiedział natychmiast:

— Tak, muszę już iść. Jestem prokurentem banku, czekają na mnie; przyszedłem tu tylko po to, żeby pokazać katedrę kontrahentowi z zagranicy.

— Cóż, idź więc. — Duchowny podał K. rękę.

— Ale w tym mroku sam sobie nie poradzę — rzekł K.

— Skręć w lewo i podejź do ściany, a idąc wzdłuż niej, dotrzesz do wyjścia.

Duchowny oddalił się zaledwie parę kroków, gdy K. zawołał za nim donośnym głosem:

— Zaczekaj jeszcze chwilę, proszę.

— Czekam.

— Nie chcesz już niczego ode mnie? — zapytał K.

— Nie.

— Wcześniej traktowałeś mnie z taką życzliwością, wszystko mi wyjaśniałeś, a teraz odprawiasz mnie, jakby ci na mnie w ogóle nie zależało.

— Przecież musisz już iść.

— No tak. Zrozum to, proszę.

— Najpierw ty zrozum, kim jestem — rzekł duchowny.

— Jesteś kapelanem więziennym — powiedział K. i podszedł bliżej do duchownego; natychmiastowy powrót do banku nie był wcale tak konieczny, jak to przedstawił, mógł równie dobrze zostać tu jeszcze chwilę.

— Należę do sądu — powiedział duchowny. — Dlaczego miałbym czegoś od ciebie chcieć? Sąd niczego od ciebie nie chce. Przyjmuje cię, kiedy przychodzisz, i wypuszcza, kiedy odchodzisz.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Koniec

W przeddzień trzydziestych pierwszych urodzin K. — było około dziewiątej wieczorem, pora, kiedy na ulicach panuje spokój — przyszedli do jego mieszkania dwaj panowie. Błdzi i otyli, w marynarkach i cylindrach, które wyglądały, jakby były przytwierdzone na stałe. Po krótkiej wymianie uprzejmości związanych z prawem pierwszeństwa przy wejściu do mieszkania, ten sam ceremoniał powtórzył się, już w bardziej rozbudowanej formie, przed drzwiami K. Choć wizyta nie była zapowiedziana, K. siedział na fotelu

w pobliżu drzwi, jakby w oczekiwaniu na gości; on także był ubrany na czarno, właśnie naciągał na palce swoje nowe rękawiczki. Od razu wstał i z zaciekawieniem spojrzął na mężczyzn.

— A więc panowie są dla mnie przeznaczeni? — zapytał.

Obaj skinęli głowami; jeden z nich, trzymając w ręku cylinder, wskazał nim drugiego. K. przyznał w duchu, że spodziewał się innych gości. Podeszedł do okna i wyjrzał jeszcze raz na ciemną ulicę. Prawie wszystkie okna po drugiej stronie były jeszcze ciemne, w wielu spuszczone zasłony. W jednym oświetlonym oknie na piętrze bawiły się za kratą małe dzieci i, niezdolne jeszcze ruszyć się ze swoich miejsc, wyciągały do siebie rączki.

„Przysyłają po mnie starych, podrzędnych aktorów”, powiedział do siebie K. i obejrzał się dla pewności. „Chcą mnie załatwić tanim sposobem”.

Nagle zwrócił się do nich z pytaniem:

— W jakim teatrze panowie grają?

— Teatrze? — powtórzył jeden z nich i z drgającymi kącikami ust zwrócił się do drugiego, jakby prosząc go o pomoc.

Drugi zachowywał się jak niemowa walczący ze swym opornym ciałem.

„Nie są przygotowani na żadne pytania”, pomyślał K. i poszedł po kapelusz.

Już na schodach chcieli go chwycić pod ramiona, lecz K. powiedział:

— Dopiero na ulicy, nie jestem chory.

Tuż przed bramą wczepili się jednak w niego w sposób, w jaki K. nigdy jeszcze nie szedł z żadnym człowiekiem. Trzymali swoje ramiona, nie zginając ich, tuż za jego barkami, i obejmowali ramiona K. na całej długości; na dole trzymali zaś jego dłonie podręcznikowym, wprawnym, żelaznym chwytem. Wypreżony K. szedł sztywno między nimi; stanowili teraz we trzech taką jedność, że gdyby coś się stało jednemu, stałoby się to wszystkim. Była to jedność, jaką potrafią tworzyć niemal wyłącznie przedmioty martwe.

Choć w tym ścisłym zwarciu było to dość trudne, K. próbował pod latarniami przyrzeć się swoim towarzyszom dokładniej, niż było to możliwe w półmroku pokoju. „Może to tenorzy”, pomyślał, widząc ich obwisłe podwójne podbródki. Brzydziła go przesadna czystość ich twarzy. Gdy niemal zobaczył czyjąś dłoń czyszczącą im kąciki oczu, wycierającą górne wargi i wygładzającą fałdy na podbródkach, stanął w miejscu, a wraz z nim i tamci; zatrzymali się na skraju przestronnego, opustoszałego, ozdobionego zielenią placu.

— Dlaczego przysłano właśnie was! — krzyknął bardziej, niż zapytał.

Żaden z nich nie zdawał się znać odpowiedzi; każdy czekał z wolną ręką zwieszoną wzdłuż ciała niczym pielęgniarz, kiedy chory chce odpocząć.

— Dalej nie pójdę — powiedział K. na próbę.

Panowie wcale nie musieli odpowiadać; wystarczyło, że nie poluzowali uścisku i spróbowali podnieść K., lecz K. zaparł się, stawiając im opór. „Użyję wszystkich sił, potem nie będę ich już potrzebował”, pomyślał. Przypomniawszy sobie muchy, które próbują oderwać się od lepu, rozrywając sobie nóżki. „Panowie będą mieli ciężką robotę”.

Wtedy na plac weszła schodkami z położonej niżej uliczki panna Bürstner. Mimo wielkiego podobieństwa nie do końca było pewne, czy to faktycznie ona. K. nie zależało jednak wcale na pewności; po prostu nagle uświadomił sobie daremność swojego oporu. Nie było nic bohaterskiego ani w oporze, ani w trudnościach sprawianych tym panom, ani w ostatnich próbach zakosztowania blasków życia. Ruszył więc, a radość, jaką sprawił tym obu panom, udzieliła się i jemu samemu. Pozwolili mu teraz wybrać kierunek, więc podążył drogą, jaką szła przed nimi panna Bürstner — nie po to, by ją dogonić, nie po to, by móc ją jak najdłużej widzieć, lecz wyłącznie po to, by nie zapomnieć o przestrodze, jaką dla niego była.

„Jedno tylko mogę teraz zrobić”, powiedział sobie, a miarowy rytm kroków całej ich trójki potwierdził tę myśl. „Jedyne, co zrobię, to zachowam do końca spokojny, analityczny umysł, który potrafi wszystko rozkładać na części. Zawsze chciałem sięgać po świat dwudziestoma rękami, i to jeszcze w celach, których nie sposób pochwalić. To było błędem. Czy mam teraz pokazać, że nawet roczny proces nie zdołał mnie niczego nauczyć? Czy mam odejść jako tępak? Mają o mnie powiadać, że na początku procesu pragnąłem go zakończyć, a teraz, u jego kresu, chcę go zacząć od nowa? Nie chcę, by tak

o mnie mówiono. Jestem wdzięczny, że przydzielono mi na tę drogę tych nierozumnych mruków i że dzięki temu sam mogę sobie powiedzieć to, co konieczne.”

Panna Bürstner skrzyła tymczasem w boczną uliczkę; K. mógł się już bez niej obejść i zdać się na swoich towarzyszy. Cała ich trójka podążała teraz w pełnej zgodzie mostem w blasku księżyca, panowie chętnie poddawali się każdemu drobnemu ruchowi K.; gdy tylko zwrócił się nieco ku balustradzie, oni również skierowali do niej zwarty front. Lśniła w księżycowej poświacie drżąca woda okalała wysepkę, na której piętrzyły się stłoczone kępy listowia drzew i krzewów. Pod nimi biegly niewidoczne teraz zwirowe alejki z wygodnymi ławkami, na których K. w niejednym letni dzień przeciągał się do woli.

— Wcale nie zamierzałem się zatrzymywać — rzekł do swoich towarzyszy, zmieszany gotowością, z jaką wyprzedzali każdy jego ruch.

Jeden z nich zdawał się ganić drugiego za plecami K. z powodu opacznie zrozumianego postępu; po chwili ruszyli dalej.

Przeszli kilkoma ulicami pod górę; tu i ówdzie stali lub przechodzili policjanci — raz widziani z daleka, raz niemal tuż obok. Jeden z bujnym wąsem, z ręką na rękojeści szabli, zbliżył się jakby umyślnie do tej nie całkiem niewinnie wyglądającej grupki. Panowie się zatrzymali; policjant zdawał się już otwierać usta, gdy K. mocno szarpnął panów do przodu. Kilka razy obejrzał się ostrożnie, czy policjant za nimi nie idzie; kiedy jednak skręcili za róg, K. ruszył biegiem, a panowie, łapiąc z trudem oddech, musieli pobiec razem z nim.

W ten sposób szybko wydostali się z miasta, które w tych okolicach niemal bez wyraźnej granicy przechodziło w pola. W pobliżu domu, wciąż jeszcze podobnego do miejskich budynków, znajdował się niewielki, opuszczony i pusty kamieniołom. Tu panowie się zatrzymali — czy to dlatego, że to miejsce od początku było ich celem, czy byli zbyt zmęczeni, by biec dalej. Puścili K., który czekał w milczeniu; zdjęli cylindry i rozglądali się po kamieniołomie, wycierając sobie chusteczkami pot z czoła. Wszystko było skąpane w blasku księżyca — tak naturalnym i spokojnym, jakiego nie daje żadne inne światło.

Po wymianie paru uprzejmości wokół tego, kto ma wykonać następne czynności — panowie zdawali się otrzymać to zlecenie wspólnie, bez podziału ról — jeden z nich podszedł do K. i zdjął z niego marynarkę, kamizelkę i wreszcie koszulę. K. mimowolnie zadygotał z zimna, na co tamten delikatnie poklepał go uspokajająco po plecach, po czym starannie złożył jego ubrania, jak rzeczy, których można będzie jeszcze użyć, choć nie w najbliższym czasie. Żeby nie wystawiać K. pozostającego w bezruchu na dość chłodne nocne powietrze, wziął go pod ramię i zaczął z nim chodzić w tę i z powrotem, podczas gdy drugi z panów szukał odpowiedniego miejsca w kamieniołomie. Gdy je znalazł, skinął ręką, na co pierwszy przyprowadził do niego K.

Miejsce znajdowało się blisko ściany wyrobiska; leżał tam odłamek skały. Obaj panowie posadzili K. na ziemi, oparli go o kamień, układając mu na nim głowę. Mimo wszelkich starań z ich strony i mimo ustępstw K. jego ułożenie pozostawało bardzo wymuszone i nieprzekonujące. Jeden z panów poprosił więc drugiego, by na chwilę zostawił ułożenie K. wyłącznie jemu; lecz to również nie pomogło. W końcu zostawili K. w pozycji, która nie była najlepszą z dotychczasowych.

Następnie jeden z panów rozpiął marynarkę i wyjął z pochwy, wiszącej na jego pasie zaciśniętym na kamizelce, długi, cienki, obosieczny nóż rzeźniczy; unióśł go wysoko i sprawdził jego ostrza w świetle. Znow zaczęła się wymiana tych obrzydliwych uprzejmości: jeden z panów podał nóż ponad K. drugiemu, ten zwrócił go nad K. pierwszemu. K. dobrze wiedział, że jego obowiązkiem było chwycić krążący nad nim z ręki do ręki nóż i wbić go w swoje ciało. Nie zrobił tego jednak; obrócił jeszcze odsłoniętą szyję, żeby się rozejrzeć. Nie zdołał wykazać się na tyle, żeby wyręczyć organy władzy w całej pracy; odpowiedzialność za ten ostatni błąd ponosił ten, kto mu odmówił resztki siły niezbędnej do wykonania tego kroku.

Wzrok K. padł na najwyższe piętro domu tuż przy kamieniołomie. Niczym błysk światła na samej górze otwarły się skrzydła okna; jakiś człowiek, słaby i wychudzony, daleko w górze wychylił się nagle mocno do przodu, jeszcze dalej wyciągając przed siebie ręce. Kto to był? Przyjaciół? Dobry człowiek? Ktoś, kto mu współczuł? Kto chciał mu pomóc? Czy był tam tylko on sam? Czy był wszystkimi? Czy był jeszcze dla niego ratu-

nek? Wniesiono jakiś sprzeciw, o którym zapomniano? Z pewnością. Logika pozostaje wprawdzie niewzruszona, lecz nie przeciwstawia się człowiekowi, który chce żyć. Gdzie był sędzia, którego nigdy nie widział? Gdzie był najwyższy sąd, przed który nigdy nie dotarł? K. uniósł dłonie, rozstawiając palce.

Ale na gardle K. już zacisnęły się ręce jednego z panów, podczas gdy drugi wbił mu nóż w serce i dwukrotnie go obrócił. Gasnącym wzrokiem K. zobaczył jeszcze, jak panowie tuż przed jego twarzą, blisko siebie, policzek przy policzku, przyglądają się rozstrzygnięciu.

— Jak pies! — powiedział; jakby wstyd miał go przeżyć.

SŁOWO OD TŁUMACZKI

Są książki, które stawiają tłumacza wobec pojedynczych słów ważących tyle, co całe interpretacje. Pierwsza decyzja translatorska w pracy nad *Procesem* dotyczyła słowa obecnego w otwierającym tę powieść zdaniu — słowa pozornie prostego, a w istocie rozstrzygającego ton całej powieści: czasownika *verleumden*, oznaczającego szkalować, oczerniać, a więc wygłaszać lub rozpowszechniać wbrew faktom nieprawdę lub niepotwierdzone osądy na czyjś temat, szkodzące jego reputacji. Poprzednie wybory tłumaczy to „zadenuncjować” (Korpanty) oraz „falszywie oskarżyć” (Szelińska/Schulz, Ekier), które w pierwszej linii przywodzi na myśl oficjalny akt oskarżenia lub skargi, czego w niemieckim znaczeniu wyraźnie brakuje. I właśnie z tego powodu wybrałam określenie „oszkalować”.

Ta decyzja wyznacza zarazem kierunek, w którym starałam się podążać w pracy nad całym przekładem. *Proces* należy do tych utworów, które opierają się ostatecznemu domknięciu. Doczekał się wielu wykładni, a każdy tłumacz, chcąc nie chcąc, podejmuje decyzje, które jedne znaczenia wydobywają mocniej, inne zaś pozostawiają w cieniu. Moją intencją była możliwie daleko posunięta wierność tekstowi i jak największa powściągliwość wobec pokusy dopowiadania tego, co pozostaje w nim niejednoznaczne.

Tłumacząc tę powieść w wersji sprzed dokładnie stu lat, starałam się pozostać wobec niej jak najbardziej przezroczysta: nie narzucać jednej wykładni, lecz szukać słów najbliższych znaczeniowo niemieckiemu brzmieniu i zachować jego wieloznaczność. Nie wybieram jednej drogi lektury; zostawiam czytelnikom przestrzeń dla własnych skojarzeń, intuicji i odkryć.

Zasada ta przyświecała mi również w miejscach, gdzie język powieści zbliża się do rejestru prawa. Tam, gdzie Kafka posługuje się terminologią prawniczą, zachowuję jej ciężar i precyzję; tam, gdzie wprowadza pojęcia nieostre, osobliwe lub wymykające się ścisłemu nazewnictwu, nie wyglądam ich ani nie doprowadzam na siłę do pełnej jednoznaczności. To zarazem pierwszy raz, kiedy mogłam wykorzystać w przekładzie literackim swoje doświadczenie jako tłumaczka prawnicza i przysięgła — nie po to jednak, by ten świat nadmiernie usystematyzować, lecz przeciwnie: by jak najdokładniej uchwycić granicę między tym, co prawne, a tym, co jedynie prawno-podobne. Nieprzypadkowo także sam tytuł powieści pozostaje dwuznaczny: zarówno w języku niemieckim, jak i polskim oznacza on nie tylko postępowanie sądowe, lecz także ciąg następujących po sobie zmian, powiązanych przyczynowo i stanowiących kolejne etapy rozwoju czy działania. Tę dwoistość chciałam w przekładzie zachować.

Podobną wstrzemięźliwość zachowałam w innych warstwach tej powieści. Konteksty seksualne pozostawiłam wszędzie tam, gdzie rzeczywiście są obecne, nie wzmacniając ich i nie dopisując tam, gdzie tekst ich nie podsuwa. Imiona i nazwiska pozostawiłam w oryginalnym brzmieniu. Zarazem w przypisach wskazuję niekiedy ukryte znaczenia niektórych nazwisk i pojęć, jeśli mogą one pomóc uchwycić ważne dla tej powieści dwuznaczności. Przypisy ograniczyłam jednak do niezbędnego minimum: nie mają prowadzić lektury ani jej objaśniać, lecz jedynie dyskretnie oświetlać te miejsca, w których niemiecki tekst otwiera dodatkowe znaczenia.

Zależało mi także na tym, by nie skracać zdań tam, gdzie nie było to absolutnie konieczne dla ich zrozumienia, a zarazem nadać im po polsku możliwie naturalny rytm i składnię. Równie ważne było dla mnie szukanie takich ekwiwalentów słów, które — po-

zostając jednym, możliwie precyzyjnym określeniem — zachowują wieloznaczność obecną w oryginalnym dziele, nie rozbijając jej na kilka dopowiadających się nawzajem słów. Zależało mi na precyzji, ale nie na doprecyzowywaniu za autora.

Jeżeli temu przekładowi przyświecała jakaś intencja, było nią przede wszystkim zachowanie wierności; nie chciałam zamykać *Procesu* w jednej interpretacji, lecz zachować jak najwięcej z osobliwej siły tej powieści — jej precyzję i niejasność zarazem, jej chłód, jej komizm, jej nieustanne wymykanie się ostatecznym rozstrzygnięciom. Reszta należy już do czytelnika.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest udostępniony na licencji **Licencja Wolnej Sztuki 1.3**.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kafka-proces/>

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl). Sfinansowano dzięki zrzutce społecznościowej czytelniczek i czytelników Wolnych Lektur.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Jacek Barański.

Publikację wsparli i wsparły: Mateusz Guzik, Dominik Wretowski, Sebastian Firlik, Katarzyna Lisowska, ao, Szpadyzor, Jadwiga, Emil Kaptur, Marcin Stąporek, Dora Kowalska, dorotkow, Aneta Kaniak-Golik, Marta Prałat, MarcinS, Dariusz Dudojć, Małgorzata Kania, Daniel Petryczkiewicz, Michalina Sidor, Arkadiusz Mielniczuk, Piotr Butryn, Aneta Kaniak-Golik, Wojciech Kryska, Krzysztof Pietruszewski, Paweł, Grzegorz Francuz, Bartłomiej Bodzioch, Kuba Tatariewicz, Barbara W., Marta, E.M., Michał Garwacki, Jacek Romanowski, Jurek, ao, XX, Anna Wienken, Joanna Kościelska-Krawczyk, Janina Gwiżdż, Zbigniew Kręt, ao, elarz, Justyna Lopez, Marek Woźnica, Justyna Radomińska, Cecylia, Antoni Sajewicz, Jakub Klawiter, Jarosław Mszczak, Arkadiusz Nowak, pH, Dyapanazy Nibek, PP, Książki Czytamy, Didi, Michał Boruczowski, Aga K, Małgorzata Antkowiak, Tomek, Wiola Degórska, Sylwia Stachowiak, Anonim, Joanna Baczyńska, Agnieszka Matuszek, ao, Dominik Kubiczek, Bartosz i Anna Klimkowie, Mikołaj Lewandowski, Chris65, JŁ, Michał Stasiak, AM, Dariusz Lewandowski, Arkadiusz H., Anna Pregler, Marcin Walas, Monika Skowrońska, Marta, Michał, Andrzej B., Krzysztof Żurek, Piotr Górzyński, Szymon K, Chrystian Kącki, KasiaS, krzysztof w, Paweł Niewodniczański, Mati B., pirszoroczny, Cezary Trochimiuk, Aleksander Ślepowroński, Wojciech Szydłowski, Jan Kaczmarek, Wiola, Mirosław Radziszewski, Elżbieta Charubin, Monika Łukasiewicz, Medgirl, Michał Janiszewski, Chrystian Schutz, Dominik Wretowski, Ryszard, Anna Cyran, Polaczek, Cezary Gontkiewicz, Aleksander Kusz, Karol Krok, Damian, Aleksander, Andrzej Pawlak, Paweł Traczyk, Natalia Chorizko, HR, Piotr Rudzki, Piotr, Elżbieta Rzeszutek, Stanisław Baran, Franz, Wojtek Nurek, Katarzyna Mitros, Anna Wielicka-Regulska, JM, Stanisław Wojcik, Joanna Kulbacka, Jadwiga Kempaska, Katarzyna Samborska-Korejwo, Zielony Jasio, Iwona, Janusz Młynarski, Marek Dwojak, Jolanta Choromańska, Artur, Ewa Kolodziej, Ewa Irbom, majka lewicka, Ewa Prałat, Bohdan K, Astii, Kajetan Janowski, Jarosław P, Korcz, Agata Żuk, Jolanta, Krystyna Krauze, Wolne Lektury Poggers, Amelia Gądek, Marian Szarzyński, Tomasz, h., Magdalena Flegel, Karol F, Dorota Białas-Niedziela, Paupau, Gabriel, anonim, Katarzyna Betelgeze Orion, Aleksandra Sobieska, ciemna.kotka, Mateusz Filipiak, Mariusz Grzelak, Natalia Krynicka, Gabriel G, Michał Masłon, Daria Moskal, Przemysław Węgiel, Honorata, Michał Dekarz, Maria Świerczyńska, Przemysław Senftleben, Wojciech Dziomdziora, Jakub Woźniak, Maciej M., Krzysztof Rusin, Bartosz Niemier, teaver, Magdalena Olejnik, Alicja Rumowicz, Anna Kapala, Wiesław Konarski, Jerzy Piotrowski, M., Krzysztof Rusin, Michał Masłon, JK, Michał Cierznik, Elżbieta Lipińska, Piotr, Jakub S, Edyta, Władysław Justyński, Dorota Pasek, Bogna Olech, Andrzej Kalata, Franz Gawron, DT, Zielona, Konstanty Sopoćko, Michał Masłon, BajaSz., Janusz Szopka, Igor K.-K., Esteban Negro, papież, Dave K., Marta Komar, Jowita S., ANNA, Anna Glowczak, Inna Kapush, AGNIESZKA SEUPINA, Łukasz Bąba, Kinga Krause, Władysław Justyński, Asmistrz, Anton Tulisheuski, Iwona, Julia Błaszyk, Tomasz Żarnowski, Maria S, Wojciech Kusa, Asia, Ania Lilania, M, Dawid, Pb, Renata, Irek, Carewicz Dymitr, karla91, Anonim, Marek, o!a, Milena, Anna, J.K, Andrzej Szoblik, Marcin Żukowski, bziik, HW, Ryszard Wiśniewski, Maria Świetlik, Tomasz Wieleba, Ola, Solid Snake, AniDuna, Paweł Taborowski, Leukonoe, Kuba, Anton Tulisheuski, Patka, Szymon Pietrenko, Paulina, Marta, Kijanek_o, Julia Marciniak, Anonimowy, Doktor Plagi, Bogdan Palicki, Franz, ██████ ██████████, Maria, uwu, Renata, Majkiel Halski, Michał Szuba, Martyna, Wojciech Zawada, Małgorzata, Zbigniew Kielb, Anna Górecka, Polishbooks, Michał Motyl, Józef K., Katia S, Ania, michaldaw, Pożeracz książek KB, rozvvm, Mateusz Zub, Wojciech K., Alicja Belina, Maria Jarzyńska, Grzegorz Bortnik, Rafał, Ewa Mielcarek, Wojtesław, Michał Luszawski, Natan Proch, Paweł h, Mateusz Kurowski, pE., Domi, Kamila, Zuzanna Dubiał, nonimporta, Piotr, Brak, Szymon Durman, Anonim, Bidas, Marta Karpińska, Milena Grycuk, Jagoda, Lena, Zuzanna Walter, Marcellus von Lothringen, Konrad, Anonimka, Gorg, Małgorzata Bober, Zuzanna, Bogumił Stachowicz, Adam, DB, Tomasz Suwalski, Żelki, Justyna Typa-Rogoża, Zzz, Aleksandra, Jola, Łukasz Silski, Filuś, Bartosz Masiak, P.P, A, Bogumił Stachowicz, Anan Wójcikiewicz, Aleksandra Florkiewicz, Szymon Świerzyński, tomcjo, Jerzy Osiecki, Piotr, Bartłomiej Kowalczyk, zoso, Piotr, Szymon.

ISBN 978-83-288-8292-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.